



Czy można uwolnić się
od klątwy dzieciństwa?

Danuta
Noszczyńska

Dopóki

śmierć nas nie połączy

Prószyński i S-ka

Danuta
Noszczyńska

Dopóki

śmierć nas nie połączy

Prószyński i S-ka

Copyright © Danuta Noszczyńska, 2016

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© Elisabeth Ansley/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Jan Andrzej Fręś

Korekta

Katarzyna Kusojć

Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8097-713-6

Warszawa 2016

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

W podziękowaniu panu Leszkowi Porowskiemu
za wspieranie moich działań twórczych.

ROZDZIAŁ I

Dziewczyna znikąd

Ale piździ! I jak w taką pogodę z oknami zapier... o, sorry... zasuwać? Ale się obiecało, się zrobi!

To były pierwsze słowa, jakie usłyszałam od Małgosi, gdy przyszła mi pomóc w sprzątaniu. Pewnie u większości czytelników zabrzmiały one niemiłym zgrzytem, ale taka Małgorzata była. Kiedyś była taka... Zamierzam opisać ją i jej historię bez lukrowania. Historię, ogólnie rzecz biorąc, dramatyczną, choć w jej życiu – jak w każdym innym – zdarzały się radości, szczęśliwe chwile, epizody zabawne czy wręcz śmieszne. Żeby przedstawić ją jak najwierniej, wypowiedzi Gosi relacjonuję tak, jak je formułowała. Inaczej nie dałoby się oddać prawdy o dziewczynie, która... No właśnie. Nie będę jej ani usprawiedliwiać, ani potępiać.

Nasza bliższa znajomość zaczęła się pięć lat temu. Dokładnie pięć lat temu, podobnie jak teraz, siedziałam z unieruchomioną nogą w pożyczonym fotelu na kółkach, a za oknem panoszyła się jesień, cudne barwy migotały w słońcu nienaturalnie jasnym jak na dzień Wszystkich Świętych. Doturlałam się na wózku do balkonu. Miałam wielką ochotę otworzyć drzwi i podjechać do balustrady. Obawiałam się jednak, że nie będę w stanie wrócić samodzielnie do mieszkania ze względu na specyfikę drewnianego progu dzielącego mnie od tego małego kawałka zewnętrznego świata. Od strony salonu startego niemal do samej podłogi, od strony balkonu natomiast pozostającego w stanie pierwotnym. Odsunęłam firankę i zapatrzyłam się w świąteczny ruch po drugiej stronie ulicy: rzeszę osób bliskich tym, którzy spoczywają w pokoju. Ludzie taszczyli kwiaty, lampiony, stroiki – jednym słowem, wszystko, czym chcieli przekonać duszyczki o swojej nieustającej pamięci. Zastanowiłam się, ile jest w tym rytualnym goście miejsca na prawdziwą refleksję o życiu bliskich (i dalszych), których już nie ma, o niegdysiejszych wzajemnych relacjach – na wnioski, które można by już teraz zastosować w stosunku do żywych. I czemu jest tak, że ludzi, którzy wciąż jeszcze są z nami, jakoś mniej dostrzegamy, mniej rozumiemy i zdecydowanie surowiej oceniamy? O zmarłych nie mówi się źle, zmarłym wybacza się wszystkie urazy, by „im ziemia lekką była” i – aby kiedyś była lekką i nam. Czasem jedyną okazją do pochylenia się nad losem drugiego człowieka i spojrzenia na niego bardziej „po ludzku” jest jego śmierć.

Życie to trudna sztuka. Kiedyś nie dawał mi spokoju fragment przykazania

miłości: „kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Właściwie mało kto tak naprawdę, bez zastrzeżeń siebie kocha, więc jaki w tym sens? W końcu przetłumaczyłam sobie te słowa inaczej: bądź wyrozumiały dla drugiego tak, jak jesteś pobłażliwy dla siebie. I teraz wszystko stało się jasne. Łatwiejsze – niestety nie.

Kiedy Małgorzata zamieszkała w naszej kamienicy, niemal natychmiast stała się jej integralną częścią. Wychodziła i wracała o tych samych porach – po kilka razy dziennie, a nawet nocnie. Jej mieszkanie było usytuowane dokładnie na wprost mojego, bliżej schodów, widywałam ją więc bardzo często, a jeśli nie widywałam, to przynajmniej słyszałam. Była osobą, której dyskrecja zachowania była raczej obca. Gosia tupiała lub stukiała głośno, wchodząc po schodach (w zależności od rodzaju obuwia), trzaskała drzwiami, puszczała głośno muzykę. Czasem mówiła do siebie albo wyklinała na tak zwane przedmioty martwe. Sprawiała wrażenie zapracowanej, zawsze energiczna, zawsze w pośpiechu. Ale w sumie grzeczna, kłaniała się, uśmiechała, życzyła miłego dnia.

Któregoś wieczoru naprawdę niezłe mnie wystraszyła. Najpierw usłyszałam ordynarne dobijanie się do jej drzwi, szarpanie za klamkę, a potem jakby odgłosy awantury:

– Ożeż ty ciulu jeden serdeczny – wrzeszczała. – Tak się normalnie nie robi, ale czekaj, załatwię cię na chama! Sam żeś chciał, bucu wredny!

Zastanawiałam się, czy nie powinnam interweniować. Hałas na klatce sugerował co najmniej napaść z użyciem przemocy. Nie chciałam wyjść na wścibską, na razie podeszłam więc do drzwi i spojrzałam przez wizjer, gotowa reagować, jakby co. Zobaczyłam jedynie kruczą fryzurę sąsiadki pojawiającą się bądź znikającą z mojego pola widzenia. Towarzyszyły temu zjawisku coraz bardziej niecenzuralne inwektywy.

– O nie, do kurwy nędzy! Rękę mam rozpiardoloną, krwawię jak zarzynany wieprz! A niech to chuj strzeli serdeczny!

Słyszając to, uznałam, że najwyższa pora na interwencję. Złapałam długą, metalową łyżkę do butów (starą, ciężką, fantazyjnie zdobioną) i z impetem otworzyłam drzwi. Gosia była sama. Siedziała pod drzwiami i płakała, a obok niej walały się siatki z zakupami upačkane krwią.

– Chryste Panie – wykrzyknęłam w pierwszym odruchu. – Co się pani stało? Kto tu był?

– A, nikt... – Dziewczyna spojrzała w moją stronę niechętnie. – Złamałam kutasa. I nie wiem, co teraz...

Spojrzałam na nią uważniej, potem na rozbryzganą wszędzie krew i wyjąkałam:

– Komu...

Gosia zaśmiała się przez łzy.

– Żeby komu, to by jeszcze uszło. Sobie złamałam, bo mi utknął w drzwiach. Poczułam lekkie oszołomienie. Gosia, widząc moją minę, wstała powoli, otarła skrwawioną rękę o płaszcz i wyjaśniła:

– Klucz mi się złamał, proszę pani. A ja normalnie padam dziś na ryj, z roboty do roboty, zmarznięta, głodna i jeszcze przyjdzie mi teraz nocować w sieni!

Zaprosiłam ją wówczas do siebie. Udostępniłam łazienkę, zrobiłam herbatę i kanapki. Patrzyłam, jak je. Tak naturalnie, ze smakiem, oblizując palce i siorbiąc z filiżanki. Czekałam, aż powie coś więcej.

– Bo ja, proszę pani, ledwo wyrabiam. A dziś to już, kurwa, wszystko przeszło ludzkie pojęcie – odezwała się po skończonym posiłku.

Skrzywiłam się na tę „kurwę”, nie znałam bowiem dotąd nikogo, kto tak swobodnie i bez skrępowania posługiwałby się podobnymi ozdobnikami. Nie mnie jednak było wychowywać taką dużą dziewczynkę.

– Zaraz zadzwonię, do kogo trzeba, on załatwi problem z zamkiem.

Wykręciłam numer faceta od takich awarii, a on obiecał, że będzie do kwadransa. Miał do mnie pewną słabość, a raczej do wiecznie psujących mi się sprzętów, które zapewniały mu w miarę regularny zastrzyk lewej kasy.

– Może lampkę wina na te smutki? – zaproponowałam, by umilić nam czekanie na Pana Złotą Rączkę.

– Daj pani – zgodziła się Gosia bez wahania. – Może faktycznie mi się ulży. Co to jest? – spytała, przyglądając się przyniesionej przeze mnie butelce.

– Cabernet sauvignon. Trzymam je od kilku lat, na specjalną okazję – dodałam, by zrobić jej przyjemność.

– Ano, trudno, nich będzie, w końcu jak się jest w gościach, to się nie grymasi – oznajmiła Małgosia i sięgnęła po napełniony kieliszek. – Babka mi tak zawsze powtarzała. Moja babka utopiła się w studni.

– O mój Boże, to straszne!

– No, miłe nie było raczej – przyznała Gosia raczej bez emocji.

Wypiła łyk wina i wykrzywiła usta.

– Ja ogółem sangrię piję lub ciociosan, jakby co. Słodkie przynajmniej – skomentowała cierpki smak trunku.

– Czemu pani taka zagoniona? – spytałam, widząc, że dziewczyna jest otwarta na rozmowę o sobie. – Praca taka niewdzięczna?

– Żeby tam praca. Robota! A właściwie trzy roboty i szkoła. Rano się uczę. Od południa zwyczajowo stoję na kasie w warzywnym, skrzynki noszę, towar wykładam i w ogóle zapierdalam jak messerschmitt. Chce pani cebuli? Szefowa czasem daje coś, jak jest już nie za bardzo. Wczoraj miałam banany i gruszki...

– Nie, dziękuję, mam cebulę.

– ...potem bieguniem do domu, zjem, trochę odpocznę, bo w nocy zadupczam na Orlenie, sprzątam, znaczy. A w soboty i niedziele robię za ochroniarza w agencji i czasem trzeba wziąć udział w jakiejś imprezie. Rzadko zdarza mi się całkiem wolna niedziela, no i widzi pani. I dupa błada.

– Za... ochroniarza?

– No. Mecze, koncerty i takie tam.

– O matko! Ma pani do tego jakieś przygotowanie może? Sztuki walki czy coś w tym rodzaju? Jakąś broń?

– Sztukę walki to ja, proszę pani, mam w małym palcu od dziecka. I proszę mi wierzyć, nie ma na mnie chojraka. No i jeszcze jest pałka i gaz, ale póki co nie doszło do tego, żebyśmy musiały komuś po gałach po-jechać.

– Karate? Jujitsu?

Gosia roześmiała się w głos.

– A gdzież tam! Żadne karate tak na chuligaństwo nie działa jak porządnie wkurwiona kobitka: pazury, zęby, kopniaki i mocna łacina. A potem hyc gostkowi na plecy i nelsonik jedną ręką, a drugą za nochal, jak w imadło. Mówię pani, jeszcze takiego nie było, co by się łzami nie zalał...

Pogawędziłyśmy mniej więcej w tym tonie do czasu, kiedy facet naprawił sąsiadce zamek. Doszłam do wniosku, że jest ona dziewczyną ambitną i bardzo zdeterminowaną, żeby coś zmienić w swoim życiu. Okazało się, że poza pracą, która zajmowała jej większość czasu, Gosia robiła jeszcze zaocznie maturę, kurs angielskiego i prawo jazdy. Szczerze mówiąc, nie znałam drugiej tak młodej osoby, która równie dzielnie radziłaby sobie w życiu, zdana wyłącznie na dwoje rąk i wrodzony instynkt.

Upłynęło kilka dni od przygody sąsiadki z kluczem. Był spokojny, jesienny wieczór, z radia sączyła się miła dla ucha muzyka. Siedziałam przy komputerze i pisałam coś tam, bo na tym właśnie polega moja praca. Raptem na klatce rozległ się hałas bardzo podobny do tego, jaki miał miejsce wówczas z udziałem Gosi. Ktoś walił w moje drzwi i szarpał klamkę na zmianę, aż wreszcie, gdy odkrył, że posiadam coś takiego jak dzwonek, użył sobie na nim od serca. Zanim dobiegłam do przedpokoju, rozległ się dodatkowo monit słowny:

– Proszę pani! Pani starsza, pani otworzy, bo sprawa, kuźwa, jest!

Jakkolwiek powyższe określenie mojej osoby nieco mną wstrząsnęło, w sumie uspokoiłam się znacznie, kojarząc głos i temperament z sąsiadką z naprzeciwka.

Małgorzata stała pod moimi drzwiami, jak zwykle z porozrzucanymi tobołami wokół stóp, jej płaszcz natomiast (w okolicy piersi) falował podejrzanie.

– Widzi pani, jakie skurwiele. – Gosia rozchyliła płaszcz i moim oczom ukazały się dwa przerażone ślipka osadzone w kłębkach burego, nastroszonego futerka.

Na chwilę odjęło mi mowę.

– Cały brudny i mokry. Nie wiem, czy nieuszkodzony. Te gnoje z parteru rzucały nim do kontenera, jak piłką do kosza. Turniej taki sobie zrobiły, ciule patentowane!

Gosia dosłownie wrzała oburzeniem, tuląc zwierzątko zdecydowanie mocniej, niż on by sobie tego życzył. Szczerze mówiąc, sama nie wyglądała lepiej od niego: potargana, ubłocona, z umazanymi rękami i twarzą.

– Nie chcieli go oddać po dobremu – wyjaśniła, widząc mój taksujący wzrok.

– Biła się pani z nimi? – spytałam z niedowierzaniem.

– A co, miałam zostawić kociaka tym zbokom? Ale mniejsza z tym. Mam go w każdym razie i nie wiem, co z nim zrobić. Pomyślałam, że pani go weźmie, przecież starsze samotne kobiety często przygarniają taką biedną gadzinę. Ja nie dam rady, po całych dniach mnie nie ma w domu...

Po raz kolejny przełknęłam tę „starszą”, na dodatek „samotną”, kobietę. W końcu, gdy ja miałam dwadzieścia lat – a Gosia na więcej nie wyglądała – kobiety pod pięćdziesiątkę też były dla mnie staruszkami.

– Proszę wejść. – Otworzyłam szerzej drzwi, niczego na razie nie obiecując.

Gosia, tuląc do siebie zwierzątko, zagarnęła wolną ręką siaty i wrzuciła je za próg mojego mieszkania. Zamknęła drzwi i postawiła kociaka na podłodze. Buras przycupnął nieopodal jej stóp, nie śmiąc wykonać żadnego ruchu. Był tak przerażony, że nawet nie miauknął. Nieborak. Brudny, zmarznięty i niewątpliwie głodny. Nie miałam w lodówce nic lepszego, więc zaserwowałam maleńkiemu gościowi kawałek rozdrobnionej parówki i wodę na spodeczku. Głód okazał się silniejszy niż strach. Buras na zmianę posilał się, pił i na wszelki wypadek cicho prychnął.

– Widać dawno nie jadł – skomentowała Gosia i przycupnęła obok niego. – Widzisz, jak dobrze trafiłeś? Będziesz tu miał jak u mamusi. Bo może zostać, co? No niechże pani powie, że tak, bo przecież nie odniesiemy go z powrotem...

Gosia przez użycie liczby mnogiej zrobiła mnie współniczką w kociej sprawie, współodpowiedzialną za jego los. Patrzyłam z góry na tę parę i wówczas doznałam ulotnego, acz nieodpartego wrażenia, że oboje wyglądają jak postaci z jednej bajki. On potargany, zagubiony, prychnieniem kompensujący lęk i niepewność, ona – ubłocona, ze zmierzwioną fryzurą, z buzią pełną wulgaryzmów, nie wiadomo, czemu służących. Może temu samemu, co kocie prychnanie? Muszę przyznać, że byłam coraz bardziej ciekawa mojej nowej sąsiadki.

– Dobrze, niech zostanie – zgodziłam się. – A panią też nakarmię. Mam dobry gulasz po węgiersku. Jeszcze gorący, zapraszam.

Gosia wstała.

– E tam. Już kociakiem zrobiłam pani kłopot. – Wahala się z przyjęciem mojego zaproszenia, choć było widać, że ma na to wielką ochotę. Tym bardziej że z kuchni dolatywał kuszący aromat.

– Ależ żaden kłopot! I mnie będzie miło zjeść kolację w towarzystwie – zachęciłam.

– No, chyba że tak – zgodziła się, po czym z kotem pod pachą, w mokrym płaszczu i z brudnymi rękami podążyła za apetycznym zapachem.

Nakładałam nieśpiesznie jedzenie na talerze, układałam w koszyczku chleb, obserwując gości kątem oka. Małgorzata posadziła kota na stole i głaskaniem usiłowała przekonać go do zajęcia miejsca na bambusowej serwetce.

– Mogę się trochę ogarnąć? – spytała, a gdy usiadłam naprzeciwko, wręczyła mi kota, płaszcz i nie czekając na odpowiedź, poszła do łazienki.

Wyszła po chwili z podreperowanym uczesaniem i doprowadzoną do porządku twarzą oraz dłońmi. Jadłyśmy w milczeniu, kociak zwinął się w kłębek na moich kolanach i natychmiast zasnął. Fizjologia najwyraźniej zwyciężyła stres i emocje.

– Smakuje pani? – spytałam, by od czegoś zacząć.

– Właściwie to ja Gośka jestem. Tak niech mi pani mówi, jakby co. A żarcie primo voto! – odparła z pełnymi ustami. – W sam raz na słoność i na ostrość. Lubię ostre. Lubię, jak jest dużo maggi i pieprzu.

– No widzi pani? – roześmiałam się. – Gdyby mi przyszło samej jeść, nikt by mnie nie pochwalił. To znaczy... Gosiu. A ty? Sama sobie gotujesz czy jadasz na mieście?

– Co pani? W knajpach jadać to za drogi interes jak dla mnie. Kasę muszę odkładać, lekko nie ma. Sama gotuję, choć nie zawsze mi się chce, jak wracam późno, to wpierdzielę jaką kanapkę albo kawałek kielbasy z musztardą i kromkę chleba. Nawet na herbatę czasem nie mam siły poczekać...

– Ciężko pracujesz jak na taką młodą osobę – skonstatowałam. – Chcesz dokładkę?

– Skoro pani da, to zjem. – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. – Pracuję, bo muszę. Ja nie z tych, co im mamusia i tatuś spod nówek zamiatają. Sama muszę o siebie zadbać. A taka młoda to ja już nie jestem. W maju mi stukną dwadzieścia dwa lata.

Odłożyłam kotka na krzesło obok, nie zakłócając jego dziecięcego snu. No tak – pomyślałam. – Jeśli dla niej dwadzieścia dwa lata to już nie młodość, nie ma się co dziwić, że jestem w jej oczach starą babą...

– Moje młodsze siostry już wszystkie żonate, starsza o rok, Aneta, dziecko

w tym roku do szkoły prowadziła będzie. A najstarsza babcią już jest od wiosny. Halina.

– O? A w jakim jest wieku?

– No... od wiosny? Z pół roku ma już. Jakoś tak...

– Twoja siostra, ile ma lat?

– Trzydzieści pięć.

– Boże mój, i do czego to się tak śpieszyć... – wyrwało mi się mimo woli.

– Po mojemu też nie ma do czego – przyznała Gosia, napełniwszy usta gulaszem. – Chłop to znowu nie jest takie чудо, żeby sobie z nim życie tak od razu zawiązać. A dzieci tym bardziej. A pani panienka czy wdowa?

– Rozwódka.

– No to ja się nie dziwię. – To był chyba skrót myślowy, dotyczący mojej wcześniejszej dygresji. – Pił?

– Nie.

– Bił na trzeźwo?!

– Nie, nie pił i nie bił. Zdradził mnie. Raz, i o ten raz za dużo.

– Fiut. – Gosia pokiwała głową ze zrozumieniem. – Też bym nie chciała, żeby mi się facet puszczał. Choć nie wiem, czy bym się tak od razu rozwiodła, to by zależało, jak bardzo bym go kochała. A dzieci?

– Nie mieliśmy dzieci.

Gosia odetchnęła z ulgą.

– To dobrze. Najgorzej, jak się dzieci w domu sodomy naoglądają. Wie pani? Ja to znam. Choć ojciec w domu bywał rzadko, ale jak już się zjawił, to zawsze się płaczem kończyło. A już najgorzej bywało, jak się zjawił i prezenty przyniósł. To my od razu wszyscy w ryk!

– Czemu? – zdziwiłam się.

– Bo za chwilę przylatywała policja, zabierała i prezenty, i ojca. Ale jak dłużej pobył, to my go już mieli dość: żarł za nasze, pił za nasze, a nocami matkę obracał. Baliśmy się, żeby nam znów jakiego bachora nie przyrobił.

– Jak to... wam? – Poczulałam ciarki na ciele.

– No, nam. Bo jak tylko małe od matczynego cycka odrosło, nam się dostawało na wychowanie. Matka zaraz szła do roboty. Podcieranie dup, pieluchy, kaszki – to już była nasza brocha. Dlatego siostry, jak się tylko jaki chętny nawinał, rwały do ołtarza jak durne piczki. Ale daleko nie uciekły, zaraz swoje bachory porodziły i wszystko apiać od nowa.

– Ile masz siostr, jeśli można spytać?

– Osiem. I dwóch braci. Zmyję chociaż te gary. – Dziewczyna zebrała ze stołu naczynia, włożyła do zlewu i zakasała rękawy.

Zadumałam się na moment, więc nie protestowałam. Wydawałoby się, że w dzisiejszych czasach rzeczy, o których opowiada Gosia, już się nie zdarzają. Nie

miałam jednak najmniejszego powodu, by jej nie wierzyć.

– W jakim wieku jest twoja mama? – Zadawałam coraz śmielsze pytania, ponieważ dziewczyna najwyraźniej nie miała nic przeciwko nim.

– Z sześćdziesiątego drugiego jest. To niech pani policzy.

Mama Małgorzaty była o kilka lat starsza ode mnie, miała jedenaścioro dzieci, wnuki i prawnuka... Poczułam się z tą informacją trochę niekomfortowo. Z jednej strony chciałoby się powiedzieć, że kobieta zmarnowała sobie życie, z drugiej zaś, czy to nie ja – samotna i bezdzielna – nie zmarnowałam swojego?

– A pani? Ile ma lat? – spytała dziewczyna, jak zwykle nie patyczkując się specjalnie.

– Troszkę mniej. Czterdzieści dziewięć.

– W takim razie dobrze się pani trzyma.

– Twoja mama nie trzyma się dobrze?

– Niby też dobrze, ale nie dba o siebie, ubiera się byle jak, czesze się byle jak albo i nie czesze się wcale. Takie ciuchy, proszę pani, to po mojemu dużo dają. Dziś stare baby ubierają się całkiem młodzieżowo, dzinsy, miniówa, oko zrobione, fryz jak z żurnala... A to odejmuje lat, co nie? Moja matka nawet się nie maluje ani kremu nie używa, choćby Nivea. Taki glicerynowy, co w robocie dostaje, to i do rąk ma, do gęby i do wszystkiego. I dla dzieci, do smarowania dup.

– A... ty?

– Ja? O, ja się tak nie dam. – Gosia w lot zrozumiała moje pytanie. – Ja będę w życiu kimś, zobaczy pani. A jak będę do domu przyjeżdżać na święta, to we futrze i własnym autem, ludzie będą mi się kłaniać, a matka pod rękę będzie się ze mną po wiosce prowadzić. A tak! Niech tylko trochę stanę na nogi, robotę znajdę godną, w biurze jakimś, na ten przykład, to już się tak pazurami mojego losu uczepię, że nie odpuszczę o włos. Tylko w górę, nigdy w dół!

ROZDZIAŁ II

Bu

Sen miałam tej nocy niespokojny, zasypiałam, budziłam się, zasypiałam i tak w koło. Nie dlatego, że Bu (takie kociak otrzymał imię) nie dawał mi spać, bo po krótkim sporze o miejsce na poduszce pozwoliłam mu się w końcu umościć obok siebie. Szczerze mówiąc, nie potrafiłam znaleźć powodu mojej bezsenności, bo żadne konkretne myśli nie udręczały mojej głowy. Być może jeszcze nie poukładały mi się we właściwych miejscach dylematy wynikłe z opowieści Małgosi i stąd ten bliżej nieokreślony niepokój. Grubo po północy wstałam i zrobiłam sobie dubeltowego drinka. Pomogło. Obudziłam się sporo po godzinie ósmej. Bu znalazłam w przedpokoju, w prowizorycznej kuwecie.

– Mądry kiciuś – pochwaliłam, uzmysławiając sobie, że oto mam od teraz towarzysza i partnera do rozmowy.

Uprzątnęłam kuwetę, nakarmiłam parówką mojego małego współlokatora i widząc, jak nabiera pewności siebie i wigoru, rzuciłam mu orzech włoski do zabawy. Kociak natychmiast pojął, w czym rzecz, i zaczął turlać go po mieszkaniu, prezentując przy tym rozmaite kocie sztuczki. W jego wyobraźni orzech był wrogiem, potencjalną zdobyczą, która uciekała i atakowała go na zmianę. Miałam trochę zaległej pracy i w ten sposób chciałam wygospodarować sobie nieco spokoju. Zasiadłam do komputera i zaczęłam pisać artykuł o zjawiskach paranormalnych występujących w miejscach naznaczonych jakimiś dramatycznymi wydarzeniami. Pracowałam dla miesięcznika ezoterycznego „Horizont”. Podjęłam się tej pracy z potrzeby stałego zajęcia (a właściwie dochodu), który dla mnie, jako pisarki książek zwanych „kobięcymi”, bywał dość nieprzewidywalny. Zyskałam w ten sposób dość ciekawe zajęcie – do którego początkowo podchodziłam z przymrużeniem oka – oraz jaką taką pewność, że będę miała z czego opłacić miesięczne rachunki. Z książkami bywało różnie: czasem nakład sprzedawał się błyskawicznie, pozwalając mi przez jakiś czas realizować najbardziej wyszukane fanaberie, innym razem zmuszona byłam usiąść nad kartką, planując skrupulatnie miesięczne wydatki. Z czasem, im bardziej zagłębiałam się w „nadnaturalne” tematy na potrzeby mojej nowej pracy, zaczęłam traktować swoje zajęcie o wiele poważniej. Jako osoba z natury rzetelna i sumienna nie mogłam przecież serwować czytelnikom historii wyssanych z palca, choć wydawca pewnie nie miałby nic przeciw temu. Im bardziej sensacyjnie – tym lepiej, bo to oznaczało większą sprzedaż. Ale ja naprawdę zaczęłam studiować wszystko, do czego tylko mogłam mieć dostęp, a traktowało o rzeczach, o których „nie śniło się filozofom”. Chcąc

nie chcąc, przez ponad dwa lata współpracy z „Horrizontem” sama nabrałam przekonania, że świat, który jest nam dany od narodzin do śmierci, to tylko mały wycinek wszechrzeczywistości i to ona, a nie nasze „tu i teraz”, jest sensem i celem naszej ziemskiej egzystencji. Taki ogląd świata sprawił, że inaczej zaczęłam patrzeć na ludzi, inaczej postrzegać ich losy, a przede wszystkim zrodził we mnie konkluzję, że wszystko, co nam się zdarza, ma jakiś wyższy cel, ku czemuś zmierza, czemuś służy. To zaś z kolei w sposób istotny wpłynęło na moją ocenę spotykanych w życiu osób. Biorąc bowiem pod uwagę, że każda z nich ma do spełnienia w życiu jakąś misję (o której, nawiasem mówiąc, nie ma bladego pojęcia), pochopna krytyka czyjegoś stylu życia, poczynań czy życiowych wyborów byłaby zdecydowanie nie fair. Bo skoro czyjś taki właśnie styl życia, takie wybory i takie koleje losu miały być częścią znacznie ogólniejszego zamysłu i bez nich ów zamysł miałby się nie powieść – nie nam ganić Absolut.

I tu właściwie rodzą się dwa wyjścia: albo przyjmować bezkrytycznie wszystko i wszystkich w myśl wiary, że oto tak ma być i kropka, albo próbować to i owo zrozumieć za pomocą danych nam zmysłów. Wybrałam tę drugą opcję, ponieważ z natury jestem dociekliwa i analityczna. Myślę zatem, że gdyby Małgorzata stanęła na mojej drodze kilka lat wcześniej, byłabym dziś jedną z osób głośno odsądzających ją od czci i wiary. Ale ponieważ wstąpiła na grunt pozyskanej już przeze mnie pewnej, nazwijmy to, parażyciowej filozofii, moje uczucia względem niej dalekie były od bezkrytycznego potępienia.

Z zamyślenia wyrwało mnie miauczenie Bu, który wturlał orzech pod kanapę i domagał się teraz pomocy w jego odzyskaniu. Na szczęście pamiętał, gdzie go wturlał, wracając wciąż w to samo miejsce. Za pomocą mojej zabytkowej łyżki do butów udało mi się go stamtąd w miarę sprawnie wydobyć i postanowiłam w najbliższym czasie sprezentować kotu coś o większych rozmiarach, czego nie wepchnie pod żaden mebel – na przykład piłkę do tenisa ziemnego. Niestety, kociak był na tyle absorbujący, że kompletnie straciłam wątek. Absorbujący był sam w sobie, nawet jak spał. Nie byłam w stanie spojrzeć na niego choćby przelotnie, by zaraz nie rzucić się na niego z czułościami. Kocia uroda ma bowiem w sobie coś magnetyzującego, niepozwalającego napawać się nią jedynie za pomocą wzroku.

Nie chcąc marnować czasu, postanowiłam wykorzystać chwilową niemoc twórczą na zrobienie najbardziej niezbędnych zakupów, czyli jedzenia. Dla mnie i dla kota, rzecz jasna. Udałam się w tym celu spacerkiem w stronę najstarszej części miasta, gdzie skupiały się małe tradycyjne sklepiki. Tam zazwyczaj zaopatrywałam się we wszystko, co niezbędne – od artykułów spożywczych po środki czystości i drobniejsze przedmioty gospodarstwa domowego. Na szczęście –

na co wcześniej nie zwróciłam uwagi – mieścił się tam również sklep zoologiczny. Oprócz pokarmu zaopatrzyłam swojego nowego lokatora w prawdziwą kuwetę, żwirek, miski, obrózkę, zabawki oraz szampon. Gdyby nie wcześniejsza myśl, by dziś także ugościć na kolacji Małgorzatę, pewnie darowałabym sobie resztę sprawunków. Jednak tak już mam, że raz powzięty zamiar staje się dla mnie nieodwołalnym obowiązkiem. Dorzuciłam więc do pękających w szwach (ekologicznych, a jakże) toreb coś z ryb i drobiu. Jeszcze tylko warzywa i... być może jakoś się z tym wszystkim doczołgam do domu – pomyślałam.

Właściwie nie powinnam być zbyt zaskoczona, gdy przez szybę jednego z warzywniaków zobaczyłam uwijającą się za ladą Gosię. Przecież mówiła mi, że pracuje w warzywniaku. Zanim weszłam do środka, przyjrzałam się pracującej dziewczynie. I właściwie dopiero teraz, z dystansu kilku metrów, w pełni doceniłam jej niezwykłą urodę. Małgorzata była smukła, wysoka, bardzo zgrabna i zwinna. Smagła, zdrowa cera, białe równiutkie zęby w urokliwym uśmiechu i długie kruczo-czarne włosy dopełniały reszty. Gdyby dodać jeszcze do tego pełne, ładnie wykrojone usta i niebieskie (!) oczy w oprawie długich rzęs, subtelne łuki czarnych brwi – otrzymalibyśmy obraz niemal idealnej piękności o tym rodzaju urody, o jakim mogłaby pomarzyć niejedna topowa celebrytka. Niemal, ponieważ taki wizerunek Małgosi mógł się jawić jedynie przez szybę...

– O! Pani starsza! – Dziewczyna wykrzyknęła na mój widok, jak tylko otworzyłam drzwi sklepu.

Stojący w ogonku klienci jak jeden odwrócili się w moją stronę.

– Na zakupy czy tylko tak sobie? – spytała. – Bo jak na zakupy, to proszę. Usuń się pan! Nie widać, że kobieta w sile wieku objuczona jest jak wół i ledwo zipie?

Małgosia przepchnęła stojącą przy ladzie kolejkę do tyłu, używając do tego celu faceta, który już miał kupować. To znaczy faceta przepchnęła, reszta cofnęła się siłą rzeczy.

– Ależ nie kłopotz się, Gosiu, mam czas, zaczekam – odezwałam się, zmieszana sytuacją.

Dziewczyna machnęła tylko ręką, a ja, nie chcąc robić jeszcze większego zamieszania, poprosiłam o kilka pomidorów i czerwoną paprykę.

– Pani zostawi to cholerstwo, odniosę po dniówce – zaoferowała po uiszczeniu przeze mnie należności.

Niemal siłą wyrwała mi z ręki „kocie” zakupy – udało mi się wybronić jedynie produkty na dzisiejszą kolację i jedną puszkę karmy. W sumie uznałam, że będzie to niezły pretekst do kolejnej pogawędki.

– Co pani tak tam dziabie? – Małgorzata podeszła do otwartego laptopa

i rzuciła okiem na ekran.

– Piszę artykuły dla pewnego czasopisma. To moja praca – odparłam.

– O jakichś zjawach czy co? – spytała, wpatrując się uważniej w zaczęty tekst.

– Nie, o... – nie wiedziałam, jak to na jej użytek określić – o takich różnych rzeczach... Pozaziemskich. Niewytłumaczalnych logicznie wydarzeniach.

– Aaa... – Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem. – O zjawiskach paranormalnych?

– Tak – przyznałam zaskoczona.

– Czytałam trochę o tym. W gazetach, książkach różnych, w necie.

– Interesują cię takie sprawy?

Gosia zmieszała się wyraźnie.

– Bo ja wiem? Takie tam... bujdy. U nas na wiosce w co drugiej chałupie niby straszy. Tylko że miastowych nie straszy, tylko ciemne wioskowe baby. Co nie? – spytała z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

– Siadaj do stołu, zjemy i pogadamy. Lubisz ryby?

Gosia jak zwykle na wspomnienie o jedzeniu przełknęła ślinę i zaczęła się krygować bez większego przekonania. Musiała być bardzo głodna. Wpadła do mnie bezpośrednio po pracy, przyniosła moje toboły i jeszcze trochę rzeczy dla kota od siebie. Odsunęłam krzesło i bez słowa wskazałam jej miejsce przy stole. Zanim jednak usiadła, schwytała biegającego po kuchni Bu i posadziła go sobie na kolanach. Jakby w jego towarzystwie miała czuć się pewniej.

– Pstrąg w maśle czosnkowym z jarzynami – oznajmiłam, kładąc na stole półmisek. – Może być?

Dziewczyna skinęła tylko głową i natychmiast nałożyła sobie na talerz sporą porcję. Czując zapach ryby, Bu wskoczył na stół i zaczął częstować się bez skrępowania porcją Małgosi. Przez jakiś czas jadłyśmy w milczeniu. Ja – zwyczajowo, Gosia nie wiadomo, z jakiego powodu, ponieważ mówienie z pełnymi ustami nie stanowiło dla niej problemu.

– Jak tam w pracy? – spytałam po posiłku, raczej głupio, ale chciałam nawiązać jakąś rozmowę.

– Normalka. – Małgorzata wzruszyła ramionami i na powrót zamilkła.

– Coś cię trapi? – spytałam tym razem wprost.

– Nie... Myślę tylko o tym, co pani tam pisze na kompie. Do tej niby gazety.

Po co to?

– To jest moja praca, tak zarabiam na życie – powtórzyłam jeszcze raz, ale bardziej wyczerpująco.

– Zmyśla pani te różne historyjki? O tych... pasażerach nieboszczykach?

Tak?

Małgosia przeczytała widać fragment mojego reportażu

o autostopowiczach-widmach i to jej teraz nie dawało spokoju.

– Nie, nie zmyślam. Tematy biorę z listów od czytelników, opisują mi różne dziwne zdarzenia, których byli świadkami, albo jakieś historie podawane w rodzinie z ust do ust. Potem szukam w literaturze jakichś analogii, prawidłowości, próbuję uzasadnić rację bytu podobnych zjawisk. Tak to wygląda.

– Wierzy pani w takie pierdoły?

Tym razem ja wzruszyłam ramionami.

– I na przykład... nie uważa pani tych, co w nie wierzą, za stukniętych?

– Nie, nie uważam. Bo są rzeczy, których nie da się logicznie wyjaśnić. Ale to nie dowód, że nie istnieją. Nie ma też dowodu, że istnieją – a zatem pozostaje nam w nie tylko wierzyć. Lub nie. Ja podchodzę do nich całkiem serio. Jak się to mówi: im dalej w las, tym więcej drzew.

– Znaczy się, im więcej pani się o takich sprawach dowiaduje, tym bardziej poważnie je traktuje?

– Właśnie. Jak widzisz, nie tylko stare wsiowe baby uznają tę sferę za fakt, bo niektóre miastowe również – zażartowałam.

– Nie jest pani taka znów stara – pocieszyła mnie Gosia. – I w ogóle to mi się wydaje, że nawet dość mądra. Taka, jak to się mówi, otwarta na drugiego człowieka.

– To miłe – roześmiałam się. – W ramach podziękowania za komplementy weź sobie dokładkę. – Podsunęłam jej półmisek z pstrągiem i kotem, który po wylizaniu talerza Gosi właśnie zamierzał się do niego dobrać. Gosia zajała rybę z widoczną przyjemnością, kot w końcu skapitulował i pobiegł do przedpokoju.

Finał tej kolacji okazał się znacznie bogatszy w skutki, niż mogłabym przypuszczać. Kiedy odprowadzałam sąsiadkę do wyjścia, wyszło na jaw, że celem wcześniejszej pośpiesznej ewakuacji kota z półmiska miała być kuweta. Miała, ponieważ niezupełnie zdążył do niej dobiec. Dobiegł, powiedzmy sobie, częściowo, czekało mnie więc teraz nie tylko sprzątanie ze stołu. Niestety, chcąc ominąć zgrabnym półbrotem woniejący problem, pośliznęłam się i rymnęłam na podłogę. Z coraz bardziej bolącą nogą uporałam się z pracą, ale gdy wreszcie usiadłam w fotelu, ta zaczęła sinieć i puchnąć. Około północy zadzwoniłam po pogotowie i z pomocą czynnego ratownika oddałam się w ręce lekarzy. Do domu wróciłam nad ranem z unieruchomioną nogą i diagnozą złamania kości śródstopia.

ROZDZIAŁ III

Kurtyzana czy utrzymanka?

Ale piździ! I jak w taką pogodę z oknami zapier... zasuwać? O, sorry. Ale się obiecało, się zrobi! – oznajmiła Gosia, wkraczając do mojego mieszkania, wyposażona w zestaw czyszcząco-myjący: wiaderko, myjkę do okien, płyny i ścierki.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Gosiu. Ja bym sobie te okna może i darowała, ale za dwa dni Wszystkich Świętych, nie mogłabym patrzeć na nie spokojnie. W powszednie dni niechby sobie i były brudne...

– Nie ma sprawy, pani szanowna. Raz-dwa się z nimi uwinę, tym bardziej że to po połowie mój kot się przyczynił do nieszczęścia. Bu! Gdzie jesteś, łachudro? Dawnośmy się nie widzieli! No dobra, kocie, powalczymy później, teraz okna!

Bu, całkiem już spory kocurek, schował się gdzieś, gdy usłyszał Małgorzatę. Rzeczywiście, dość dawno nie miał z nią kontaktu i pewnie już od niej odwykł. Od ponad miesiąca Gosia nie odwiedzała nas wcale. Owszem, wpadała regularnie, ale najczęściej nawet nie przekraczała progu. Pytała tylko, czy czegoś nam nie trzeba, odbierała ode mnie listę sprawunków, a wieczorem również przez próg mi je podawała. Tłumaczyłam sobie, że jest jej po prostu głupio z powodu mojego wypadku – w jakiś sposób poczuwała się do odpowiedzialności za tamto zdarzenie i dbała przynajmniej, byśmy mieli z Bu co jeść. To ona wyposażyła mnie w wózek, jak tylko dowiedziała się o moim unieruchomieniu. Nie mam pojęcia, skąd go wytrzasnęła, ale sprzęt okazał się całkiem przydatny. Mieszkanie w starej kamienicy sprzyjało takiemu środkowi lokomocji: szerokie drzwi, brak progów, a przede wszystkim duże przestrzenie pozwalające na dowolne manewry. Nie sprzyjało natomiast posługiwaniu się kulą. Nie tyle mieszkanie, co parkiet, zapuszczony czymś na wysoki połysk i zdradliwie śliski. Zdążyłam już na nim wyrznąć ze dwa razy, próbując kicać na jednej nodze, kula nie dała mi wystarczającego oparcia. Na wózku nauczyłam się śmigać całkiem sprawnie w dość krótkim czasie.

Obserwowałam teraz Małgorzatę uwijającą się z oknami, mimo iż zabroniła mi na ten czas siedzenia w salonie.

– Jeszcze się pani przeziębi i kipnie na tych Wszystkich Świętych. I jak panią z taką nogą w trumnie upchną? – skonstatowała.

– E tam. Do trumny by mi ten opatrunek pewnie zdjęli, przecież po śmierci i tak się już nic nie zrośnie.

– Fakt – zgodziła się Gosia. – Tak czy śmak, lepiej niech się pani usunie.

Zawołam, jak skończę.

Nie mając nic lepszego do roboty, pojechałam do kuchni i postawiłam wodę na kawę, a następnie popadłam w zadumę. Nad Goską, rzecz jasna. Była ostatnio jakaś inna, nieco mniej hałaśliwa, za to bardziej zadbana. Teraz też. Przyszła myć okna w obcisłych skórzanych spodniach, bluzce ledwie zasłaniającej pępek, starannie umalowana i uczesana. Może znalazła sobie kogoś – pomyślałam. Choć przecież tak twardo deklarowała, że nie da się zbyt szybko uwikłać w żadnego chłopca. No cóż, miłość nie wybiera i chodzi po ludziach, jak chce... Ja też przed laty zupełnie inaczej widziałam swoje życie, dopóki nie pojawił się ten „on” i nie złamał wszelkich moich zasad oraz nie zburzył ambitnych planów...

Zaparzyłam kawę, ułożyłam ciasteczka na talerzyku i czekałam, aż Gosia skończy pracę. Po chwili wpadła do kuchni zarumieniona i lekko zdyszana.

– Teraz sio na salony, a ja się biorę za kuchnię – zarządziła. – Potem pani tu sobie przyjedzie, a ja się wezmę za sypialnię i ten... no... kuluar.

– Gabinet – tak nazywałam mój dzienny pokój służący do pracy, oglądania telewizji, słuchania muzyki. – A teraz proszę, zrób sobie przerwę, bo mam obawy, że to ty się przeziębisz. I mnie sumienie zagryzie na śmierć.

– Gdzież tam! – oburzyła się Gosia, ale wypiła na stojąco kilka łyków kawy, pochłonęła kilka ciastek, po czym osobiście przewiozła mnie do salonu, sama zaś wróciła do kuchni.

Po skończonej pracy szybko spakowała sprzęt do wiaderka i ruszyła ku wyjściu, nie pytając nawet o kota.

– Małgosiu! – Złapałam ją dosłownie w ostatniej chwili. – Może znów kiedyś wpadniesz do mnie na kolację, jak dawniej? Zapraszam.

– Dobrze – odparła po chwili wahania. – Przyjdę. Ale pod warunkiem, że to ja zaszerwuję wyzerkę. Może być?

– W porządku – zgodziłam się bez większych oporów.

Przez jakiś czas daremnie wyczekiwałam na znajomy raban pod drzwiami i spełnienie jej obietnicy. Wreszcie któregoś wieczoru Małgosia przyszła o stałej porze, czyli trochę po dziewiętnastej. Spodziewałam się, że jak zwykle wrzuci do przedpokoju swoje nieodłączne siatki z zakupami. Nic z tych rzeczy. Poza wściekle alarmującym dzwonkiem żadne z moich przewidywań się nie sprawdziło. Dziewczyna nie miała na sobie odwiecznego szarego płaszcza, ba, nie miała żadnej wierzchniej odzieży. Moim oczom ukazała się za to ładnie ubrana i „zrobiona” w każdym detalu piękna, młoda kobieta, dzierżąca w obu rękach duży srebrny półmisek. Wyminęła mnie zgrabnie i udała się prosto do salonu.

– Tadam! – zakrzyknęła tryumfalnie, zdejmując z półmiska pokrywę. – Geś, pani szanowna, szamiemy dzisiaj, z kaszą gryczaną i borowikami. A skoro tak, to

nie w kuchni, tylko jak ludzie, przy eleganckim stole. Pani spojrzy, jaka rumiana, co nie?

Spojrzałam nie tylko na gęś, jednym rzutem oka zlustrowałam też Małgorzatę. Miała na sobie tak zwaną „małą czarną”, obcisłą i krótką, rajstopy ze szwem i czarne lakierki na szpilce. Jej piękne krucze włosy, dziś wyjątkowo czarne i lśniące, spływały swobodnie na ramiona, kończąc się dokładnie w pasie. Całości dopełniał gustowny komplet biżuterii, ani chybi z najprawdziwszego srebra, z perłą i markazytami.

– Sa... ma piekłaś? – spytałam, po raz drugi na moment zapominając języka w gębie.

– Samiutka. – Gosia uśmiechnęła się szeroko.

Tak. Była naprawdę niezwykle piękną dziewczyną. I wyglądało na to, jakby jej to ktoś zdecydowanie uświadomił.

– Wobec tego jemy! Przyniesiesz z kuchni, co trzeba?

– Jasne.

Małgorzata starannie ułożyła na stole zastawę i sztucce, nie zapomniała o nożycach do drobiu, serwetkach, wykałaczkach, kieliszkach do wina. Te, jak się okazało, również były potrzebne: dziewczyna wybiegła bowiem dosłownie na minutę i wróciła z butelką... cabernet sauvignon!

– Dobre kupiłam? – spytała kokieteryjnie.

– Doskonale – pochwaliłam i podczas gdy ona mocowała się z gęsią, odkorkowałam butelkę. – Za co dziś pijemy? – spytałam, licząc na to, że co nieco się z tych nawarstwiających tajemnic wyjaśni.

– Za pani zdrówko, sąsiadko – odparła dziewczyna bez zajknięcia. – Bo jakby inaczej?

Do tej pory, jeśli byłam czegoś ciekawa, pytałam Małgorzatę o to wprost, przyjmując w tej kwestii jej sposób bycia. Dziś jednak dziewczyna na tyle mnie onieśmieliła, że trochę straciłam pewność siebie.

– Co u ciebie? – spytałam więc ogólnikowo. – Miałaś dzisiaj wolne, że zdążyłaś zrobić tyle rzeczy?

– E, nie... Ja już nie pracuję w warzywniaku. A gdzie kot? Mogę go złapać?

– Bu teraz rezyduje na kaloryferze w sypialni. Upodobał sobie to miejsce i jeśli nie szaleje po mieszkaniu, to znaczy, że się tam zaszył i śpi. Dostałaś lepszą posadę? Czyżby w biurze? – spytałam, bo praca w biurze była jej marzeniem.

– Nie – westchnęła Gosia i odłożyła widelec z nabitym kawałkiem mięsa.

Milczała przez dłuższy czas, piła na zmianę wino i herbatę, dłużyła w zębach wykałaczką, wycierała serwetką usta.

– Powiem pani, kuźwa, bo mam do pani słabość. Nawet jak mi przyjdzie tą gęś samej zeżreć i samej wypić to wino. Bo pani pewnie wrażliwa jest na moralności, co nie?

– Boże mój, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że obrabowałeś bank? – spróbowałam zażartować.

– Nie. Ale się przek... przekli...

– Przekwalifikowałaś?

– Dokładnie.

– No, jeżeli nie zrobiłaś niczego niezgodnego z prawem, nie okradłaś nikogo, nie zabiłaś, to chyba w porządku?

– Z prawem nie. Ino z przykazaniami boskimi. Niektórymi...

– To znaczy?

– To znaczy, że... dupy teraz, kurwa, daję, za kasę! Taka jestem!

Gosia wyrzuciła to z siebie, okraszając wypowiedź wulgaryzmami, jak zawsze, gdy chciała zamaskować wstyd, lęk, niepewność. Znałam ją już na tyle. Patrzyłam na nią w milczeniu, a ona odwzajemniała mi to spojrzenie, nie spuszczać wzroku. Jakby czekała na wyrok. Ale czemu mój akurat? Miała na świecie wiele bliższych sobie osób, których opinia powinna być dla niej zdecydowanie ważniejsza.

– No cóż, Małgosiu – zaczęłam ostrożnie. – To oczywiście twoja sprawa. I wołałabym nie wypowiadać swojej opinii na ten temat...

– To znaczy, że mam wyjść i więcej się tu nie pokazywać?

– Nie, absolutnie! Czegoś takiego przecież nie powiedziałam.

– A co pani powiedziała? – spytała Gosia zaczepnie.

– Nic. Bo nie wiem, co powiedzieć.

Miałam tylko nadzieję, że to młode, przecież całkiem niezepsute jeszcze dziewczę nie stoi przy drodze na leśnych drózkach albo że nie podjęła współpracy z jakimś sutenerem czy innym szemranym przedstawicielem tej prądawnej branży.

– I co? – Gosia nerwowo gniotła serwetkę.

– Nie wiem, Gosiu. Zaskoczyłaś mnie bardzo. Jak... do tego doszło? To znaczy co cię skłoniło do podjęcia takiej decyzji?

– Mówiłam pani, że robię to tu, to tam, gdzie się da.

– Mówiłaś.

– Ostatnio, to znaczy... parę tygodni temu przyszła do warzywniaka taka babka, wie pani, starsza niunia z pieseczkiem we sweterku, co to ogórka będzie godzinę oglądała, jakby nie do zjedzenia jej potrzebny był... Taka, no... dama, można powiedzieć. Jak jeszcze nie miałam roboty w ochronie, to czasem w soboty dorabiałam sprzątaniami, między innymi u niej. Wie pani?

– Teraz wiem.

– No i jak ona mnie zobaczyła, to ucieszyła się bardzo, bo do sprzątania potrzebowała kogoś na gwałt, a ze mnie zadowolona była. Ja jej na to, że już się w takie rzeczy nie babczę, ale ona nalegała, nalegała, kusiła... No to się zgodziłam na ten jeden raz.

O mój Boże, czyżby uwiodła kobiecie męża? – przemknęło mi przez myśl.

– Ale okazało się, że to nie o jej dom chodzi, tylko jej brata, takiego starszawego, samotnego gościa, emerytowanego profesora jakiegoś tam. Bo niby strasznie dom zapuścił, a ona nie może patrzeć, jak rodowe meble i dywany korniki zreją. Facet był innego zdania i powiem pani, że całkiem czysto w domu miał, ale to przecież tym lepiej dla mnie. Baba się uparła, on zgodził się dla świętego spokoju i tak to szło. Zaraz polubił mnie nawet, zagadywał coraz częściej... I tak od słowa do słowa obiecał, że mi pomoże się do matury przygotować, bo czas leci, a ja w czarnej dupie. Maj przyjdzie, ani się obejrzysz...

Dziewczyna od czasu do czasu przerywała swoją opowieść i wychylała kolejną lampkę wina. Milczałam i czekałam.

– No to przestałam ochraniać i zaczęłam na nowo sprzątać. Gościu był bardzo miły, zawsze stawiał obiad z deserem, a nawet kolację, jak się zasiedziałam na tych korepetycjach, tylko że... e... że...

– Że?

– Coraz bardziej świeciły mu się do mnie ślipy. Wkurzało mnie to, szczerze powiedziawszy, i tylko czekałam, aż mnie złapie za dupę, żeby mu dać w końcu w pysk i skończyć sprawę. Ale on nie, kulturalnie, tego... Powiedział, że przesłoniłam mu świat, że jestem jedyną radością jego życia, słońcem i czymś tam jeszcze, i normalnie się spytał prosto z mostu, czy będę z nim sypiała. W szoku byłam, proszę pani, i nic nie powiedziałam. A i on też się już więcej o to nie pytał, więc przychodziłam jakby nigdy nic, sprzątałam, potem on mnie odpytywał z lektur i z matmy. W rękę całował tylko przy lada okazji...

Małgosia znów umilkła, tym razem na dłużej. Wpatrzyła się nieruchomo w ogryzioną gęsią kość, zmarszczyła brwi, przygryzła dolną wargę. Ewidentnie biła się z myślami.

– I... i... któregoś razu stało się, proszę pani, sama nie wiem jak! Nawet nie umiem tego wytłumaczyć. Sobie nie umiem też, bo facet jest w wieku mojego dziadka, albo i lepiej... To znaczy jakby dziadek żył.

Pomyślałam trochę przekornie, że skoro w rodzinie Małgorzaty wszyscy się tak wcześnie rozmnażają, to jej dziadek mógłby być niewiele ode mnie starszy.

– ...nie żeby był jakiś obleśny ani spasiony, ani łysy, zęby ma nawet swoje własne, ale... noż kuźwa, wiadomo, nie poleciałam na niego, bo mi się podobał, co nie? Rozumie pani?

– Tak. Chyba tak.

– Rano byłam zła na siebie jak skurwysyn, wyłażę z tej sypialni cichaczem, bo jego już nie było, chciałam pić zwyczajnie i już nigdy się tam nie pokazać. Wsadzam głowę do salonu, żeby zobaczyć, czy droga wolna, a tam... kwiecica jak na cmentarzu we Wszystkich Świętych właśnie! Dziadek w garniaku przy stole, wino, kieliszki, choć jeszcze południa nie było, a jak mnie zobaczył, tak bęc na

kolana! Stałam jak wryta! I pudełko do ręki mi takie czerwone wciska, a w pudełku bransoleta z prawdziwiuskiego złota. No, teraz to już ci, facet, maznę – pomyślałam – bo co? Za co on mnie ma? Było, minęło, i tyle, nie takie głupoty dziewczyny w moim wieku robią. Tak jak mówię, chciałam tylko wyjść i zapomnieć o tej nocy.

– Zamierzał ci zapłacić w ten sposób za seks, tak?

– No, kiedy nie właśnie. Jakby za seks, to bym się z nim nie patyczkowała, za krawat i na głębę. I w ryja. A on, jak ujrzał moją minę, to od razu wstał i zaczął się tłumaczyć, że to za niewinność moją, że za ten... wianek, jak to się mówi. I dawaj na nowo klękać i po rękach mnie całować.

– Zaraz... to znaczy, że ten pan był twoim... pierwszym?

– No to co. – Małgosia wzruszyła ramionami. – Ktoś musiał. A ja, jak żyję, nie słyszałam, żeby ktoś z tej przyczyny podobne ceregiele wyprawiał. Zresztą, może nawet i lepiej, że on, a nie jakiś nawalony chłystek w krzakach po festynie, jak to się u nas na wiosce najczęściej praktykuje. A potem brzucho. Dziadek się znał na rzeczy, gumkę miał uszykowaną.

Coraz większa swoboda wypowiedzi Małgosi od czasu do czasu wzbudzała we mnie konsternację, ale też przywróciła mi odwagę zadawania śmiałych pytań.

– No dobrze, przespałaś się z nim, wzięłaś, jak się domyślam, upominek i dlatego uważasz się za... hm... kurtyzanę? – spytałam z nikłą nadzieją, że tak właśnie zakończyła się owa historia.

– Nie! To znaczy wzięłam, ale to nie był koniec. Jakub, bo on tak się nazywa, żenić się ze mną chciał. Ja nie wiem, co te starsze ludzie takie głupie czy jak, ale on uznał, że skoro mnie rozprawczył, to taki mus. Kuma pani coś z tego?

– Owszem, chyba kumam – odparłam ostrożnie. – Kiedyś takie pojęcia jak honor, odpowiedzialność czy nawet romantyczny mężczyzna istniały w praktyce. Z grubsza rzecz biorąc, można nazwać twojego wielbiciela dżentelmenem. A skoro jest wolny... Kawaler?

– Wdowiec.

– No właśnie. Skoro jest wolny, nie widział przeszkód, by ci zaproponować małżeństwo. Zwłaszcza że dałaś mu nadzieję, iż możesz odwzajemnić jego uczucia. Domyślam się, że nie przyjęłaś oświadczyn?

– No pewnie, że nie.

– I?

– Wypiliśmy to wino i mi wyklarował, jak on to widzi alter...natywnie. Że jak ja nie chcę ślubu, to nie, ale że moglibyśmy żyć jak mąż i żona ze wszystkimi prawami, a bez obowiązków. To znaczy wszystko, co jego, będzie także moje, że nie będę musiała już tyrać jak dziki osioł, bo on na moje utrzymanie da, kupi mi nawet auto, jak dostanę prawko, opłaci szkoły, jakbym chciała się uczyć, a ja mam tylko... umiłać mu noce i ładnie wyglądać. I co by pani na moim miejscu zrobiła?

– Boże, nie pytaj mnie o to, Gosiu, nie potrafię sobie nawet takiej sytuacji wyobrazić. Moje wszystkie związki opierały się wyłącznie na miłości, czasem głupiej, pochopnej, ale nie rozpatrywałam nigdy kolejnych chłopaków pod względem wymiernych korzyści. No, chyba że cechy ich charakteru, czy rokując jakąś sensowną wspólną przeszłość, czy nie.

– Wiem... To znaczy tak myślałam. Bo pani jest inna. A w ogóle to pani jest... całkiem inna.

– To znaczy?

– To znaczy, że pani jedna traktuje mnie poważnie, choć jest pani wykształcona i mądra. I Jakub mnie traktuje poważnie. A cała reszta myśli sobie o mnie: „taka tam Gośka, wsiowa laska, a we łbie kielbie”. Pani uważa, że ja tego nie widzę? Nie czuję? Czasem to aż we mnie wrze... Te gnoje, co im kota odebrałam, wrzuciły mi do mieszkania petardę przez balkon. Poszłam na policję, a jakże. A tam dzielnicowy, taki spasiony knur, siedział, niby słuchał, co do niego mówię, ale w którymś momencie przestał spisywać, obszedł biurko dookoła, złapał mnie za kolano i mówi: wiesz co, malutka? Może ja bym został twoim ochroniarzem? Już nikt nigdy by cię nie ukrzywdził...

Wpatrzyłam się w Gosię z uwagą, pełna najgorszych przeczuć. Te potwierdziły się błyskawicznie.

– Dałam mu w pysk i wyszłam, zanim się obejrzał!

– I co? Miałaś z tego tytułu jakieś nieprzyjemności?

– Z tego nie, ale z innego... Wróciłam do domu taka podjarana, że dużo nie myśląc, zbiegłam na parter i wzięłam sprawiedliwość w swoje ręce.

– To znaczy?

– Zadzwoiłam do drzwi u tych Majcherków, czy jak tam się ta hołota nazywa, i wpierdzieliłam synalkom, ale tak od serca. Mamuską też potyrpałam nieco, bo mi utrudniała czynności. I wie pani? Ona też poleciała na komendę, trafiła na tego samego oblecha, co ja, i... krótko mówiąc, czeka mnie teraz sprawa na kolegium. W warzywnym też było podobnie. Od czasu do czasu dało się żyć, ale kiedy po utarg przyjeżdżał małżonek szefowej, też łap przy sobie utrzymać nie umiał. Początkowo obracałam to w żart, później unikałam go, o ile się dało, ale jak któregoś razu rzucił mnie w magazynie na stertę kapusty, nie zdzierzyłam. Tak sponiewierałam gościa, że ledwie do auta dokuśtykał. Ten się przynajmniej nie poskarżył nikomu, ale ja miałam przerypane.

– Mścił się?

– Ba! Nagadał szefowej, że jestem niechluj, że nie zmywam dobrze sklepu, że kasę podbieram... A ona obniżała mi pensję, skończyły się darmowe warzywa, premie od utargu. Ale, kurde, żyć z czegoś musiałam, co nie? Zaciskałam zęby i robiłam swoje. Kiedyś przy okazji spytałam się go, co ja mu właściwie takiego zrobiłam, bo przecież tamto w magazynie było w ramach samoobrony. Wie pani,

co powiedział?

– No?

– Że za głupotę się płaci. Znaczy za to, że nie umiałam jego dobrej woli docenić. Mogłam mieć albo lepiej, albo gorzej, i że to był mój wybór... A teraz mieszkam od paru tygodni ze starym chłopem i zaciskam zęby, jak mi co noc do łóżka włazi. Tym razem wybór był prawidłowy. – Gosia roześmiała się cynicznie.

Dziewczyna była coraz bardziej podchmielona i coraz bardziej wylewna.

– Ale on mi przynajmniej nie mówi, że taki tłuk ze wsi jak ja tylko do jednego się nadaje. Szanuje mnie, mówi do mnie „Gosieczko”, kupuje kwiaty, zabiera to tu, to tam... I wszyscy mogą mi naskoczyć. Tak. Bo Jakub by się za mnie nawet bił, jakby było trzeba.

– Nie wiedziałam, że się wyprowadziłaś?

– Bo w sumie się nie wyprowadziłam. Tylko... chwilowo przeniosłam.

Małgorzata umilkła i zapatrzyła się w jeden punkt. A kiedy do salonu wkroczył Bu, przeciągając się i ziewając, porwała go w ramiona i wyczuła tak soczyście, że nieborak mył się przez resztę wieczoru.

– Nic mi pani nie powie? – spytała na zakończenie kolacji.

– Gosiu... Żyj tak, żeby nie krzywdzić innych. Jeśli będziesz zawsze pamiętała o tej maksymie, będzie w porządku – odparłam ostrożnie.

– A mnie krzywdzić wolno? Pomiatać mną tym wszystkim zbokom i innym głąbom? Co ja komu zrobiłam? Niech mi pani powie, bo ja do tego dojść nie potrafię...

– Oczywiście, że nie wolno, ale moim zdaniem metoda oko za oko, ząb za ząb nie jest dobrym sposobem na życie. Tak się można naprawdę zapędzić w kozi róg i zdecydowanie bardziej skrzywdzić siebie, niż osiągnąć poczucie sprawiedliwości. Warto o tym pamiętać, Gosiu.

Małgosia odłożyła na stół trzymany już w ręce półmisek i uściśnęła mnie serdecznie, pozostawiając ze średniego stopnia nieporządkiem i rozbrykanym na dobre zwierzakiem.

ROZDZIAŁ IV

Wigilia z kotem

Jak tylko odzyskałam sprawność chodzenia, postanowiłam odbić sobie całe to siedzenie w domu i zarezerwowałam bilet do teatru. Jeszcze przez kilka dni uczyłam się chodzić na nowo, ale w dniu spektaklu szło mi już jak z płatka. Czyli w miarę normalnie. Pomna tego, co było sztandarowym hasłem Gosi, że ciuchy i uczesanie odejmują kobiecie lat, włożyłam na siebie czarną sukienkę przed kolano, wielkie, sztuczne perły i zmierzwiłam artystycznie włosy. Nosiłam dość krótkie spódnice czy sukienki bez skrępowania, równie chętnie zakładałam wąskie spodnie, natura obdarzyła mnie bowiem ładnymi nogami, które – w przeciwieństwie do twarzy – zostały mi takie do dziś.

Był mroźny, grudniowy wieczór, wahałam się więc, czy nie zamówić taksówki, koniec końców wrzuciłam na ramiona sztuczne futerko (lub, jak mawiała córka mojej koleżanki: prawdziwe futro ze sztucznych zwierząt) i poszłam pieszo. Tyle czasu tkwiłam w czterech ścianach, że mojemu organizmowi należało się trochę świeżego powietrza. Teatr nie był daleko, normalnie pół godziny spacerkiem, ja jednak wzięłam poprawkę na śliską nawierzchnię oraz jakby całkiem nową nogę i wyszłam z domu sporo wcześniej. Śnieg chrząścił mi pod stopami, a z nieba sypało się drobniutkie srebro, połyskujące bajecznie w świetle ulicznych lamp. Miasto gotowe było na przyjęcie świąt – z witryn sklepowych i fasad kamienic zwisały całe kaskady kolorowych światełek, udekorowane lampkami były zarówno świerki, jak i golutki już drzewa liściaste. Było przepięknie! Wciągnęłam mroźne powietrze głęboko do płuc i wyrzuciłam je z siebie gęstym obłokiem pary. Magia wieczoru sprawiła, że mogłabym tak iść i iść, jak zahipnotyzowana. Czułam się trochę, jakbym przeniosła się do bajki Disneya, i gdyby nagle zza rogu ukazały się sanie ciągnięte przez renifery, nie zdziwiłabym się wcale...

Spektakl był lekki i zabawny, choć fabuła z początku rozkręcała się dość wolno. Z gatunku... ni to dramat, ni kabaret, ni musical. Uwielbiam jednak, gdy sztuce teatralnej towarzyszy żywa orkiestra, więc mogę powiedzieć, że podobało mi się bez większych zastrzeżeń. W każdym razie widownia bawiła się doskonale – a ja z nią.

W przerwie zeszałam na dół, by kupić sobie jakąś wodę czy sok. Ustawiłam się w kolejce i pierwszą osobą, na której spoczęły moje oczy, była... Małgorzata. Prezentowała się olśniewająco. W kremowej bluzce z cieniutkiego jedwabiu, długiej czarnej spódnicy, z upiętymi wysoko włosami, zdecydowanie wyróżniała

się urodą, sylwetką, prezencją. Dziewczyna, jakkolwiek trochę nieokrzesana, do ciuchów miała idealne wycucie, gust i smak. Obok niej stał bardzo wysoki, szpakowaty mężczyzna w garniturze, tak na oko koło sześćdziesiątki. Małgorzata też była wysoka, ale różnica wzrostu między nimi była bardziej niż znaczna. Jej towarzysz prezentował się równie wytwornie i był, moim skromnym zdaniem, bardzo przystojnym mężczyzną. O ile to był ów „stary chłop”, z którym sypiała nie całkiem bezinteresownie, to sama bym chciała takiego. I nie musiałby mnie do siebie przekonywać za pomocą prezentów...

Kupiłam wodę i z zamiarem ominięcia szerokim łukiem tej pary (niezręcznie mi było jakoś narzucać im swoje towarzystwo) chciałam zająć miejsce na widowni. Gosia jednak mnie w końcu dostrzegła. Pomachała mi radośnie, nie pozostało mi więc nic innego, jak poczekać, aż przedrze się przez tłum, by się ze mną przywitać.

– Tak się cieszę, że panią widzę! Jak noga? Już w porządku? A to jest Jakub – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Dorota. – Podałam mu rękę.

Jakub ucałował ją z namaszczeniem i rozpoczął naszą znajomość banałem typu: „Gosia wiele mi o pani opowiadała”. Porozmawialiśmy chwilkę, a kiedy rozległ się dzwonek, dziewczyna oznajmiła, że po przedstawieniu musimy koniecznie, ale to koniecznie wejść gdzieś razem na winko. Mężczyzna przytaknął zgodnie. Nie bardzo wiedziałam, czy sama tego chcę. Pomyślałam, że wiedząc, jaki łączy ich układ i jak Małgorzata do tego podchodzi, mogę czuć się trochę głupio. Gosia była jednak nieugięta, a ja nie znalazłam żadnego dobrego wytłumaczenia, by się jej wywinąć.

Moje obawy były na szczęście bezpodstawne. Jakub okazał się człowiekiem o sporym poczuciu humoru i dystansie do całej sytuacji.

– A co dla mojego Kwiatka? – spytał z uśmiechem, gdy ja już złożyłam zamówienie u kelnerki.

– Wino jakies i colę poproszę. Strasznie mi się chce pić, gorąco było w tym teatrze, co nie?

– Owszem. I powietrze było dość suche – odparłam.

– A może coś słodkiego? Skuszą się panie na jakies dobre ciacho? – zaproponował Jakub.

– Nie chcę, bo mnie już zmuli na ament. – Gosia wzięła do ręki kartę menu, po czym odłożyła ją z powrotem. – Wino zamów, całą butelkę najlepiej. Jakie jest to pani ulubione? Bo zapomniałam...

Gosia, zwracając się do mnie, zaniechała ostatnio używania przymiotnika „starsza”, za co byłam jej teraz niezmiernie wdzięczna.

– Mniejsza z tym. Dziś ty wybierz, jakie lubisz.

– Wobec tego weźmiemy wermut – zdecydował Jakub ze znajomością rzeczy.

Mężczyzna patrzył na Małgorzatę z nieustającym zachwytem, bez zmrużenia oka przyjmował jej słowne lapsusy i niezręczności w zachowaniu, czasem tylko komentując to czy owo delikatnie i z uśmiechem, tak by nie zrobić jej przykrości.

Czyżby kolejny Pigmalion w jeszcze bardziej współczesnym wydaniu? – przebiegło mi przez myśl, po czym zadowolona ze skojarzenia, uznałam, że z przyjemnością zobaczę kiedyś, co z tego wyniknie... Dowiedziałam się, że Jakub jest emerytowanym wykładowcą akademickim z tytułem doktora nauk humanistycznych. Lubię humanistów, takich z przekonania i z misji, a Jakub był taki właśnie. Dało się to wyczuć w każdym zdaniu i postawie: błyskotliwy, dowcipny, życzliwie krytyczny w stosunku tak do siebie, jak do innych. Niewątpliwy erudyta, jednak na użytek swojej partnerki mocno trzymający w cuglach chęć brylowania na różne tematy. To dało się wyczuć. Chętnie pogawędziłabym z nim swobodniej, ale oboje musieliśmy dostosować się do sytuacji. Nie chodziło o to, że Małgorzata była głupia; przeciwnie, była inteligentną, otwartą na wiedzę i ciekawą świata dziewczyną, jednak z ogromnymi brakami. Muszę przyznać, że ją lubiłam taką, jaka była, a wszystkie jej niedostatki miały nawet w sobie coś uroczego, pierwotnego i niewinnego.

– Co pani taka niegadatliwa dziś? – wyrwała mnie z tych rozmyślań Małgosia. – Złe się pani czuje czy co? Noga boli?

– Ależ nie – zaśmiałam się prawie całkiem swobodnie. – Dawno nie wychodziłam z domu i chyba zdziczałam trochę.

– To my panią oddziczymy, co nie, Jakub? Zmienimy lokal, zapraszamy panią do siebie – zadecydowała Gosia.

– Oczywiście – potwierdził Jakub. – Porwiemy panią Dorotę na kolację i na koniaczek. Lubi pani koniak? Bo mój Kwiatek gustuje tylko w winach i kompletnie nie mam się z kim napić tego zacnego trunku.

– Kwiatek? – spytałam.

– Tak. Margaretka. – Uśmiechnął się mężczyzna, patrząc na Gosię z tkliwością. – Niby taka zwyczajna, skromna, ale jak się jej bliżej przyjrzeć, wykwintnie misterna i krucha. A przede wszystkim: urocza, prawda?

– Prawda.

– Więc jak będzie z tym koniaczkiem?

Z jednej strony miałam ochotę przyjąć zaproszenie, nie czekało mnie dziś bowiem nic innego, jak długi nudny wieczór w towarzystwie kota. Z drugiej zaś przebywanie w towarzystwie tych dwojga groziło mi dłuższą melancholią z powodu mojego pustelniczego życia. Ja nie kochałam i nie byłam kochana. Bałam się, że poza-zdroszczę Gosi tak czulej, męskiej adoracji i sama zatęsknię za jakąś drugą połówką... Oczywiście, mogłabym jeszcze ułożyć sobie z kimś życie, ale tymczasem jak najbardziej odpowiadało mi swoje własne towarzystwo i Bu jako namiastka przyjaznej duszy.

– Chętnie się z panem tego koniaczku napiję – odparłam w końcu, zaskakując poniekąd siebie samą.

Jakub odebrał samochód z parkingu teatru i podjechał niemal pod same drzwi kawiarni. Jechał wolno, drogi były bardzo śliskie, miasto bowiem jak zwykle nie sprostało zimie w pierwszym starciu. Jego dom usytuowany był nieco poza samym centrum i okazał się być przedwojenną, okazałą willą, zachowaną w oryginalnym stylu, z umeblowaniem „z epoki”. Małgorzata milczała przez całą drogę, ewidentnie walcząc z sennością. Już na miejscu ożywiła się na tyle, by nakryć do stołu, jednak po kolacji i trzech lampkach wina skapitulowała. Jakub ułożył ją na sofie w salonie i okrył troskliwie puszystym kocem. Uśmiechnął się do siebie na ten widok i wrócił do stołu.

– Od dawna zna pani Gosię? – zapytał.

– Nie. Z widzenia dłużej, ale tak osobiście jakieś parę miesięcy. Jesteśmy tylko sąsiadkami, połączonymi... wspólnym kotem.

– Wiem, opowiadała mi. Gosia to bardzo dobra dziewczyna, uczuciowa, kocha zwierzęta. I w ogóle chyba cały świat.

Wypiłam kilka łyżków koniaku, zastanawiając się, czy równie dobrze orientuje się w jej uczuciach do siebie. On jakby czytał w moich myślach.

– Ja wiem, jak to wygląda. Podstarzały facet wyrwał, jak to się teraz mówi, młodą laskę i całkiem bezkrytycznie zgłupiał na jej punkcie. Małgorzata jest piękną kobietą. Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, pomyślałem, że jest wręcz nierealna z tą swoją doskonałą urodą. Ale to nie tak...

– Uważa pan, że powinien mi o tym mówić? – spytałam zażenowana jego gotowością do zwierzeń.

– Tak czuję. W sumie sam przed sobą tłumaczę się z tego dość często, ale wie pani, człowiek jest dla siebie wyjątkowo pobłażliwy; ciekaw jestem, jak ktoś z zewnątrz przyjąłby to moje „wyznanie winy”.

– Winy?!

– Tak, bo w takich kategoriach postrzegany jest nasz związek, jednak w zależności od oceniającego wina nie zawsze leży po tej samej stronie. Moja rodzina uważa, że to Gosia mnie omamiła, by odrzeć mnie z honoru, czci, a przede wszystkim majątku. Sąsiedzi natomiast, głównie sąsiadki – Jakub zaśmiał się – są zdania, że oto ja, stary lowelas, kierując się przyziemną chucią, rujnuję życie młodej niewinnej panience, zabieram czas, który powinna wykorzystać na uczciwy związek małżeński z kimś w jej wieku i na urodzenie dzieci.

– Skąd pan to wszystko wie? Ludzie zazwyczaj nie głoszą takich sądów wprost. Raczej, co wiem z doświadczenia, oburzają się za plecami.

– Oni się **nie oburzają**. Oni dobrze życzą i radzą z **dobrego** serca: moi krewni mnie, a sąsiedzi i znajomi Małgosi.

– To oczywiste, tacy są ludzie. – Wzruszyłam ramionami. – Nic w tym

dziwnego.

– Wiem i dlatego nie martwi mnie to zbytnio.

– Co więc pana martwi?

– Świadomość. Moja świadomość stanu rzeczy. Ja wiem, że ona mnie nie kocha, i nie oczekuję tego od niej. Ja natomiast kocham ją do szaleństwa. To jest egoistyczne z mojej strony i doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Mam tylko nadzieję, że oboje czerpiemy z siebie sprawiedliwie i po równo realizujemy swoje potrzeby. Bo Gosia to dla mnie nie tylko piękne, młode ciało. Fascynuje mnie jej umysł. Szczerłość, naiwność, prostolinijność. Kompletny brak życiowej kalkulacji.

Tu Jakub spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi, jakby zamierzał zaprzeczyć czemuś, czego nie powiedziałam i nie odważyłabym się powiedzieć.

– Tak, pani Doroto, brak kalkulacji. Bo to, że jest ze mną, nie jest motywowane opłacalnością, to zachowanie czysto intuicyjne. Gosia jest bardzo niepokorna, zagubiona, nieporadna. Jestem przekonany, choć być może ona sama sobie tego nie uzmysławia, że oczekuje ode mnie bardziej oparcia, poczucia bezpieczeństwa niż zapewnienia materialnego bytu...

– Sądzę, że ma pan rację – przyznałam.

Pomyślałam wówczas, że być może to był również powód, dla którego upodobała sobie mnie, moje opinie były dla niej ważne, moje sądy słuszne – obdarzyła zaufaniem prawie nieznaną sobie kobietę. Jakub poczuł się wyraźnie usatysfakcjonowany moim poparciem dla swoich tez i w końcu zmieniliśmy temat na bardziej ogólny. Uporaliliśmy się z całą butelką koniaku do drugiej nad ranem. Do domu wróciłam taksówką, mimo iż gościnnie (i odpowiedzialny za moje opilstwo) gospodarz zaproponował mi nocleg w swoim wielkim domu. Swoim i Małgorzaty.

Nie planowałam wcześniej włóczenia się po nocy, a tym bardziej nie planowałam nabawienia się kaca. Miałam trochę zaległej pracy i zamierzałam całą niedzielę prześlęczyć przy komputerze, jednak ani szum w głowie, ani pełen urazy o tak długą rozłąkę kot mi na to nie pozwalały. W okolicach południa zwlokłam się z łóżka, strząsając z siebie namolnego Bu, nakarmiłam go, siebie zaś napiłam colą z wódeczką w myśl zasady: klin klinem. Pomogło – mogłam zasiać do pracy. Moja skrzynka mejlowa pękała w szwach, artykuł o auto-stopowiczach-widmach dla „Horizontu” wzbudził ogromne zainteresowanie wśród czytelników. Ludzie zadawali pytania, komentowali, opisywali podobne historie ze swojego życia. Wyglądało na to, że trzeba będzie pociągnąć ten temat. Osobom niezainteresowanym zjawiskami paranormalnymi wyjaśnię może, w czym rzecz. Otóż są pewne specyficzne zjawiska w świecie, a charakteryzują się tym, że dochodzi do nich zawsze w pobliżu dróg i szos. Przebieg i okoliczności zdarzenia

są bardzo podobne: mrok lub mgła, pusta droga, fatalna pogoda. Przed nadjeżdżający samochód wkracza na jezdnię osoba sprawiająca wrażenie potrzebującej pilnej pomocy. Prosi kierowcę o podwiezienie do domu i mało kto odmawia, bo dramaturgia sytuacji sugeruje, iż jest to sprawa życia lub śmierci. Pasażer podaje nazwę miejscowości znajdującej się po drodze i później już rozmowa się nie klei. Jediną rzeczą, jaką powtarza ta osoba, jest adres, pod który chce się jak najszybciej dostać. Na miejscu natomiast okazuje się, że oprócz kierowcy w samochodzie nie ma nikogo! Jeśli kierowca jest dociekliwy, sam udaje się pod wskazany adres, gdzie ku swemu zdumieniu i przerażeniu zostaje poinformowany, że osoba towarzysząca mu w podróży od jakiegoś czasu nie żyje. Zginęła tragicznie w miejscu, w którym nastąpiło feralne spotkanie.

Podobno człowiek, który zginął nagle albo zmarł, będąc pod wpływem alkoholu lub innych używek, często nie jest świadomy, że nie żyje. Dlatego za wszelką cenę próbuje zrealizować to, co było jego celem tuż przed śmiercią. Scenariusz się powtarza i często uczynny kierowca dowiaduje się od rodziny zmarłego, że nie jest pierwszą osobą wykorzystaną w ten sposób przez nieszczęsnego ducha.

Nie jestem w stanie ocenić, ile jest w podobnych historiach prawdy, na ile są wytworem ludzkiej wyobraźni czy legendą przekazywaną z ust do ust. Relacje o tego typu zjawiskach pochodzą z całego świata, w Polsce zaś padają nazwy takich miejscowości jak Adamów, Przełęk czy pewien odcinek trasy z Mielca do Rzeszowa. Zjawy bywają w różnym wieku; świadkom zdarza się opowiadać o żołnierzu z czasów pierwszej wojny światowej, młodej dziewczynie jakby żywcem wyjętej z lat sześćdziesiątych czy całkiem współczesnej kilkuletniej dziewczynce. Przeczytałam wszystkie informacje od czytelników i muszę przyznać, że niektóre historie naprawdę przyprawiły mnie o dreszcze. Moim zadaniem na szczęście nie było ich wyjaśnianie, lecz wybranie tych najciekawszych i opublikowanie ich w formie artykułu.

Na ten raz wybrałam opowieść czytelnika z Oławy, którego kilka lat temu doświadczył okrutny los. Jego dziewczyna raptem dwa tygodnie przed planowanym ślubem została zgwałcona, dotkliwie pobita i porzucona na poboczu drogi. Noc była zimna, droga rzadko uczęszczana, nie doczekawszy żadnej pomocy, ofiara zmarła w wyniku odniesionych ran i wyziębienia. Do dziś nie odnaleziono sprawcy, natomiast do drzwi niedoszłego małżonka zaczęli dzwonić, najczęściej nad ranem, obcy ludzie informujący, że tu właśnie mieli podwieźć dziewczynę, która u celu podróży... rozpyłyła się jak powietrze. Co najdziwniejsze, byli to wyłącznie motocykliści. Mężczyzna pisał, że widmo zawsze miało przy sobie duży pakunek (narzeczona pojechała owego dnia odebrać suknię ślubną z salonu) i rozpaczliwie nalegało na podwiezienie do domu narzeczonego. Motocykliści ulegali tej prośbie, mimo iż nie mieli zazwyczaj zapasowego kasku,

bo pora dawała spore szanse na dotarcie na miejsce bez napotkania patrolu policji. Jednak tuż przed podanym adresem kierowca przestawał czuć w pasie uścisk pasażerki, na miejscu okazywało się natomiast, że... nie ma po niej śladu. Nie mogła niepostrzeżenie ani zeskoczyć, ani spaść bez zakłócania równowagi jednośladu.

Mężczyzna na zakończenie napisał, że po śmierci dziewczyny kompletnie się załamał, a kiedy powoli zaczął wracać do równowagi, pojawiły się te dziwne historie i jego życie znów popadło w ruinę. Prosił o pomoc w wyjaśnieniu sprawy, odnalezieniu mordercy i zapewnieniu narzeczonej spokoju. Ta opowieść wstrząsnęła mną bardziej niż inne, brzmiała wiarygodnie, a poza tym dotyczyła całkiem odwrotnej strony medalu: relacji osoby bliskiej zmarłej dziewczyny, a nie kierowcy, jak we wszystkich innych przypadkach.

– Popatrz, kocie, czego to ludzie od nas oczekują – zwróciłam się do Bu śpiącego w najlepsze na moich kolanach. – I co my teraz zrobimy?

– Mrrrr – odpowiedział kot i zwinął się w ciaśniejszy kłębek.

– Tak właśnie myślałam...

Z ciężkim sercem wyprosiłam śpiocha z kolan, bo już była najwyższa pora, żeby coś zjeść. Nie chciało mi się celebrować niedzielnego obiadu, wrzuciłam więc do mikrofali parę ziemniaków w mundurkach i przyrządziłam sos jogurtowo-koperkowy. Pokręciłam się jeszcze trochę po kuchni, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Pomyślałam, że to pewnie Małgorzata, i otworzyłam bez zerknięcia przez wizjer. Na klatce stała Majcherkowa, mama łobuzów z parteru.

– Pani pójdzie za świadka! – oznajmiła bez wstępów.

– Tak? A czego? – spytałam, choć domyśliłam się od razu, że chodzi o sprawę Gosi.

– Ta przybłęda, nie wiadomo skąd, pobiła mi dzieci. Za tydzień rozprawa.

– Nawet jeśli, to ja niczego takiego nie widziałam.

– Ale widziała pani, jacy chodzili posiniaczeni.

– Niestety, nie widziałam. Przez miesiąc nie wychodziłam z domu, a oni do mnie nie zaglądali. A szkoda...

– No to jak będzie?

– Jak ma być? – zdziwiłam się. – Nie mogę świadczyć o czymś, przy czym mnie nie było.

– Ale ja pani mówię, że było. – Majcherkowa aż sapała ze wzburzenia. – To pani może.

– Mogę co najwyżej powiedzieć, że pani mnie poinformowała o pobiciu synów. Jak zapytają, przez kogo, powiem, że nie wiem, bo nie brałam udziału w zdarzeniu. Nawet jako obserwator.

– Jak to pani nie wie, skoro JA mówię?!

– I tak właśnie ostatecznie mogę zeznać, jeśli pani mnie poda jako świadka.

– Czyli że co?

– Czyli że PANI mówi.

– Podam! – poinformowała mnie Majcherkowa i walcząc z tuszą, ruszyła w drogę powrotną. Na szczęście tym razem w dół, bo dzieliły nas aż cztery piętra.

Wróciłam do komputera z talerzem ziemniaków polanych sosem. Uwielbiałam takie jedzenie, pewnie mogłabym się odżywiać w ten sposób bardzo długo, zanim by mi obrzydło. Jednak pewne nawyki i wychowanie wyniesione z domu skłaniały mnie do przyzwoitego jedzenia, tak w formie, jak i w treści, czyli: przy stole, zróżnicowanie i raczej zdrowo. Ponownie zagłębiłam się w lekturze mejla od mężczyzny z Oławy. Czułam, że jak tak dalej pójdzie, moja mała zobowiązująca do tej pory praca zacznie wymagać ode mnie o wiele większego zaangażowania. Na przykład ruszenia w teren... W sumie mogłam zignorować jego prośbę i zająć się inną sprawą, niewymagającą żadnych empatycznych zachowań, ale jak już wspomniałam, jestem osobą rzetelną i dociekliwą. Do wieczora uporałam się ze skonstruowaniem z podanych mi wiadomości niemal poetyckiego utworu i wysłałam go do redakcji. Mężczyźnie zaś odpisałam, że jeśli podejmę w tej sprawie jakieś kroki, to najwcześniej wiosną. Bo nie da się zbadać jej na odległość.

Na sądowym korytarzu spotkałam Gosię z Jakubem, Majcherkową z synami i dzielnicowego. Ten ostatni, gruby, ze spoconą twarzą, łypał od czasu do czasu okiem na Małgorzatę. Mama Majcherkowa podchodziła do niego co chwilę i szeptała mu coś do ucha.

Na salę rozpraw wezwano powódkę i poszkodowanych. Matka, świadek wydarzenia, niestety musiała na razie pozostać za drzwiami. Po znacznie krótszym czasie, niż można było się tego spodziewać, cała trójka pojawiła się z powrotem. Małgorzata roześmiana, chłopcy z opuszczonymi łbami.

– Co jest? Co jest? – dopytywała się niecierpliwie Majcherkowa.

– A nic. Już po sprawie – odparł, sądząc z tuszy i wzrostu, starszy syn.

– Jak to? A my? A ja?

– Państwo nie będziecie potrzebni, udało się wyjaśnić zajście bez świadków – powiedziała sędzia, wychodząc z sali.

– Serio? – zapytałam Małgosię.

– Tak. Chodźmy stąd – odparła wesoło, po czym ujęła mnie i Jakuba pod ramiona. – Trzeba to uczcić!

– Ale... no co? Ile dostała? – dobiegł nas już na schodach głos Majcherkowej. Odpowiedzi nie było.

Domyślałam się, że Małgorzata znów zaproponuje jakąś eskapadę do knajpy lub Jakub zaprosi mnie do nich na lampkę koniaku. Ubiegłam ich zatem

i postanowiłam tym razem, że „oblewanie” odbędzie się u mnie. W barku zawsze coś stało, a o zaopatrzenie lodówki dbałam już teraz dość regularnie. Jakub chętnie przystał na moją propozycję, Gosia, nie wiadomo czemu, mniej, ale również się zgodziła.

– Ładne mieszkanie, duże – pochwalił partner Małgosi, gdy już byliśmy na miejscu.

– Nie ujmując niczego pańskiej willi – skomentowałam ze śmiechem.

– No niestety, czasem chętnie przeprowadziłbym się do czegoś mniejszego. I niekoniecznie musiałyby to być dom. Jednak póki co dzielimy we dwoje te liczne komnaty...

– Póki co? – podchwyciła Małgorzata.

– Póki mnie nie rzucisz, kochanie.

Małgosia nie odpowiedziała.

– Pomogę pani w kuchni – zaoferowała prędko i wyszła z salonu, zanim ja to zrobiłam. Czym prędzej potruchtalam za nią, zostawiwszy Jakuba samego z jego niewczesnymi odżywkami.

– Nie wiem, czym was ugościć – zastanowiłam się na głos. – Pora jest w zasadzie obiadowa, mam paszteciki z mięsem i kapustą. Sklepowe, i barszczyk z torebki... No i coś mniej zobowiązującego... Na zimno?

– Dobra, niech pani grzeje te pasztety, a ja zrobię półmisek – zarządziła Małgosia i bardzo sprawnie oraz estetycznie ułożyła na dużym talerzu wszystko, czym dysponowałam.

Zdjęłam śpiącego na mikrofali kota i zastosowałam się do zaleceń Gosi. Bu natychmiast rozpoczął zebraczy proceder u stóp Gosi, która zawiadywała wędliną.

– Nie zamierzasz go chyba rzucić kiedyś tak z dnia na dzień? – spytałam ściszoneg głosem.

– W tym właśnie sęk – westchnęła Małgosia.

Pokroiła drobno plasterki szynki i podała go Bu na talerzyku od filiżanki.

– Bo ja kompletnie nie wiem, co dalej. On jest bardzo w porządku, sama pani widzi. Ale żeby się wiązać z nim do końca życia, to nie wystarczy, co nie?

– Czasem wystarczy. Bo przyzwoitość to cecha raczej stała, natomiast miłość i wszystkie te uniesienia, jeśli je masz na myśli, bywają bardzo zwodnicze. I nietrwałe. Oczywiście, rozumiem, że skoro ty jeszcze tego nie zaznałaś, to pewnie prędzej czy później i tak cię dopadnie, choćbyś miała nie wiem jak dobre chęci. Więc ja na twoim miejscu też bym nie wiedziała, co dalej.

– Na razie o tym nie myślę, ale sama pani widzi, że Jakub robi takie różne... aluzje. I ja wtedy milczę właśnie.

– Więc tak mu odpowiedz: że na razie niczego nie planujesz i zostawiasz sprawy swojemu biegowi.

– Bo to prawda... – Gosia przerwała, gdy w drzwiach kuchni pojawił się

Jakub.

– Ktoś dzwonił do drzwi. Nie słyszałyście, papużki?

– To weź i otwórz – poleciała mu Małgosia.

Jakub spojrział na mnie pytająco.

– Oczywiście, proszę otworzyć, jeśli pan taki łaskaw. My mamy brudne ręce.

Po chwili w przedpokoju dał się słyszeć piskliwy damski głos na zmianę z niskim głosem Jakuba. Wytarłam ręce w fartuch i poszłam zobaczyć, co się dzieje. To była Majcherkowa.

– Jest i pani! – ucieszyła się jadownicie na mój widok. – Pięknie, pięknie! I co, świętujecie sobie teraz we czwóreczkę? Niech was szlag jasny trafi!

– A tak konkretnie o co pani chodzi? – spytałam, jeszcze spokojnie.

– Tfy! – Splunęła mi pod nogi Majcherkowa. – Inteligencja, pożał się Boże! Bo człowiek, co ani pieniędzy, ani układów żadnych nie ma, zawsze w dupę bity jest. A tego to ja znam. – Kobieta wycelowała paluchem w Jakuba.

– Nie przypominam sobie... żebym miał przyjemność... – odparł zmieszany.

– Jeszcze czego! – prychnęła Majcherkowa. – Mieszka na Zacisznej, zgadza się?

Jakub nie potwierdził ani nie zaprzeczył, wpatrzył się natomiast w kobietę z jeszcze większą uwagą. W tym momencie do rozmowy włączyła się Gosia.

– Może by tak jaśniej, co? Pani w zasadzie w jakiej sprawie, tylko szybko, bo my nie mamy czasu na głupie gadanie.

– W sprawie oszustwa sądowego i fałszywych zeznań – odpowiedziała purpurowa na twarzy Majcherkowa.

– A może raczej w sprawie fałszywego oskarżenia? Domyślam się, że przyszła mnie pani przeprosić...

Niewiasta, o ile to możliwe, spąsowiała jeszcze bardziej i nadęła się jak balon, Gosia jednak nie czekała na odpowiedź.

– Synkowie pani nie powiedzieli, że wycofali oskarżenie?

– Wycofali? – spytaliśmy niemal jednocześnie z Jakubem, ponieważ relację z przebiegu rozprawy zostawiliśmy sobie do otwarcia butelki.

– A i owszem. Jak ich na dzień dobry sędzia zapytała, czy prawdą jest, że powódka sama dała radę takim dwóm potężnym facetom, wszystkiemu zaprzeczyli. Oznajmili, że pobili się między sobą, a mamcia zwidy miała, bo już trochę jest głucha i ślepa – nie darowała sobie puenty Małgosia.

– Ja ci tego, wywłoko, płazem nie puszczę... – warknęła przez zęby Majcherkowa. – Jak mi Bóg miły!

Jakub zrobił krok naprzód, ale Małgosia go ubiegła, pochyliła się w stronę kobiety i spytała głośno i dobitnie:

– A miły pani?!

Majcherkowa wyszła i sama zatrzaskała za sobą drzwi.

– No, to faktycznie mamy co świętować – podsumowałam, gdy opadły pierwsze emocje. – Winowajcy ukarali siebie. I mamusię przy okazji.

– Naprawdę ją znasz? – spytała Małgosia, nakrywając do stołu.

– Nie. To ona mnie zna. Podobno.

– I nie wiesz skąd?

– Domyślam się, że zna moją siostrę. Uczyła chyba tych jej gagatków w gimnazjum i robiła wszystko, co się dało, żeby w końcu opuścili mury tej szkoły. Coś kojarzę, jak przez mgłę.

– Aha. – Gosia uznała sprawę za wyjaśnioną i wzniosła toast.

– Za sprawiedliwość. I żeby wszystkie stare baby były takie miłe jak pani...

Jeszcze tego samego wieczoru dostałam wiadomość od mężczyzny z Oławy. Pisał, że jeśli zechcę, to on wybierze się do mnie. Bo nie ma sił i nerwów na czekanie do wiosny. Zrobiło mi się trochę przykro, bo być może dałam mu nieświadomie nadzieję na wyjaśnienie, a może nawet rozwiązanie problemu z narzeczoną---autostopowiczką. Odpisałam natychmiast, żeby nie liczył na zbyt wiele z mojej strony, bo jak sam wie, sprawa jest nietypowa, i w sumie niczego pewnego nie mogę obiecać. Już po kilku minutach miałam odpowiedź. Facet pisał, że usatysfakcjonuje go już sama możliwość rozmowy z kimś, kto go wysłucha, uwierzy mu i nie odeśle do psychiatry. Zgodziłam się. Umówiliśmy się na spotkanie po świętach u mnie w mieszkaniu.

Uznałam, że najwyższa pora zakończyć ten długi, pełen wrażeń dzień, nakarmić kota i położyć się spać. Ale kota nigdzie nie było. Jakoś przestałam na niego zwracać uwagę w tym zamieszaniu i nawet nie potrafiłam sobie uświadomić, kiedy zniknął mi z oczu. To było dziwne i niepokojące, bo ten mały łotrzyk, o ile nie spał, zazwyczaj płatał się w pobliżu mnie. Bawił się albo domagał pieśczoć. Powoli zaczęłam wpadać w panikę, sprawdziłam kolejno wszystkie szafy, szafki, a nawet szuflady, bo Bu miewał czasem pomysły, by się gdzieś zaszyć, jeśli tylko drzwiczki nie zostały odpowiednio domknięte. Nic, jak kamień w wodę.

I wtedy z coraz większym przerażeniem zaczęłam kojarzyć jego zniknięcie z wizytą Majcherkowej. Baba zostawiła za sobą uchylone drzwi i kociak mógł wyjść na klatkę, ale nie to było najgorsze... Wrzuciłam na siebie tylko płaszcz (o butach nie pomyślałam) i wybiegłam z mieszkania. Spenetrowałam całą klatkę schodową, dwa piętra wzwyż i cztery w dół. Biegałam i wołałam. Kiedy po raz kolejny znalazłam się na własnym piętrze, spojrzałam na drzwi mieszkania Gosi i doznałam wstrząsu. Na dębowej okleinie widniał napis, zrobiony jakby czerwoną szminką: CIPA. Niewiele myśląc, ponownie zbiegłam na parter i nacisnęłam dzwonek przy drzwiach Majcherków. Trzymałam dotąd, dopóki nie stanęła przede mną sama pani domu. Na mój widok uśmiechnęła się radośnie, a ja już po prostu

wiedziałałam...

- Gdzie kot?! – krzyknęłam, z trudem trzymając ręce przy sobie.
- Ojej, kiciuś pani zginął? – spytało babsko radośnie.
- Pani doskonale wie, że zginął. Gdzie on jest? Pytam po dobroci.
- Bo co, naślesz na mnie koleżaneczkę, paniusiu? – kpiała.

Za plecami matki pojawili się synowie.

- A to ci, kurde, pech! – przemówił większy i grubszy.

- Mogło mu się coś stać, no nie? – dorzucił mniejszy.

– Won mi do domu, gówniarzeria – warknęła matka, widocznie ciągle jeszcze zła o finał sprawy w sądzie.

Chłopcy zmyli się natychmiast. Ich matka, „biedna wdowa”, jak zwykła o sobie mawiać, stanowiła dla nich absolutny autorytet, wzorzec i ostoję. Od czasu, gdy została z dziećmi sama, skupiła na nich całą swoją miłość, walcząc ze światem, trudnościami, zagrożeniami oraz wyimaginowaną wrogością otoczenia. Tym sposobem dorobiła się dwóch maminsynków, leni i chuliganów, gotowych, jakby co, zawsze schować się za bezpiecznymi plecami mamusi.

– Nie. Nie naślę koleżaneczki – odparłam, czując, że nogi uginają się pod mną. – Pozabijam was osobiście!

Odwróciłam się na pięcie i wybiegłam na zewnątrz. Kapcie ślizgały mi się na śniegu, po chwili na dodatek stały się całkowicie mokre. Dreptałam najszybciej, jak się dało w tych warunkach, zaglądając w każdy kąt i nawołując. Łzy coraz większymi strumieniami płynęły mi po twarzy.

- Kici, kici, Bu! Kici – wołałam ze słabnącym powoli przekonaniem.

Wyobraźnia podsuwała mi coraz bardziej przerażające obrazy. W końcu już raz ten kot cudem uniknął męczeńskiej śmierci z rąk Majcherkowych oprawców. I jakkolwiek jeszcze przed chwilą bardzo chciałam go odnaleźć, teraz właśnie tego zaczęłam się obawiać. Że w końcu gdzieś natknę się na jego umęczone, z maltretowane ciało...

Wreszcie, w poczuciu całkowitej bezsilności, oparta o ścianę kamienicy, rozbeczałam się jak mała dziewczynka. Wówczas... usłyszałam coś, jakby cichutkie miauczenie. Poderwałam się na nogi i ze zdwojoną energią wznowiłam poszukiwania. Cieniutki, słaby głosik dawał się słyszeć od czasu do czasu, jednak kota nigdzie nie było. Przekopałam śmietnik i wszystkie kubły po kolei. Moja rozpacz, ale i determinacja rosły – choćbym miała przeszukać całą okolicę i skończyć bladym świtem, byłam na to gotowa.

– Święty Antoni, pomóż! – zawołałam w głos do najbardziej niezawodnego świętego i po jakimś czasie moją uwagę zwrócił wylot rynny, zatłoczony bryłą śniegu i lodu. Wydłubałam ją gołymi rękami, kalecząc palce i łamiąc paznokcie. Moja dłoń trafiła wreszcie na coś, co mogło być kotem. I było! Bu był niemal sztywny z zimna i przerażenia, na szyi obok obróżki miał zapętlony ciasno sznurek. Spędził

w tej rynnie kilka godzin, ale żył. Przytuliłam mokrusieńkiego zwierzaka do piersi, otuliłam płaszczem i podreptałam czym prędzej do domu.

Na drzwiach mojego mieszkania widniał napis: DRUGA CIPA.

Wigilię i oba świąteczne dni spędziłam sama z kotem. Bu odchorował swoją przygodę, ale nie było już po niej śladu. Czuwałam nad nim dniami i nocami, podając mu strzykawką do pyszczka leki zapisane przez weterynarza. Miał biedak zapalenie płuc, zmizerniał i schudł, ale za przyczyną tamtego zdarzenia kociak pokochał mnie miłością absolutną, która wypełniała po brzegi jego zielone oczy za każdym razem, gdy w nie zajrzałam. Bu przez jakiś czas nie odstępował mnie na krok. Jak tylko usiadłam, mościł się na moich kolanach, spał na mojej piersi, a gdy chciałam skorzystać z łazienki, czekał pod drzwiami. Biedaczek. Tyle zaznał niesprawiedliwości i cierpienia w swoim krótkim kocim życiu. Jestem przekonana, że w obronie dręczonego zwierzaka byłabym nawet w stanie kogoś zabić. Tak sędzę. A konkretniej dręczyciel mógłby zginąć z mojej ręki wskutek niekontrolowanej furii, którą takie zachowania we mnie wyzwalają. Gdyby nie to, że stan Bu wymagał błyskawicznej interwencji, odwiedziłabym rodzinę Majcherków tamtego wieczoru jeszcze raz. Chłopcy od tamtej pory, o ile nie byli w towarzystwie matki, na wszelki wypadek schodzili mi z oczu. I dobrze – dla nich i dla mnie.

Z Gosią i jej „chłopakiem” spotkałam się na kilka dni przed Wigilią – wpadli do mnie dosłownie na kwadrans z życzeniami świątecznymi i upominkami dla mnie i dla kota. Wyjeżdżali w góry i zamierzali wrócić już po sylwestrze. Aby nie psuć Gosi przedświątecznego nastroju, nie wspomniałam im o akcji odwetowej Majcherków, a drzwi – zarówno jej, jak i moje – umyłam sama. Tak więc na towarzystwo moich jedynych w zasadzie znajomych też nie mogłam liczyć. Za to Bu miał radochę, w końcu kolacja wigilijna obfituje w potrawy z ryb.

– TU siedzi kot! – Usiłowałam go przekonać do własnego miejsca, gdy już pięknie udekorowałam i zastawiłam stół wszystkimi potrawami naraz, żeby nie latać bez sensu. Dla kocięj wygody ustawiłam przy stole krzesło od komputera, windując je najwyżej, jak się dało, ten jednak z uporem muła wpychał mi się na kolana.

– Miłość miłością, ale istnieją również formy, których najgorętsze nawet uczucie nie może zakłócić. Ja też cię Kocham, ale ja siedzę tu, a ty tam.

W końcu podjęłam ostatnią próbę i postawiłam przed nim jego własne nakrycie z kawałkiem łososia w galarecie, po czym patrząc mu w oczy, powtórzyłam powoli i wyraźnie:

– B u s i e d z i t u t a j. Rozumiesz, kocie?

Kot zrobił ruch, jakby znów zamierzał zwiać ze swojego miejsca, ale nagle

się rozmyślił i został. Zaczęliśmy więc kolację od łososia. Trochę to dziwnie musiało wyglądać, ale tak właśnie przebiegła moja tegoroczna Wigilia. Bu, jakby rozumiejąc, że na tym właśnie rzecz polega, jadł (no, może raczej próbował) wszystkie kolejne potrawy, łącznie z barszczem i makowcem. Grzecznościowo. Bawiło mnie to niezmiernie, bo gdy nakładałam mu na spodeczek odrobinę czegokolwiek, najpierw mi się przyglądał, a gdy zobaczył, że zabieram się do jedzenia, robił to samo. Nie zawsze był zachwycony, ale jadł. Spożył nawet rodzynekę, która dostała mu się w serniku. Memlał ją w pyszczku długo i niechętnie, ale ponieważ był najwidoczniej przekonany, że to sprawi mi przyjemność, przełknął w końcu.

– Jesteś niesamowity, kocie. Cudny, nieprawdopodobnie mądrutki i kochany – pochwaliłam go i nie mogąc się powstrzymać, w końcu sama posadziłam go sobie na kolanach. Zadowolony z takiego obrotu sprawy, umościł się wygodnie i oboje zaczęliśmy mrużyć – on swoje kocie murmurando, ja – „Jezus malusieńki”.

Rozleniwiona i wzruszona chwilą, darowałam sobie na razie sprzątanie. Przeniosłam się razem z futrzakiem na bujany fotel i włączyłam przygotowaną wcześniej płytę. Z głośnika popłynęły jedna za drugą nastrojowe kolędy. Kot zasnął, a ja się bujałam, bujałam i popadałam w coraz głębszą zadumę. Było mi dobrze i naprawdę niczego ani nikogo mi nie brakowało. Nie zawsze przyznawałam się przed sobą do podobnych wniosków, wydawało mi się bowiem, że to chyba źle o mnie świadczy. Kto to widział, żeby czuć się szczęśliwą we własnym towarzystwie, bez drugiego homo sapiens w pobliżu? Tak. Byłam zadowolona ze swojej... samości. Nie: samotności – bo to moim zdaniem nie było właściwe słowo.

Oczywiście nie zawsze tak było. Dzieciństwo i nastoletnią młodość spędziłam w otoczeniu rodziny, a im dalej sięgam pamięcią wstecz, tym tych osób było więcej. Dziadek odszedł z mojego życia jako pierwszy, potem babcia, tata też umarł wcześniej. Zbyt wcześniej.

W czasie studiów mieszkałam w akademiku, gdzie kwitło życie towarzyskie, i wówczas całkiem mi to odpowiadało. Po studiach trochę jakby wokół mnie ucichło, wyszłam za mąż i zamieszkaliśmy z moim wybrankiem razem, sami. To nie był facet gustujący w rozrywkach, w każdym razie nie grupowych. Kino – owszem, ale we dwoje. Teatr – podobnie. Wyjście do kawiarni – jak najbardziej, ale wyłącznie w swoim towarzystwie. Przyznam, że przez jakiś czas brakowało mi dotychczasowych przyjaźni, ale z czasem samo się to wszystko rozlało: znajomi pozakładali własne rodziny, pochłonęło ich rodzicielstwo, kariery, niektórzy wyjechali z kraju. W sumie dom i praca to były jedyne środowiska, w których się obracałam, i one zaspokajały w pełni moją potrzebę kontaktów międzyludzkich. Nie krzywdowałam sobie. Potem zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami z pracy

i wobec niechęci małżonka do stadnego życia zaprowadziłam swoje własne, spotykając się z nimi od czasu do czasu.

Następną osobą, która odeszła z mojego życia, był mąż. Nie, nie w zaświaty, bynajmniej, ale do innej kobiety. Potem mama zachorowała i wówczas zaczęło się moje powolne wycofywanie z życia. Sporo czasu spędzałam z nią, pielęgnowałam, gotowałam, karmiłam, robiłam zakupy, podłączałam i odłączałam kroplówki. Taki stan trwał rok z okładem, akurat w sam raz, by lepiej rozeznąć się w przyjaciółach i znajomych. Jedni stracili mi się z oczu sami, a od tych, którzy przetrwali próbę czasu, zaczęłam stronić ja. Przez wiele miesięcy byłam zbyt smutna, by czuć się swobodnie w czyimkolwiek towarzystwie, nie umiałam już cieszyć się spontanicznymi wypadami do kawiarni i pubów. Moja kreatywność i życiowe tempo zwolniły na tyle, że i z pracą musiałam się w końcu pożegnać. Zaczęłam utrzymywać się z mojego drugiego źródła dochodu – pisania. A ponieważ charakter tej pracy wymaga raczej skupienia w samotności, zasklepiłam się z czasem w swoim nowym świecie i tak już zostało. Po rozwodzie przeprowadziłam się do mieszkania mamy i po jej śmierci już w nim zostałam. To z kolei znacznie ochłodziło moje relacje z rodzeństwem, ponieważ siostra i brat liczyli na zainstalowanie w nim swoich zamężnych dzieci. Mama zapisała je mnie, taka była jej wola i nie mam z tego tytułu wyrzutów sumienia. Tak więc zanim do kamienicy wprowadziła się Małgosia, w moim mieszkaniu, poza listonoszem, kurierem i księdzem po kolędzie, nie bywał dosłownie nikt. Owszem, myślałam czasem o przygarnięciu jakiegoś zwierzaka, ale na myśleniu się kończyło. A tu kilka miesięcy temu zwierzak sam wkroczył w moje życie, a z nim, ze zwyczajnym dla siebie impetem – Małgosia.

ROZDZIAŁ V

Normalnie, paranormalnie czy... nienormalnie?

Pan Jacek z Oławy był szczupłym, niewysokim mężczyzną w okolicach trzydziestki. Wywarł na mnie wrażenie sympatycznego i dobrze wychowanego; przywiózł kawę i ciasto, przywitał się szarmancko i zdjął obuwie.

– Przepraszam, jeśli zajmuję pani cenny czas, ale sam już nie wiem, co robić i dokąd się udać – usprawiedliwił się po raz kolejny. Wcześniej zrobił to już ze trzy razy w mejlach.

Na dźwięk obcego głosu kot wyjrzał z kuchni ostrożnie, po czym najeżył się i uciekł.

– Tak trzymaj, Bu, a pożyjemy długo i szczęśliwie. Raz już dał się schwytać złym ludziom, dobrze, że jest teraz taki nieufny – wyjaśniłam panu Jackowi zachowanie kota i mój komentarz. – Zmarzył pan?

– Nie, teraz w pociągach uczciwie grzeją. Zresztą przez te dwie i pół godziny nic by mi nie było, nawet jakby nie grzali. Na dworze jest całkiem ciepło.

– Jak na styczeń – dodałam.

– No tak, jak na styczeń. Plus pięć stopni to niemal upał w porównaniu z zimami, które pamiętam...

– Też pamiętam – westchnęłam, bo przypomniał mi się akademik, gdy podczas zimy stulecia rozsadziło jakieś rury i ogrzewanie padło na dwie doby.

Zrobiłam kawę, pokroiłam ciasto i usiedliśmy w salonie.

– Może lampkę wina? – spytałam, jak mi się wydawało, dla formalności, bo przed południem mało kto używa alkoholu.

– O właśnie, też przywiozłem – poderwał się Jacek i sięgnął do torby. – Nie wiem, czy pani takie pija, bo to swojskie, jeżynowe.

– Co swojskie, to zdrowe – roześmiałam się i poszłam po kieliszki.

– Pani Doroto, o ile mogę się tak do pani zwracać – odezwał się mężczyzna po drugim kieliszku, nawiasem mówiąc, doskonałego wina – chciałbym jak najzgrabniej opowiedzieć pani o moim problemie, ale nie jestem dobrym mówcą, więc nie wiem, od czego zacząć.

– Może pan, oczywiście. A zacząć najlepiej od początku. To znaczy dokąd narzeczona pojechała, bo że po suknię ślubną, to już wiem. Kiedy, z kim, czy widział się pan z nią bezpośrednio przed wyjazdem, co mówiła, była wesoła, czy smutna, w ogóle – proszę nakreślić okoliczności tego wyjazdu.

Właściwie nie bardzo wiedziałam, czemu to szczegółowe przesłuchanie miało służyć, ale od czegoś trzeba było zacząć. Szczerze mówiąc, byłam wówczas

sceptycznie nastawiona do tego śledztwa. Bardziej zależało mi na efekcie terapeutycznym naszej rozmowy niż na rozwiązaniu sprawy, bo w to akurat szczerze wątpiłam. Jednak zaprosiłam do siebie faceta, kierowana, powiedzmy to sobie wprost: bardziej współczuciem i ewentualnym ciekawym materiałem na artykuł.

– Pojechała do Wrocławia, busem, przed południem – zaczął z wielkim skupieniem mój rozmówca. – Miała odebrać suknię ślubną z salonu, ale wcześniej zrobić jeszcze jakieś małe zakupy, żeby z nią potem nie chodzić po sklepach...

Pan Jacek zmarszczył brwi i zapatrzył się w jeden punkt, jakby gdzieś na przeciwległej ścianie miał mu się wyświetlić film z owego feralnego dnia.

– Widziałem się z nią poprzedniego wieczoru, była bardzo podekscytowana, radosna. Mówiłem jej, że jeśli się wstrzyma jeden dzień, to z nią pojedę, wtedy niestety nie miałem z kim zamienić się w pracy. Ale ona się uparła, bo chciała mieć już tę suknię.

– Miał pan wówczas z nią jakiś kontakt? Dzwoniła do pana?

– Tak, ze trzy razy nawet. Ale to nie było nic ważnego, mówiła, w jakim jest sklepie, co kupiła i takie tam. Ostatni raz zadzwoniła, jak już wyjeżdżała z Wrocławia, miała być w domu do dwóch godzin. Nie umawialiśmy się na wieczór, bo chciała przymierzyć ślubny strój, a przecież narzeczony nie może go zobaczyć. Taka tradycja.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się pod nosem.

Sama musiałam niegdyś utrzymać w ryzach byłego, by nie wlaźł do pokoju w nieodpowiednim momencie. Tradycja została zachowana, co nie ustrzegło mnie przed nieszczęściem.

– Potem już nie dzwoniła, ja też, bo wiedziałem, że będzie zajęta. Myślałem, że może po tej przymiarce się odezwie, ale nie zrobiła tego. Przed dziewiątą wieczorem zadzwoniła za to moja niedoszła teściowa i powiedziała, że Mai jeszcze nie ma. Myślała, że wpadła do mnie i się zasiedziała, bo mieszkam po drodze...

– Kiedy to było dokładnie? – wpadłam mu w słowo. – Pamięta pan datę?

– Oczywiście. Czwarty marca, dwa lata temu.

– To znaczy o tej porze było już ciemno.

– Tak, ale nie o szesnastej, bo wówczas miała wsiadać w busa i wracać do domu.

Zamyśliłam się przez chwilę.

– A gdzie miała wsiąść?

– Nie dalej niż pięćset metrów od swojego domu, od mojego może trzysta.

– I na tym odcinku zginęła?

– Nie, właśnie że nie. Zginęła jakieś osiem kilo-metrów wcześniej, policja ustaliła, że do busa wcale nie wsiadła. Do żadnego późniejszego też nie.

– Wobec tego musiała spotkać kogoś, kto zaproponował jej podwiezienie.

Chyba że postanowiła złapać stopa?

– Nie, to na pewno nie. Maja była bardzo ostrożna, powiedziałbym nawet, że bojaźliwa.

– I co? Tu trop się urwał?

– Dokładnie. Nikt niczego nie widział, nie słyszał, zwyrodnialec nie zostawił żadnych śladów. Miał podobno na sobie skórzane rękawiczki, tak stwierdziła policja. A to by znaczyło, że włóczył się po okolicy z konkretnym zamiarem. Kto nosi w marcu skórzane rękawiczki?

– To jedno – dodałam – ale jak w tym miejscu znalazła się Maja? Mówi pan, że do obcego auta by nie wsiadła, a skoro знаła kierowcę, to by znaczyło, że zabrał ją z Wrocławia, już wcześniej planując zbrodnię. Niekoniecznie na niej, bo może ich spotkanie było całkiem przypadkowe.

– Też do podobnych wniosków doszedłem. Ale co z tego, kiedy nie znaleziono niczego, co mogłoby pomóc w złapaniu drania?

Analizując szczegółowo okoliczności tamtego zdarzenia, zasiedzieliśmy się na tyle, że zrobiła się pora późnoobiadowa. Ja tego nie odczułam, zwykle jadałam pierwszy posiłek około piętnastej, biedny pan Jacek musiał być natomiast porządnie głodny. Zrobiło mi się głupio.

– Wie pan co? Przerwiemy sobie na chwilę, a ja zrobię jakiś szybki posiłek – próbowałam się zrehabilitować.

– O, nie – zaprotestował. – Nie pani, ja zrobię. To znaczy... – Sięgnął do torby i wyjął z niej spore, jeszcze ciepłe zawiniątko. – Już zrobiłem...

W pojemniku były pierogi. Podobnie jak wino, sporządzone własnoręcznie przez mojego gościa.

– Pierwszy raz widzę na oczy faceta, który umiałby lepić pierogi – podsumowałam zdumiona.

– Jestem kucharzem z zawodu, pani Doroto – odparł, a ja znów poczułam się niezręcznie. Nie przyszło mi to do głowy.

Gdy nakrywałam do stołu, ktoś zadzwonił do drzwi. Zanim je otworzyłam, spojrzałam przez wizjer. Od nalotu Majcherkowej nie otwierałam ich już tak pochopnie. To była Małgosia.

– Hej! A co ty dziś tak cicho i skromnie? – Roześmiałam się, w gruncie rzeczy ucieszona z jej wizyty.

– To znaczy?

– Jeden krótki dzwonek, żadnego stukania i naglenia...

Małgosia wzruszyła ramionami.

– Bo żadnej nagłej sprawy nie ma. Tak sobie wpadłam.

– Wchodź. Mam gościa, ale myślę, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Zjesz pierogów?

Pan Jacek poderwał się z krzesła i przywitał się z Gosią.

– Sam robiłem – wskazał na kopyaty półmisek.

– No to pewnie, że zjem – powiedziała i sama przyniosła sobie nakrycie.

Pierogi były wyśmienite. W środku miały coś, co nie do końca rozeznałam, ale na pewno była w nich kasza gryczana. I chyba ser. Małgorzata przyglądała się gościowi uważniej niż on jej. Jacek pochłonięty był jedzeniem i swoimi myślami.

– Co pana tu sprowadza? – spytała w końcu.

– Skąd wiesz, że sprowadza? – zdziwiłam się, bo przecież mógł być moim starym znajomym, który wpadł ot tak sobie.

– W przedpokoju stoi torba podróżna, a pan mi wygląda na przyjezdnego – oznajmiła.

– A jak się wygląda na przyjezdnego? Nie znasz chyba wszystkich ludzi w naszym mieście?

– Nie, ale tak mi wygląda.

– Ma pani rację – włączył się do rozmowy Jacek. – Przyjechałem do pani Doroty, licząc na to, że pomoże mi w pewnej sprawie. A w każdym razie spróbuje.

Małgosia umilkła. Teraz ona zajęła się wyłącznie jedzeniem i własnymi myślami. Po posiłku, jak to miała w zwyczaju, zebrała naczynia i poszła zmywać do kuchni.

– Piękna dziewczyna. Córka? – zapytał Jacek.

– Przyjaciółka domu, myślę, że to najlepsze określenie – odparłam. – Nie mam córki. Ani w ogóle dzieci.

– Powinienem powiedzieć, że mi przykro?

– Niekoniecznie – roześmiałam się. – Dobrze mi samej z sobą.

– Proszę pani, można tu na chwilę prosić? – zawołała Małgorzata z kuchni.

Poszłam zobaczyć, o co chodzi, i zastałam Gosię kucającą pod stołem.

– Co jemu jest? – spytała.

– Komu? – Zajrzałam pod stół.

W kącie siedział Bu nastroszony do nieprawdopodobnych rozmiarów. Jego oczy też były większe niż zwykle, z rozszerzonymi do maksimum źrenicami.

– Boi się obcych. Tak mu się porobiło ostatnio – wyjaśniłam, nie chcąc się teraz zagłębiać w przyczyny kocich lęków. – Niech sobie tam siedzi, skoro mu tam lepiej.

– Coś za bardzo się boi – oznajmiła Gosia i spróbowała wyjąć kociaka spod stołu. – Uważam, że konkretnie ma coś do pani gościa.

– To niemożliwe. Nigdy wcześniej go nie widział, a pan Jacek nie zrobił mu niczego złego. Boi się, bo go nie zna i tyle.

– Może i nie zna, ale wyczuwa coś. I to mu się wyraźnie nie podoba.

Gdy dziewczynie udało się wreszcie wydostać Bu, ten wczepił się w nią pazurami i nie pozwolił postawić się na podłodze. Stawiany na własne nogi wdrapywał się na nią z powrotem i zawisał u jej szyi. Zabrałam go od niej

i umieściłam w jego ulubionym miejscu – na kaloryferze w sypialni.

– Czego chce od pani ten facet? – spytała Gosia szeptem. – Dziwny jest jakiś. I śmierdzi...

– Co ty pleciesz – zrugłam ją również szeptem i zaprowadziłam z powrotem do salonu.

Zbliżając się do pana Jacka, odruchowo pociągnęłam nosem. Nie poczułam niczego poza wodą kolońską.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – zapytał mój gość z nieśmiałym uśmiechem.

– Jasne. Drugie drzwi po prawej z przedpokoju.

Małgorzata odprowadziła go wzrokiem.

– Nie podoba ci się jego woda kolońska? – nawiązałam do tematu jego zapachu.

– Jaka woda? Gnojówką jakąś od niego zalatuje czy coś...

– Na miłość boską, Gosia, co ty pleciesz? – syknęłam w obawie, by nie wyrwała się z czymś takim przy Jacku.

Mężczyzna wrócił dość szybko i zajął swoje miejsce przy stole.

– Pójdę do siebie, nie chcę państwu przeszkadzać – oznajmiła Małgorzata niespodzianie. – Zostanę na noc w kamienicy, bo Jakub wyjechał na jakiś zjazd koleżeński, a ja nie chcę zostawać u niego sama.

– Wpadniesz później?

– Ja przed dwudziestą będę się zbierał na pociąg – dorzucił Jacek, bo dziewczyna jakby na to czekała.

– Wpadnę. Później.

Coś jej się chyba udzieliło od mojego kota, jeszcze trochę, a sama zaczęłaby prychać na mojego gościa – pomyślałam. Miałam nadzieję, że pan Jacek nie odczuł tej nagłej, niezrozumiałej niechęci.

– A my wrócimy do tematu, dobrze? – zaproponowałam po jej wyjściu. – Kiedy po raz pierwszy ktoś się do pana zgłosił z informacją, że... to znaczy już potem, że podwoził Maję do domu?

– To było jakieś osiem miesięcy po jej śmierci, czwarta rano. Ze snu wybudził mnie natarczywy dzwonek do drzwi. Na schodach stał roztrzęsiony młody chłopak z kaskiem w ręce i bardzo chaotycznie opowiadał o dziewczynie, którą wiozł i chyba po drodze mu spadła z motoru. Spytałem, czy potrzebuje pomocy albo czy chce skorzystać z telefonu. Zaprzeczył gwałtownie i wymienił moje nazwisko. Spytał, czy to ja. Potwierdziłem zaskoczony.

– W takim razie wiozłem pana narzeczoną i ona mi się gdzieś po drodze zgubiła – powiedział.

Spytał, czy mam auto, bo trzeba jak najszybciej wrócić na tę trasę i jej poszukać. On zawracał już dwa razy, ale bez skutku... Włosy zjeżyły mi się na

głowie, myślałem, że jeszcze śnię. Ale facet był całkiem realny, ziąb na dworze był całkiem realny...

– Jak pan zareagował?

– Kurczę, tego nie pamiętam dokładnie z powodu szoku, ale na pewno powiedziałem chłopakowi, że moja narzeczona nie żyje. Chyba zostawiłem go tak na schodach i wszedłem do domu. Nie wiem, kim on był, nie znałem go nawet z widzenia i nigdy później go nie spotkałem. Chyba nie chciałbym wiedzieć, jak się wówczas poczuł.

– A kolejne razy?

– Były jeszcze trzy, dwa wczesną wiosną tego roku i jeden na jesieni, ale niestety nie odnotowałem dat. Po drugim takim przypadku pomyślałem, że może to ja tracę zmysły, i zachowałem się podobnie jak poprzednio. Ale przy kolejnym miałem już na tyle zimnej krwi, że zaprosiłem faceta do domu i odpytałem szczegółowo. To była Maja, bez najmniejszych wątpliwości. Mężczyzna opisał jej wygląd i to, co miała na sobie, przekazał, co mówiła.

Teraz już i ja poczułam na ciele lekkie dreszcze. Rzecz była absolutnie nieprawdopodobna, co innego jednak czytać o takich zdarzeniach, a co innego wysłuchać relacji świadka zdarzenia.

– Co mówiła?

– To, co powiedziałyby, gdyby żyła. Że wiezie z sobą suknię ślubną, że ma kłopot z dotarciem do domu, a bardzo się śpieszy i jest bardzo zmęczona. Podała mój adres, moje nazwisko i poprosiła o podwiezienie. Facet miał po drodze, więc się zgodził.

– Maja nie zatrzymałaby przygodnego motocyklisty? – przypomniałam sobie, co mówił o jej ostrożności.

– Nie zatrzymałaby. Ale każdy opowiadał, że była przelęknięta i bardzo zdeterminowana. Jakby spotkało ją coś złego.

– No właśnie. Nie mówiła co? Żaden jej o to nie spytał?

– Nie. Bo sprawiała wrażenie, jakby nie chciała o tym mówić, więc nie nalegali.

– Co dalej?

– Dalej dokładnie tak samo: kiedy miał już skręcać w boczną ulicę, poczuł, że pasażerki za nim nie ma. Zatrzymał się, zawrócił parę razy, ale jak kamień w wodę. Więc podjechał pod wskazany adres, by opowiedzieć, co się stało.

– A co pan sam o tym sądzi?

– Pojęcia nie mam. – Jacek wzruszył ramionami. – Z tego, co czytałem o podobnych historiach, wynika, że taka dusza nie zaznała wiecznego spokoju i błąka się po świecie nie wiedząc czemu. Może chce, żeby odnaleziono jej mordercę?

– Podobno osoba, która zginęła gwałtowną śmiercią, często nie wie, że nie

żyje, i za wszelką cenę próbuje kontynuować to, co miała do zrobienia przed śmiercią.

– Też tak słyszałem, ale jak można się przez dwa lata nie zorientować, że się nie żyje? To jest dla mnie niepojęte.

– Rzecz w tym, że dla Mai czas stanął w miejscu, dla niej to nie są żadne dwa lata, tylko tu i teraz. Ich tam nie obowiązuje nasz ziemski czas. Więc będzie tak wracała i wracała, do czasu...

– Do czasu?

– No właśnie sama nie wiem – zasepiłam się. – Dopóki ktoś jej tego nie uświadomi?

– Co więc powinienem zrobić?

– Może trzeba będzie znaleźć jakieś medium, kogoś, kto ma dar kontaktowania się z zaświatami. Tak sędzę. Będę musiała szczegółowo przeanalizować wszystko, o czym pan mi opowiedział, i postaram się znaleźć jakąś radę. Jeszcze nigdy nie zajmowałam się podobnymi rzeczami w praktyce, dotąd opisywałam je tylko.

– Wiem. – Jacek skinął smętnie głową. – Niech pani przynajmniej powie, że mi wierzy.

– Wierzę – odparłam, aczkolwiek z pewnym wahaniem.

Wierzyłam, że od czasu do czasu rzeczywiście ktoś do niego przychodzi z informacją o upiornej autostopowicze. Tego nie mógł zmyślić, był zbyt wiarygodny, tak też mówiła mi intuicja. Co do innych elementów zagadki, jeszcze nie wiedziałam, co myśleć.

– Wziął pan jakiś kontakt choćby do jednego z tych motocyklistów? – spytałam.

– Nawet do dwóch. Proszę.

Jacek, który był bardzo starannie przygotowany do tej rozmowy, położył teraz przede mną kartkę ze spisanyimi adresami i numerami telefonów owych mężczyzn.

– Da mi pan trochę czasu na ogarnięcie sprawy?

– Ile pani zechce – odparł, uśmiechając się smutno. – I tak nie mam żadnej innej możliwości.

Zaraz po jego wyjściu zastukałam do Gosi.

– Już poszedł, chodź do mnie, pogadamy – zaproponowałam.

– Może tym razem pogadamy u mnie? Mam szampana, prawdziwego.

– Chętnie, ale jeszcze nie dałam kotu kolacji. Może więc jeszcze tym razem skorzystasz z lokalu naprzeciwko?

Gosia zabrała butelkę i bez słowa ruszyła za mną.

– Jest jakaś specjalna okazja? – spytałam, stawiając na stole kieliszki.

– A jest! Możemy wyjść na balkon?

– Mamy pić na balkonie?

– Nie – roześmiała się dziewczyna. – Tylko pokażę pani okazję.

Nieopodal wejścia do kamienicy stał niewielki, czerwony sportowy wozik.

Od razu pomyślałam, że chodzi o niego.

– No, caczuszko! – pochwaliłam z uznaniem. – Czyżbyś w końcu zdała egzamin praktyczny?

– Wczoraj otrzymałam prawko, a Jakub sprawił mi taką oto niespodziankę.

– Kocha cię jak wariat – skwitowałam.

– Owszem. – Gosia westchnęła. – Ale wie pani, ja też chyba zaczynam coś do niego czuć. Nie jest to jakiś szal ciał, ale zależy mi na nim. Brakowałoby mi go bardzo, jakby co. Nie tylko jego kasy i całego tego luksusu. Jego. Ale wejdźmy do środka, bo zimno.

– Nie masz już więc poczucia, że oddajesz mu się za pieniądze?

– Nie – roześmiała się – teraz się czuję raczej jak żona, której zbrzydło pożycie małżeńskie. Wiele prawowitych, nabożnych małżonek tylko udaje, że wciąż rajcuje je seks z własnym chłopem. Ja robię tak samo. A pani?

– Ja nie mam chłopca – odrzekłam, dobrze wiedząc, co ma na myśli. – Może w końcu wypijmy toast za nowego kierowcę i jego nowiutki wóz!

– Wie...em, że pa-ani nie ma – wystękała Małgosia, mocując się z korkiem.

– Ale pani miała. Długo?

– Dwadzieścia lat z okładem.

– No. I co? Zawsze pani szła z nim chętnie do łóżka? Nigdy z musu albo dla świętego spokoju?

– Zdarzało się – odparłam, ubawiona coraz bardziej logiką Małgosi. – Ale wróćmy do ciebie. Jesteś szczęśliwa?

– To zależy, kto co za szczęście uważa. Ja, na ten przykład, stan, kiedy nie trzeba się niczego i nikogo bać i na wszystko kasy wystarcza. Więc powiem pani, że owszem. Jestem szczęśliwa, bardziej niż kiedykolwiek do tej pory. Po co był ten facet?

– A... pan Jacek? – Z pewnym trudem przestawiłam się z tematu na temat. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że pracuję dla czasopisma traktującego o rzeczach nadprzyrodzonych?

– No pewnie. I on jest nadprzyrodzony, ten gość? Tak?

– W pewnym sensie. Korespondujemy od jakiegoś czasu i on przedstawił mi swój problem związany ze śmiercią narzeczonej.

Małgosia kilkakrotnie poruszyła nozdrzami.

– No tak. Jeszcze trochę śmierdzi – stwierdziła.

– Co ci znowu śmierdzi? – spytałam, lekko poirytowana, ale na wszelki

wypadek poszłam sprawdzić kuwetę.

Było czysto. Przy okazji dosypałam kotu suchej karmy, gdyby znów zrobił się głodny. Ostatnio obzerał się bez pamięci, rósł i zaokrąglął się w szybkim tempie. A ja nie miałam sumienia ograniczać mu jedzenia.

– Nie o kocie gównu mi chodzi. To inny smród – wyjaśniła Gosia, widząc, co mam na myśli. – Moja babka, ta, co się w studni utopiła, usmażyła kiedyś takie sznycelki, cholera wie z czego, ale smród był podobny.

Przez chwilę siedziałam bez słowa, mocno zdez-orientowana zachowaniem Gosi. Dziewczyna kręciła się na krześle, rozglądając uważnie dookoła i wciąż poruszając nozdrzami.

– Wobec tego albo ja utraciłam węch, albo ty masz jakiś taki... psi – skomentowałam wreszcie.

– Psi? – Gosia uniosła wysoko brwi. – A, tak! Chyba mam. Bo zawsze czuję coś, czego nie czują inni.

– To współczuję – odrzekłam z kpinią w głosie. – Żeby mi tak zawsze i wszędzie śmierdziało. Nie, dziękuję uprzejmie.

– Nie zawsze śmierdzi. Czasem pachnie – zaprzeczyła Gosia.

– Czym?

– Kwiatami przeważnie, różnymi: fiołkami, różami, piwonią, innymi też.

– Naprawdę? – Spojrzałam na nią uważniej. – Naprawdę czujesz takie różne, biorące się znikąd zapachy?

– Jak bum-cyk! Nie mówię o tym każdemu, bo to ludzi śmieszy albo stukają się po łbach.

– I nie wiesz, skąd się to bierze?

Małgosia zasepiła się, jakby знаła odpowiedź, ale nie była pewna, czy powinna mi jej udzielić.

– Ja nie mówiłam pani – zaczęła po chwili ostrożnie – że też czytałam trochę o takich rzeczach... nadprzyrodzonych.

– Raz coś wspomniałaś – sprostowałam.

– No właśnie. Ale nie mówiłam czemu. Bo widzi pani... ja od dziecka miewam takie różne, jakby to powiedzieć... zwidy. Dawniej myślałam, że każdy tak ma, ale jak się okazało, że kiedy o tym mówię, ludzie uznają mnie za wariatkę – przestałam. Ale dziś, gdy spotkałam u pani w mieszkaniu tego Jacka, od razu wiedziałam, że się coś za nim snuje.

– Smród? – Uśmiechnęłam się.

Jeszcze nie traktowałam poważnie jej opowieści.

– Smród też. Ale on skądś się bierze, proszę pani.

– Na pewno nie z kuwety. Sprawdzałam.

– No tak, nalewa się pani ze mnie – oburzyła się Gosia. – Jak każdy zresztą.

– Nie, no co ty – zreflektowałam się, bo w końcu kto jak kto, ale ja raczej

powinnam wysłuchać jej z powagą. – Przepraszam, mów dalej.

– Na przykład jak ktoś umrze. Kiedy się utopiła moja babka, wszystkiemu, co było z nią związane, towarzyszył zapach konwalii. Tak pachniało w jej pokoju, jej łóżko, ubrania. I w niektórych miejscach. Na przykład pachniało w ogrodzie przy ścieżce, przy szopce z węglem, ale przy studni nie. Sprawdzałam specjalnie. Jak umarł mój chrzestny, pachniało tytoniem. Nie śmierdziało, pachniało, takim fajkowym. I też w różnych dziwnych miejscach.

– Palił fajkę?

– Nie. No właśnie że nie palił. Babka zresztą też nie miała nic wspólnego z konwaliami... Ale taki smród jak dziś też już czułam. Kiedy moja koleżanka w podstawówce wpadła pod traktor i ją zmielił pług. Wtedy ten smród się za mną włókł dosłownie wszędzie.

– Do teraz?

– Nie. Z czasem osłabł i też dawał się wyczuć już tylko w niektórych miejscach. W końcu zupełnie ustał.

– A konwalie i tytoń?

– Konwalie czasem się pojawiają. Niezależnie od miejsca, ale bardzo rzadko.

– I na tym polegają twoje zwidy?

– Nie. Zapachy to zapachy, zwidy to całkiem inna bajka.

– Na przykład? Oczywiście, o ile zechcesz mi o nich opowiedzieć...

– Czasem miewam takie dziwne sny. Wyraźne, jakby się działy naprawdę, ale przeważnie bardzo pogmatwane. Śnią mi się miejsca i ludzie, żywi i umarli. Nie wiem po co, nie rozumiem ich. Ale... zdarza mi się też widzieć osoby, których nie powinnam widzieć, bo już nie żyją. Nie jako zjawy, jako ludzie z krwi i kości, tak wyglądają w każdym razie. Przeważnie widzę ich tam, gdzie jest dużo innych ludzi. W sklepie, w autobusie, w kinie, na ulicy.

– I co? Co z nimi? – spytałam, coraz bardziej zaangażowana w temat.

– Nic. Gdybym spróbowała do nich podejść bliżej, znikają w tłumie. Odchodzą. Myśli pani, że jestem nienormalna?

– Nie, na pewno nie – odparłam, idąc raczej myślą w kierunku nadwrażliwości i fantazji dziewczyny niż jej zaburzeń umysłowych. – Tylko... coraz więcej ostatnio wokół mnie różnych dziwnych spraw. Czy to przypadek, czy zrzędzenie losu?

– Może ma pani jakieś powołanie. Ja wierzę, że każdy ma na tej ziemi coś do zrobienia i właściwie bardzo niewiele rzeczy przydarza nam się przez zwykły przypadek. Albo i żadne.

– Skoro tak, dlaczego wyrzucałaś sobie jeszcze całkiem niedawno, że zostałaś kochanką Jakuba? A jeśli taka jest twoja ziemską rolę?

– Wie pani, takie rzeczy się widzi dopiero po czasie, co było, po co i dlaczego. Na co dzień nie myśli się takimi kategoriami, prawda?

– Prawda, Gosiu, masz rację – przyznałam, dziwiąc się w duchu metamorfozie dziewczyny. Być może towarzystwo Jakuba, starszego, wykształconego mężczyzny, wyzwoliło w niej nie do końca wykorzystywany wcześniejszy potencjał myślowy, a także wzbogaciło słownik i złagodziło sposób bycia. Postanowiłam się o tym przekonać.

– Od dawna masz takie refleksje? Mówię o tych życiowych.

– Od zawsze. Ale dotąd nie chciałam i nie umiałam o tym mówić, nazwać niektórych rzeczy. Nie miałam też z kim rozmawiać na takie tematy. Moi dotychczasowi znajomi mają całkiem inne zainteresowania, czuje pani, o co chodzi. A innych ludzi nie znałam. Teraz jest Jakub i pani. Z wami tak się da.

– To miłe, że tak mówisz. – Uścisnęłam jej spoczywającą na stole dłoń. – Wiesz co? Skoro być może masz jakieś nadprzyrodzone talenty, czy nie zechciałabyś mi pomóc w sprawie Jacka?

Pomyślałam, że we dwie byłoby nam zdecydowanie różniej, nawet gdyby sprawa miała okazać się totalną klapą.

– W sumie czemu nie, jeśli bym tylko potrafiła.

Opowiedziałam dziewczynie możliwie szczegółowo wszystko, czego dowiedziałam się na ten temat. Małgorzata słuchała w skupieniu.

– Mam pomysł. Trochę masakryczny być może i pewnie się pani nie zgodzi... – odezwała się po chwili.

– Mów – ośmieliłam ją.

– Skoro ta dusza zatrzymuje wyłącznie motocyklistów, trzeba tam po prostu wysłać jakiegoś specjalnie.

– A wiesz, że i mnie podobna myśl przyszła do głowy? Tylko skąd wziąć motocyklistę, ja nie znam ani jednego. A poza tym musiałby być jeszcze na tyle śmiały i kreatywny, żeby zechcieć wziąć udział w podobnej eskapadzie. To raczej niewykonalne.

– Wykonalne! – podchwyciła Gosia z zapalem. – Bardzo wykonalne!

– Znasz kogoś odpowiedniego?

– Znam. Mnie.

Spojrzałam na Małgosię jak na ufoludka. Ona w lot odczytała moje spojrzenie.

– Od wczoraj mam prawko, na motor też, kierowca więc jest. Śmiały i kreowny.

– Kreatywny.

– Jeszcze jak! Poza tym jestem obeznana w temacie i mam psi węch. I widzenia. To nie wystarczy?

– Nie. Brakuje motoru.

– Motor się pożyczy, a może Jakub jakiś kupi. Poproszę go.

– Oszalałaś? Chcesz naciągać faceta na zakup motoru tylko po to, żeby się

na przykład na nim zabić? Daruj, ale jakoś nie wierzę w twoje praktyczne umiejętności.

– I tu się pani myli. Do niedawna jeszcze na wiosce miałam motorynkę. Zjeździłam nią wiele kilometrów, jeszcze by pani oczy z orbit wyszły, jakby mnie pani na niej zobaczyła. Ale musiałam sprzedać, bo kasy potrzebowałam na przeprowadzkę. Maszyna była jak ta lala!

– Gosiu... to chyba nie jest najlepszy pomysł – zaczęłam studzić jej zapał i swój przy okazji.

– Ale niech pani zobaczy, pogoda nawet jest w sam raz, nie ma śniegu ani mrozu, wcześniej zapada zmierzch, podobnie jak wtedy. Bo pogoda musi być taka sama, bez dwóch zdań, więc jeśliby pani chciała to odłożyć do lata, nic z tego nie będzie.

– Dlaczego? – zdziwiłam się sposobem myślenia Gosi.

– Nie załapała pani, kiedy nieboszczka te motory zatrzymuje? Jesienią i wiosną, w zimne dni. Inaczej nie może, bo jej nie pasuje do sytuacji. Na bank.

– A wiesz, że chyba masz rację? – Doznałam nagłego olśnienia. – No jasne, Jacek wspominał, że bywało wówczas zimno.

– I ja to wiem, proszę pani...

– ...pani starsza – dodałam w jej imieniu.

– Jaka tam pani starsza – prychnęła Gosia, której albo zmienił się sposób postrzegania starości, albo wzrósł poziom kultury.

Raptem dwa dni po tej rozmowie usłyszałam pod oknem nieziemski jazgot, warkot i przeciągły dźwięk klaksonu. Wyszłam na balkon. Po drugiej stronie ulicy na imponujących rozmiarów ścigaczu siedziała Gosia i to ona była sprawczynią tych wszystkich dźwięków. Poznałam ją dopiero wówczas, gdy zdjęła kask, miała bowiem na sobie strój motocyklowy, skutecznie maskujący płęć.

– Wariatka – wyszeptałam zdumiona jej determinacją i szybkością działania.

– Wchodź na górę – pokazałam gestem.

– Jakub mi sprezentował – oznajmiła zdyszana i zarumieniona.

Tak bardzo śpieszyło jej się do mnie z tą nowiną.

– Powiedziałaś mi, na co ci ten potwór? Napijesz się kawy?

– Powiedziałam. Nie, dziękuję, tak tylko wpadłam się pokazać. Muszę wracać, żeby się nie martwił. On też nie docenia moich umiejętności.

– I myślisz, że puści cię po nocy na taką eskapadę?

– Puści, już wszystko obgadane. Pojedziemy razem.

– Z nim? Jak wobec tego zabierzecie autostopowiczkę?

– Nie z nim, z panią.

– Tak czy inaczej, ilość wolnych miejsc na motorze nie ulega zmianie.

– Ulega, bo pani pojedzie za mną, autem.
– Nie mam auta.
– Ale Jakub ma. Razem pojedziecie.
– No tak! Raz-dwa i wszystko zrobiło się jasne – zakpiłam. – Termin też już ustaliliście?

– Pewnie. Na najbliższą sobotę nad ranem. Trzecia, czwarta, coś koło tego. Sprawdziłam prognozę, pogoda ma być nadal taka jak teraz.

– Tracę oddech przy tobie.

– Bo na co tu czekać? Jest sprawa, jest pomysł i sprzęt, można brać się do roboty.

– Okej, jestem skłonna na to przystać. Wpadnij do mnie jeszcze przed sobotą w któryś dzień, ustalimy szczegóły.

– Dobra. To ja śmigam tymczasem.

Przez okno balkonowe obserwowałam, jak Gosia radzi sobie z takim bydlęciem. Odpaliła motor, ruszyła i bez najmniejszego problemu zawróciła na ulicy. Byłam pełna podziwu, ja bym na coś takiego nie wsiadła nawet w charakterze pasażera.

– Widzisz, Bu, co to się z kobietami porobiło w dzisiejszych czasach – przemówiłam do trzymanego na rękach kota, by i on miał możliwość zobaczenia tego na własne oczy.

Małgorzata mimo gorliwych zapewnień nie pojawiła się u mnie ani przed sobotą, ani w sobotę. Byłam pełna najgorszych przeczuc związanych z jej nowym nabytkiem. Nie miałam możliwości upewnienia się, czy u niej wszystko w porządku, bo nigdy jakoś nie pomyślałyśmy, by wymienić się numerami telefonów. Wytrzymałam do poniedziałku. Robiąc zwyczajowe poweekendowe zakupy, zatoczyłam szerszy łuk niż zwykle i udałam się na Zaciszną. Naciskałam dzwonek u drzwi przez dobre pięć minut z przerwami, ale nikt nie reagował. Kiedy w drodze powrotnej mijałam sąsiedni dom, jakaś kobieta zastąpiła mi drogę.

– Pani sobie życzy? – rzuciła zwięźle.

– Nie od pani, w każdym razie – odparłam, bo baba miała w sobie coś odpychającego.

A poza tym to nie było grzeczne pytanie, na które powinnam grzecznie odpowiedzieć. Kupiłam więc, co trzeba, i wróciłam do domu. Na parterze na mój widok wyskoczyła z mieszkania Majcherkowa.

– Wywłoka sprowadzi się tu z powrotem, co? – spytała z podejrzaną satysfakcją.

– Nie rozumiem – odparłam, w istocie nie mając pojęcia, o kim i o czym mówi.

– Panina koleżaneczka, ta bandytka dzieciobójczyni!

– Małgosia?

W pierwszej chwili pomyślałam, że Gosia zaszła z Jakubem w ciążę i dokonała aborcji, co widocznie tak bardzo wstrząsnęło Majcherkową, że postanowiła to obwieścić całemu światu. I że to mogło być powodem niejawienia się na umówionym spotkaniu.

– Jaka dziecko... bójczyni – wyszeptałam z przejęciem.

– Moja osobista! – wykrzyknęła Majcherkowa, stając mi na drodze.

– Gosia zabiła pani synów? – zapytałam z pewną ulgą.

– Nie zabiła, tylko zbiła. Nie strugaj pani głupiej, bo przecież składała pani fałszywe zeznania w tej sprawie.

– Nie składałam żadnych zeznań. Była pani wtedy w sądzie i doskonale pani wie.

– No właśnie. A trzeba było złożyć, to by może ukrócili lafiryndę na tyle, żeby już nikomu nie zaszkodziła.

– Niechże pani wreszcie powie po ludzku, o co chodzi, a nie bredzi jak Piekarski na mękach – zażądałam poirytowana. – Komu Małgorzata zaszkodziła? Miała jakiś wypadek tym swoim ścigaczem? Tak?

– Nie. Tego swojego nadętego profesorka wykończyła na zimny trup.

– Jak to... Jakub nie żyje?

– A nie żyje. Przekręcił się w zeszlą środę. Temu się pytam, kiedy to pomietło wraca między porządnych ludzi, tfu!

– Nie wierzę.

– Może sobie pani nie wierzyć, fakt jest faktem. Wiem to od jego siostry własnej.

– Niemożliwe. Małgosia by mi przecież powiedziała.

– Niestety, nie może się ruszyć z miejsca. Majątku pilnuje – zachichotało babsko. – Widzi pani? Na wszystko kiedyś przyjdzie kara boska.

Wyminęłam sąsiadkę tak szerokim łukiem, na jaki pozwalał podest na klatce schodowej, i pognałam na górę. Zostawiłam zakupy i ruszyłam w drogę powrotną. Zamierzałam tym razem dzwonić do drzwi tak długo, aż Gosia mi otworzy.

Najpierw obeszałam dom naokoło. Wyglądał rzeczywiście jak wymarły. Cichy, ciemny, wydawało mi się jednak, iż w jednym z okien pełga jakieś słabe światelko. Dochodziło dopiero południe, ale na dworze było pochmurnie i szaro.

Podobnie jak przedtem otworzyłam furtkę bez żadnego trudu, podeszłam do drzwi i nacisnęłam dzwonek. Powtórzyłam tę czynność co najmniej kilkanaście razy. Wreszcie przyszło mi na myśl, że być może dzwonek jest popsuty, zaczęłam więc stukać. Coraz głośniej i bardziej nerwowo. Po jakimś czasie usłyszałam odgłos kroków, zobaczyłam czyjeś oko w wizjerze i drzwi się wreszcie otworzyły.

– Dzięki Bogu! – Gosia rzuciła mi się z płaczem na szyję. – Jest pani! Tak

bardzo chciałam, żeby pani przyszła. Modliłam się o to!

Małgorzata miała na sobie jakąś dziwną czarną suknię do samej ziemi i była na bosaka. Włosy miała w nieładzie, twarz bladą, podkrążone oczy. Podążyłam za nią na górę. Pokój, do którego mnie zaprowadziła, był duszny i mroczny, na meblach porozstawiane były zapalone znicze, powietrze wypełniał zapach stearyny. Zastony były szczelnie zaciągnięte. To nie wróżyło niczego dobrego...

– Od dawna tak siedzisz? – spytałam pełna niedobrych przeczuć.

– Od pogrzebu. To znaczy od piątku... Zrobiłabym pani kawę, ale się skończyła. Herbaty też nie mam. Nic nie mam...

– Mów, co się stało. – Posadziłam ją w fotelu i usiadłam naprzeciwko.

– Już pani wie, prawda? To był zawał. Zaczęło się w nocy, objawy były dość nietypowe i Jakub bagatelizował sprawę, bo uważał, że to żołądek, zgaga czy coś takiego. W końcu przestałam go słuchać i wezwałam pogotowie. Nie mogę sobie darować, że nie zrobiłam tego wcześniej. Zmarł pół godziny później w szpitalu.

Gosia ukryła w dłoniach twarz i załkała jak dziecko.

– Czemu nie dałaś mi znać? Postarałabym się jakoś ci pomóc, wesprzeć...

– Bo... Najpierw załatwiłam formalności pogrzebowe, żeby zrobić to jak najszybciej, i kompletnie nie myślałam o niczym innym. Jak już było wszystko ustalone, powiadomiłam jego rodzinę. Obawiałam się, że nie pozwolą mi go pochować, a to był przecież mój obowiązek, nie ich. Ja byłam dla niego najbliższą osobą, to mnie kochał i tego by sobie na pewno życzył. I wtedy zaczęły się naloty. Do samego pogrzebu drzwi się w tym domu nie zamykały. Nie wiedziałam, że Majcherkowa jest tak wierną przyjaciółką siostry Jakuba, bo i ona w tym brała udział.

– Jak to? Ale o co im wszystkim chodziło?

– Najpierw jego siostry, bo ma je dwie, domagały się sekcji zwłok. Zgłosiły sprawę na policję, bo uznały, że go zabiłam dla majątku. Ale lekarz, który był przy śmierci Jakuba, nie miał żadnych wątpliwości, że to był naturalny zgon, poświadczył, co trzeba, i bez sekcji się obeszło. Potem uparły się na otwarcie testamentu, jeszcze przed pochówkiem. Niemal siłą sprowadziły mi tu prawnika Jakuba. Ale temu dokumentowi też nie dało się niczego zarzucić. Wyobraża sobie pani? Jakub pomyślał o wszystkim. Mnie dostał się dom, motor, samochód, który mi kupił, i jego oszczędności, siostrom natomiast zostawił wszystkie pozostałe ruchomości: jego auto, meble, obrazy i rodzinną biżuterię, która należała przedtem do jego żony. Sporo tego w sumie, bo na kilkaset tysięcy złotych...

– I? Pogodziły się z tym?

– Skądże. Jeszcze tego samego dnia odcięto mi prąd, wodę, gaz, telefon, Internet. Jakimś chałupniczym sposobem, bo nie zrobił tego nikt uprawniony, sprawdziłam. Potem robiły wszystko, żeby nie wyszło tak, jak ja to zaplanowałam, chciały pochować go na innym miejscu, mszę pogrzebową załatwiły w innym

kościelnie, mówię pani, cud, że nie doszło do rękoczynów. Musiałam tu tkwić i pilnować wszystkiego w każdej minucie.

– Podobno do dzisiaj pilnujesz majątku po Jakubie – wymusnęło mi się.

– Wie pani co? Ja chromolę cały ten majątek. Tak! – Gosia aż poderwała się z miejsca. – Jestem tu, bo chcę... pobyć z nim jeszcze. Tu przeżyć żałobę, w tym domu. Jak będę gotowa, rzucę im to wszystko w pysk!

Spojrzałam na dziewczynę z głębokim współczuciem. Kolejny raz jej nie wyszło. I nie zasłużyła sobie na takie traktowanie. Jakub był dorosłym mężczyzną w pełni władz umysłowych i miał prawo decydować o swoim życiu.

– Czy on miał jakieś dzieci? – spytałam, bo wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

– Tak, ma syna. W Stanach Zjednoczonych. Poznałam go nawet, bo spędzał z żoną święta w Zakopanem, jak my. Tam, gdzie mieszkają, nie ma zimą śniegu, więc przyjeżdżają do Polski, jak tylko mają czas i okazję. Mogą sobie na to pozwolić. Kuba, bo on też ma tak na imię, jest naukowcem, dostał po studiach jakieś ważne stypendium w Ameryce i został na stałe. Tam się ożenił, ma dobrą pracę, willę z basenem, zarabia kupę forsy i wcale mu nie w głowie tu wracać.

– A co on na to? Na ten wasz związek, znaczy?

– Nic. – Gosia wzruszyła ramionami. – Wcale nie był zgorszony ani zbulwersowany. Bawiliśmy się niezłe wszyscy czworo i wyglądało, jakby się cieszył, że ojciec jest szczęśliwy. Ale na pogrzeb nie przyleciał, nie dał rady, to się stało zbyt szybko.

– W takim razie, jeśli już ktoś miałby prawo do spadku, to jego syn, a nie siostry.

– Co z tego? One uważają inaczej.

– A w tej chwili? Jak to wygląda?

– Nijak. Nie wpuszczam tu nikogo. Czekam, sama nie wiem na co.

– Małgosiu, zbieraj się stąd. Tu nic nie wysiedzisz, a i Jakub pewnie nie byłby zadowolony z tego, że tkwisz w tym... grobowcu jak pustelnica. Kiedy ostatnio jadłaś?

– Nie wiem – odparła dziewczyna apatycznie.

– Wobec tego zakładaj płaszcz, idziemy do mnie. Albo do ciebie, jak wolisz. Boisz się, że ktoś się tu włamie?

– Nie. W domu jest alarm niezależny od żadnych innych instalacji, mogę go uzbroić przed wyjściem. Nie żebym tym żoźom czegoś żałowała, ale na złość po prostu. I przed zwykłymi złodziejami.

Gosia po raz kolejny wtuliła się w moje ramiona.

– Tak się cieszę, że pani przyszła!

Uściskałam ją mocno i starłam dłonią łzy z policzków.

– Chodź, pośpiesz się, musisz koniecznie coś zjeść i się wyspać –

ponagliłam.

Małgosia włożyła na bose stopy długie kozaki, na zwiewną czarną suknię płaszcz, włączyła alarm i wyszliśmy. Teraz na zewnątrz było zaskakująco jasno, chyba przez kontrast z mrocznym pokojem Małgosi. Dziewczyna ujęła mnie pod ramię i tak przeszliśmy kilkanaście ulic dzielących nas od kamienicy, od czasu do czasu zwracając na siebie uwagę przechodniów. Ale i ona, i ja miałyśmy to głęboko w nosie.

ROZDZIAŁ VI

Wyprawa w sfery nieznane

Od kilku tygodni miałam u siebie kolejnego rekonwalescenta. Najpierw był Bu, teraz Małgorzata. Dziewczyna popadła w głęboką apatię, a ja robiłam wszystko, żeby przywrócić ją życiu. Wyglądało na to, że nie chce być sama, sypiała w mojej sypialni, a ja z kotem w tak zwanym małym pokoju. Nawet nie krygowała się zbyt. Nie protestowała, gdy przyrządzałam dla nas śniadania, kolacje, gotowałam obiady. Nie rozmawialiśmy też wówczas wiele, stała się wycofana i milcząca, więc starałam się to uszanować. Wieczorami Gosia oglądała telewizję albo słuchała muzyki i czytała książki. Połykała je dosłownie, jeszcze trochę, a przestałaby jej wystarczać moja prywatna biblioteczka. Ja pracowałam. Zaczęłam pisać nową powieść i kontynuowałam współpracę z „Horizontem”. Napisałam do pana Jacka, że z powodu osobistych komplikacji muszę chwilowo wstrzymać się z jego sprawą. Odpisał, że będzie czekał, ile trzeba. Tak upływał dzień za dniem, wieczór za wieczorem, noc za nocą. Ale któregoś ranka, gdy dały się już wyraźnie odczuć pierwsze symptomy wiosny, Małgorzata się nieoczekiwanie ożywiła.

– Przemyślałam sobie wszystko z detalami – oznajmiła przy śniadaniu. – Nie mogę tak dłużej, nie po to przyjechałam do tego miasta, by w nim skapcanieć doszczętnie. Siedzieć pani na głowie, obżerać panią i wykorzystywać.

– Nie pleć bzdur – ofuknęłam ją, bo jej obecności w moim domu ani w budzecie prawie nie dawało się odczuć.

Przeciwnie, przyzwyczaiałam się do tej sytuacji i całkiem mi to odpowiadało.

– Ja wiem, że pani jest bardzo miła, ale wszystko ma swoje granice.

– Wobec tego podziel się ze mną swoimi przemyśleniami – zaproponowałam.

– Mam zamiar wziąć się w garść, nadrobić zaległości w nauce, zdać maturę, a jesienią pójść na studia.

Spojrzałam na nią z pełnym podziwu zaskoczeniem. Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw.

– Z majątku po Jakubie wezmę tylko oszczędności, jest tego tyle, że starczy na wykupienie mojego mieszkania. I motor. Resztą niech się udławiają. Znajdę jakąś tymczasową robotę, żeby mieć na utrzymanie i na studia, a potem pomyślę o sobie. Nie dam się tak. Pójdzie pani ze mną?

– A dokąd?

– Do domu Jakuba.

– Pójdę.

Przed wyjściem Gosia udała się do siebie i wróciła stamtąd ubrana szykownie i ze smakiem, jak dawniej. Ruszyliśmy więc na tę niekoniecznie bezpieczną eskapadę.

– Tego właśnie się spodziewałam – powiedziała Małgosia, jak tylko otworzyła drzwi.

– Czego? – spytałam, bo nic nie rzuciło mi się w oczy.

– Zobaczysz pani zaraz. Obie zobaczymy...

Wszystkie pokoje świeciły pustkami. Nie było mebli, dywanów, obrazów, żyrandoli, niczego. Tylko firanki w oknach zostały, bo stury też zabrano. Nawet urządzenia sanitarne z łazienek zostały wymontowane.

– Skąd wiedziałaś?

– Alarm nie działa. Ktoś się z nim rozprawił na chama.

Zeszliśmy do garażu. Po samochodach i motorze nie było śladu. Gosia zachichotała, jak mi się zdawało, nerwowo.

– Śmiejesz się? – spytałam, zaniepokojona jej reakcją.

– Owszem. Wie pani czemu?

– No?

– Bo stało się dokładnie tak, jak przewidziałam. Wzięły wszystko, ale motor zdążyłam ukryć. Na nim mi tylko zależy.

– Ukryłaś motor? Gdzie?

– Wynajęłam boks przy giełdzie spożywczej. Bywałam na niej wcześniej z właścicielami warzywniaka. Stoją tam takie budy, w sumie zawsze było parę wolnych. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak na to wpadłam i jak tego dokonałam, chyba sam Jakub czuwał nad moim rozumem.

– Pewnie tak. – Uśmiechnęłam się, po raz pierwszy od dwóch miesięcy widząc ją tak zadowoloną.

– Idziemy po motor?

– Jasne – zgodziłam się od razu, bo bardzo mi zależało, żeby Gosia w końcu pozbięrała się do kupy.

A skoro motor miał jej w tym pomóc, czemu nie?

Maszyna stała w boksie szczelnie okryta plandeką i jak się okazało, nietknięta przez nikogo.

– Wsiada pani? – spytała Gosia, podając mi jeden z kasków leżących na siedzeniu.

W tym momencie przez chwilę się zawahałam, ale tylko przez chwilę.

– Raz kozie śmierć – odparłam i odebrałam od niej kask.

Gosia prowadziła motocykl całkiem sprawnie, nie jechała zbyt szybko ani

zbyt wolno, swobodnie poruszała się w ulicznym ruchu. Byłyśmy z powrotem pod kamienicą w kilkanaście minut, gdyby nie światła na skrzyżowaniach, wolno jadące auta i inne zawalidrogi, trwałyby to znacznie krócej.

– Nie obawiasz się go tu zaparkować? – spytałam, kiedy dziewczyna ustawiła motor przy ulicy i zaczęła zakładać blokadę.

Takie zabezpieczenie nie wydawało mi się wystarczające, nawet nie tyle przed kradzieżą, co wandalizmem.

– Nie. Będę miała na niego widok z okna. Właściwie to tylko jedno zagrożenie widzę, Majcherków.

– Właśnie o nich mówię – skomentowałam.

– Założę na balkonie kamerę, a na motorze przykleję znaczek „obiekt monitorowany” – zaśmiała się Gosia. – Naprawdę tak zrobię, nie wierzy pani?

– Wierzę.

– Poza tym jakby ktoś miał go ukraść czy zdemolować, to nic temu nie przeciwdziała, oprócz porządnego garażu, którego przecież nie mam. I... liczę na Jakuba. On na to nie pozwoli.

– Nie pozwoli – potwierdziłam z uśmiechem.

Kiedy weszłyśmy do mojego mieszkania i spojrzałam w lustro, uznałam, że „starsze panie” mają zawsze pod górkę, w każdym razie w kwestii wyglądu: włosy Małgosi w ogóle nie ucierpiały pod kaskiem, a z mojej fryzury nie pozostał nawet ślad. Popędziłam do łazienki, żeby je choć trochę nastroszyć i utrwalić lakierem, bo przykro mi było na siebie samą patrzeć.

– Bierzemy się za jakiś obiad – zarządziłam.

– Nic z tych rzeczy – zaprotestowała Gosia. – Obiad zamówimy w knajpie z dostawą do domu, na mój koszt. I ani mru-mru! – zastrzegła groźnie.

Kiedy zamawiała jedzenie przez telefon, ja zajęłam się kotem. Uprzątnęłam kuwetę, umyłam miski, napełniłam je jedzeniem i zmieniłam wodę. Bu jak zwykle asystował mi przy tym, wijąc się między nogami jak wąż, trącąc głową w rękę, którą nakładałam karmę, wskutek czego zawsze parę kawałków upadało na podłogę. Jednym słowem, przeszkadzał, jak umiał, mimo iż chęci miał jak najlepsze: w jego mniemaniu to była pomoc.

– Napijemy się kawy, zanim dowiozą żarcie? – spytała Gosia.

– No pewnie – przytaknęłam, bo dla mnie każda pora była dobra na kawę. – Zrobisz?

– Co by nie? – odparła dziewczyna z niezwykłą jak na ostatnie czasy energią. – Kurde, nie kupiłyśmy śmietanki, niech to szlag!

– Mamy normalne mleko.

– Nie mamy.

– Mamy. – Wyjęłam niemal pełny karton z lodówki, z szuflady na warzywa.

Chowałam mleko przed Gosią, żeby nie karmiła nim kota. Jemu oczywiście

było w to graj, ale ja nie byłam w stanie przetłumaczyć dziewczynie, że kotom mleko szkodzi.

– To jakby im myszy szkodziły – odparła kiedyś, skrytykowana przeze mnie po raz któryś z rzędu. – Kota podstawowy pokarm to mleko i mysz. U nas w domu zawsze były koty, łapały myszy, popijały mlekiem i żyły długo i szczęśliwie.

Od tej pory przestałam prosić i zaczęłam ukrywać mleko. Jak nie było, to nie było i już. I marna była szansa, że Małgorzata, która prawie w ogóle nie wychodziła z domu, uda się do sklepu i kupi.

– Szukałam przecież w lodówce – zdziwiła się.

– Widocznie zaćmę miałaś chwilową – odparłam, nie chcąc jej wtajemniczać w moje chytre działania.

Usiadłyśmy przy stole w kuchni z filiżankami roztaczającymi cudną kawową woń, która już sama w sobie pobudzała mnie do życia. Gosia upiła łyk i zaczęła bębnić palcami w stół. Coś ją ewidentnie rozpierało. Nie ułatwiałam jej zadania, czekałam, co powie.

– Jeszcze kawał marca przed nami – odezwała się w końcu.

– Aha, i co?

– I to, że póki się nie ociepli jakoś znacznie, możemy jechać do Oławy. No, chyba że się pani odwidziało?

– Nie, nie odwidziało mi się, ale myślałam, że odłożymy to na jesień. Powinnaś się uczyć, matura za pasem. Ja ci pomogę, oczywiście w granicach moich możliwości. Matematyka nie jest moją mocną stroną, ale z pozostałych przedmiotów mogę się postarać.

– I na to właśnie liczę – ucięła Małgorzata. – Tyle tylko, że nauka nie zajac. Może ja na taką nie wyglądam, ale głowę i pamięć mam niezłą. Okazji tylko nie było dotychczas. Sprawa w Oławie natomiast pilna jest, bo pogoda lada dzień się zmieni. Do jesieni kawał czasu, kto wie, jak będzie? A nuż Majcherki zdemolują motor?

Gosia pojechała po bandzie, wykorzystując moje najgorsze obawy.

– Okej, mów, jak to widzisz – skapitulowałam.

Akurat przyjechał nasz obiad i Gosia w ten sposób zyskała jeszcze trochę czasu na zebranie się w sobie. Postanowiłyśmy zjeść w kuchni. Bu, napasiony do granic możliwości, zjawił się zwabiony zapachami i zaczął łąsić się oraz przymilać.

– Poczęstuj go surówką – powiedziałam skłonnej podzielić się z nim posiłkiem Małgosi. – Może uzna, że jemy coś niejadalnego, i się odczepi.

Kot jednak spożył kapustę jakby nigdy nic i zebrał dalej.

– Dam mu mojej wątróbki, co? – spytała niepewnie Małgosia.

– Nie. Jeszcze trochę i zapasimy go na śmierć!

Zabrałam tłuszczocha pod pachę i zamknęłam w sypialni.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – skomentowałam.

Kot miauknął parę razy żałośnie, ale w końcu pogodził się z losem. Za każdym jego miauknięciem przez twarz Małgosi przebiegał grymas bezbrzeżnego cierpienia, ale i ona sprostowała sytuacji.

– Mów o tej Oławie – zażądałam, by z jednego niezręcznego tematu przejść na drugi.

– Zrobimy dokładnie tak, jak planowałyśmy przedtem: ja pojedę motorem, a pani za mną autem. Taryfą, bo teraz nie ma innej możliwości. I tyle. Ja oczywiście pokryję koszty.

– A to niby czemu?

– Tak sobie. Bo chcę.

Małgorzata powiedziała to takim tonem, że nie odważyłam się zaprotestować. Na razie była przy forsie; pieniądze, które zostawił jej Jakub, stanowiły całkiem sporą kwotę. Dziewczyna była sprytna i miała refleks. Natychmiast po śmierci Jakuba przelała jego oszczędności na swoje konto, żeby mieć z czego urządzić pogrzeb. Nie zastanawiała się nad kwotą – przelała całość. Wobec pazerności jego sióstr było to bardzo dobre posunięcie, a kiedy się okazało, że pieniądze i tak należałyby do niej – jeszcze lepsze. Gosia była prostą dziewczyną, ale uczciwą i honorową. Nie zależało jej na spadku po kochanku, najchętniej zostawiłaby wszystko i odcięła się od tej sprawy. Był w niej jednak jakiś wiejski upór i przekora, dlatego postanowiła, że za wszelką cenę zrealizuje swoje wcześniejsze, ambitne plany. Te pieniądze, podobnie jak motor, stanowiły środek do jej celów, nie cel sam w sobie. I to było moim zdaniem w porządku.

– Ej, co tam? – Małgorzata zamachała mi rękami przed nosem. – Mówię i mówię, a pani postawiła oczy w słupek i nic!

– Zamyśliłam się, przepraszam. Mów od nowa.

– Pytałam się: dziś czy jutro?

– Chryste Panie, ależ ty jesteś narwana! – wykrzyknęłam, nie potrafiąc opanować zaskoczenia. – Nie sądzisz, że to trzeba porządnie zaplanować, przygo-tować się?

– Ja już wszystko zaplanowałam przedtem. W tej sprawie niewiele się zmieniło, tylko tyle, że zrobimy to bez Jakuba. A co do przygotowań, wystarczy się dowiedzieć, jaką trasą konkretnie mamy jechać i w którym miejscu znaleziono zwłoki dziewczyny.

– Ja wiem, jaką trasą, mam to w którymś mejlu od pana Jacka – odparłam, kapitulując przed jej uporem. Zresztą muszę się przyznać, choćby sama przed sobą, że i mnie podniecała perspektywa spotkania z duchem. I napawała lękiem jednocześnie.

– To w zasadzie wystarczy – ucieszyła się Gosia. – Zamawiamy taryfę.

– No i zaczynają się schody – bąknęłam pod nosem.

– Jakie znowu schody?

– Myślisz, że pierwszy lepszy taksówkarz zgodzi się na śledzenie ducha? W towarzystwie dwóch wariatek, bo inaczej z pewnością o nas nie pomyśli.

– Ależ my go wcale nie będziemy w to wtajemniczać! – oburzyła się dziewczyna. – Po prostu taką mamy trasę do przejechania, w takich godzinach i już. Możemy co najwyżej powiedzieć, że pani się boi jechać ze mną motorem. Albo że o mnie się pani boi, jeśli to lepiej zabrzmie.

– Dzwon w takim razie. Ja pozmywam – zdecydowałam.

Gosia zamówiła taksówkę na pierwszą w nocy, żeby w okolicach trzeciej nad ranem znaleźć się w pobliżu miejsca, gdzie zamordowano Maję. Dziewczyna okazała się świetną organizatorką, zaplanowała wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Po pierwsze, uznała, że nie będziemy informować o naszej eskapadzie pana Jacka, żeby się w to nie wmieszał i niczego nie popsuł. Ustaliła, w co mamy być ubrane: sportowy strój, czyli spodnie i płaskie buty, ciepłe swetry i kurtki z kapturami, szaliki, czapki, rękawiczki, powinniśmy też zabrać latarkę. Ja, co prawda, pojedę sobie w ciepelku, ale nie wiadomo, czy nie trzeba będzie przeczesać okolicy. Ona będzie miała gorzej, zwłaszcza że jej motocyklowy kombinezon i wszystkie inne, najbardziej nawet osobiste, rzeczy zwinęły z domu Jakuba jego siostry.

Potem zasiadłyśmy do komputera i na Google Maps prześledziłyśmy kilkakrotnie ostatni odcinek trasy z Wrocławia do Oławy, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich dziesięciu kilometrów.

– Pojedziemy na okrętkę – wyraziłam swoją najnowszą wątpliwość. – Wrocław nie leży na trasie od nas do Oławy. Jak to wyjaśnisz taksówkarzowi?

Gosia spojrzała na mnie niemal z obrzydzeniem.

– My mu zapłacimy i tylko taki jest jego problem. Nie sądzi pani?

– Sądzę – zmieszałam się, bo dziewczyna miała przecież rację.

To ja miałam jakąś dziwną przypadłość, by każdemu wszystko tłumaczyć. Może jest to jakieś pokoleniowe skrzywienie.

Zaopatrzyłyśmy się jeszcze w termos gorącej kawy, chciałam zabrać z sobą również butelkę koniaku, ale Małgorzata spojrzała na mnie z oburzeniem.

– A to po co? – spytała, wrywając mi trunek z ręki.

– Dla odwagi. Ja przecież nie prowadzę – odparłam, usiłując jej go odebrać.

– Nie można kontaktować się z duchami pod wpływem alkoholu. Nie wie pani o tym?

– Czemu niby? – spytałam, choć oczywiście wiedziałam, w czym rzecz. Niestety nie przyszło mi to do głowy, w przeciwieństwie do nad wyraz rozsądnej dziś Małgorzaty. Chciałam sprawdzić, co ona wie na ten temat.

– Użytki otwierają w człowieku kanał, przez który może dostać się do niego

różne badziewie z zaświatów. Złe duchy, demony, czarne anioły.

– Czarne anioły? Pierwsze słyszę.

– To są właśnie te dusze zabłąkane. Nie są złe, ale same potrzebując pomocy, czepiają się ludzi i mogą narobić wiele złego. Niechący.

– Skąd to wiesz?

– Czytałam, mówiłam pani przecież.

– Wobec tego będę cię musiała poprosić o listę tytułów. Muszę uzupełnić swoją wiedzę – roześmiałam się, po czym niepostrzeżenie i tak ukryłam w torbie zgrabną butelkę.

Kiedy taksówkarz podjechał pod dom, byliśmy już gotowe do wyjścia. Uchyliłam drzwi z sypialni do przedpokoju, by kot mógł swobodnie korzystać ze wszystkiego, co było mu niezbędne. Rzuciłam na niego okiem – spał twardo na kaloryferze wymoszczonym specjalnie dla niego miękkim, frotowym ręcznikiem.

Tuż przed wyjściem na zewnątrz Małgosia złapała mnie za rękę i zajrzała mi z uśmiechem w oczy.

– Wszystko będzie dobrze. Jakub jest z nami – szepnęła.

– Skąd wiesz? – Obejrzałam się za siebie odruchowo.

– Cytrusy. Czuję zapach cytrusów, to jego wizy-tówka...

Kierowca taksówki był młody, energiczny i z poczuciem humoru. To dawało sporą szansę na w miarę przyjemne przebycie naszej trasy. Dla mnie, bo Gosia zdana była wyłącznie na swoje towarzystwo.

– Mówi pani, że mam jej nie wyprzedzać, choćby nie wiem co? – upewnił się taksówkarz.

– Właśnie. Jedziemy za nią w charakterze eskorty, więc to logiczne i absolutnie konieczne.

– W porządku – zgodził się i postarał o odpowiednią odległość między nami i Małgosią.

– Co panie tak po nocy gna w świat? I to jeszcze motorem? – zapytał raczej z ciekawości niż grzecznościowo.

– Mamy pilną sprawę do załatwienia w Oławie – odparłam, nie wdając się w szczegóły.

– Nie wołałyby panie zatem pojechać krótszą drogą? Jadąc przez Wrocław, robimy o wiele dłuższą trasę.

– Dziękuję, ale wolimy przez Wrocław.

– Rozumiem. Tam też macie coś do załatwienia?

– Nie, proszę pana, ale mimo to wolimy przez Wrocław – odpowiedziałam grzecznie.

Mężczyzna spojrział na mnie jakoś dziwnie. No tak – pomyślałam – czego

bym nie mówiła, nie unikniemy opinii wariatek. Udzieliła mi się jednak asertywność Gosi i było mi to zupełnie obojętne.

– Mogę jeszcze o coś zapytać? – odezwał się po dłuższej chwili taksówkarz.

– Proszę.

– Czy tej młodej damie przed nami nie byłoby wygodniej w taksówce? I cieplej przede wszystkim? W tej chwili mamy na zewnątrz... – rzucił okiem na pulpit – tylko dwa stopnie.

– Z pewnością, ale ona musi jechać motorem – odrzekłam coraz bardziej niepewnie.

– Jedziecie go sprzedać, czy tak? – kierowca uczeplił się ostatniej szansy zrozumienia sytuacji.

– Nie. Wracać będziemy w taki sam sposób.

Taksówkarz zamilkł na dłuższą chwilę. Zrobiło mi się go żal. Sama bym nie chciała być na jego miejscu.

– Proszę pana, ja wiem, że to być może wygląda dziwnie – odezwałam się w końcu po męsku – ale nie chciałabym panu opowiadać o szczegółach naszej podróży. Dla pańskiego dobra, proszę mi wierzyć. – Zamierzałam w ten sposób gościa nieco uspokoić, ale nie wyglądało na to, bym osiągnęła właściwy skutek.

– Czy coś mi z waszej strony grozi? – spytał mężczyzna wprost.

– Z naszej na pewno nie – odparłam z zamiarem jak wyżej i równie odwrotnym skutkiem.

– To czemu mi pani to wszystko mówi?

– Bo pan się dopytuje! – wybuchnęłam w końcu. – I docieka, a nie powinien pan. To nieprofesjonalne. I z mojej strony też jest nieprofesjonalne, żeby się panu tłumaczyć, tak?!

– Tak, ma pani rację, nie powinienem tego robić. Byłbym znacznie spokojniejszy.

– A nie jest pan?

– Szczerze przyznam, że nie bardzo...

– No to ja pana uspokoję albo wręcz przeciwnie, to się okaże. Łowcy duchów, mówi to panu coś? – wyrzuciłam z siebie jednym tchem, nie bacząc na zakazy Małgosi.

– Serio? – ożywił się mężczyzna. – Oglądam taki serial dokumentalny w telewizji. Niesamowita sprawa!

– Serio. Stąd taka dziwna trasa. Ale proszę, niech już pan o nic więcej nie pyta i robi swoje.

– Tak jest – odparł taksówkarz jak funkcjonariusz na służbie i wbrew wszystkiemu znacznie poprawił mu się nastrój.

Jechaliśmy co najmniej kilkanaście kilometrów w milczeniu, choć widać było, że mężczyznę to milczenie wyraźnie męczy. Po pewnym czasie Małgorzata

zaczęła mrugać prawym kierunkowskazem i zjechała na pobocze.

– Ka...ka...a...wy... – zażądała, szcękając zębami.

Usiadła obok mnie na tylnym siedzeniu. Z trudem udało jej się trafić kubkiem do ust. Piła szybkimi, drobnymi łyżkami, stopniowo przestając się trząść. Taksówkarz przyglądał się jej ciekawie w lusterku.

– Ja bym coś zaproponował, jeśli można – odezwał się niepewnie.

– Słucham – przyzwoliłam.

– Jeśli któraś z pań ma prawo jazdy na samochód, moglibyśmy się co jakiś czas zamieniać...

Spojrzałam z ukosa na Gosię. Nie zaprotestowała, ważyła w sobie odpowiedź. Widać zimno dało się jej już bardzo we znaki. Byłam wściekła na te chytre babska, które ukradły, bo inaczej nie można tego nazwać, jej ocieplany motocyklowy uniform.

– Zamarzłby pan na amen – wyraziła wątpliwość Gosia.

– W bagażniku mam puchową kurtkę i rękawice. Wożę na wypadek, gdyby trzeba było zmienić koło.

– Wobec tego, skoro pan taki łaskawy, przejedzie pan przez Wrocław i kolejne dziesięć kilometrów – zdecydowała Gosia. – A dalej znów ja.

Nie było to już daleko, bo właśnie wjeżdżaliśmy do miasta. Ona miała za sobą znacznie dłuższą trasę. Kierowca zaś, jak to się w bajkach mawia, „jak powiedział, tak zrobił”. Włożył na siebie kurtkę, rękawice i kask, dosiadł Gosinej maszyny i ruszył. Małgorzata dostosowała do swojego wzrostu fotel i lusterka, po czym ruszyła równie płynnie jak swoim motorem.

– Sam na to wpadł? – spytała podejrzliwie.

– Samusieńki.

– Coś mi się zdaje, że mu pani powiedziała o celu naszej podróży. Mam rację?

– Patrz ty raczej na drogę, bo go zgubisz albo rozjedziesz – spróbowałam zmienić temat.

– Spokojnie, wiem, co robię. Więc jak? – nie dawała się zbyć Małgorzata.

– Owszem, powiedziałam, bo nie miałam innego wyjścia. Facet jest z gatunku tych, co to się bardziej boją żywych niż umarłych. I zdecydowanie mu ulżyło, powiem ci.

– Czemu?

– Bo wydawałyśmy mu się tak dziwne, że zaczął się mnie w końcu bać.

– Ha, ha – roześmiała się Gosia. – Mówiłam pani, jak ktoś nie umie kłamać, a nie może powiedzieć prawdy, to niech lepiej milczy. Nieźle mu pani musiała we łbie namieszać! Pewnie facet był dociekliwy, co?

– Owszem.

– Więc trzeba było mu powiedzieć, że to nie jego sprawa. I tyle.

– Tak właśnie zrobiłam... mniej więcej. Weź ty się raczej, Gosiu, skup na trasie, okej?

– Okej – odparła, chyba trochę urażona, i wlepiła wzrok w drogę przed sobą.

– To chyba już – przerwałam panującą od dłuższego czasu ciszę dopiero wówczas, gdy zobaczyłam, że motocyklista przed nami zwalnia i coś wyraźnie kombinuje.

– Uhm. Szuka miejsca, żeby móc się zatrzymać – przyznała Gosia.

Taksówkarz skręcił w pierwszą lepszą leśną dróżkę. Małgorzata sięgnęła za siebie po termos z kawą.

– Pani go obsłuży – zasugerowała, wysiadając.

Mężczyzna trząśł się tylko trochę mniej niż przedtem Gosia. Rozebrał się dopiero wówczas, gdy wysiorbał dwa kubki kawy.

– Mogę? – Małgorzata wyciągnęła rękę po kurtkę, gdy ten zamierzał wrzucić ją z powrotem do bagażnika.

– Jasne – zgodził się bez namysłu. – Jest z pewnością cieplejsza niż ta, którą pani ma na sobie.

– Włożę jedną na drugą.

– Nie radzę. To ograniczy pani zdolność ruchów i może być niebezpieczne.

– Słusznie – przyznała Gosia i błyskawicznie zmieniła wierzchnią odzież. – Teraz ja już jadę motorem, do samego końca – oznajmiła.

– Gdzie to ma być? – spytał z przejęciem facet, gdy już ruszyliśmy. – To miejsce, w którym straszy.

– Niedaleko, za około dziesięć kilometrów – odparłam. – Musimy się skupić, niech pan już nic nie gada, dobrze?

– Dobrze – szepnął i umilkł.

Teraz przez cały czas wzdłuż drogi rozciągał się las. Nie spuszczałam z oka tylnego światła motoru, nie było mgły i mimo ciemności widoczność była nie najgorsza. Gosia jechała coraz wolniej, na skutek czego zbliżyliśmy się do niej w pewnym momencie na odległość paru metrów. Spostrzegłam, że podnosi szybę od kasku. Przejechaliśmy w takim tempie jeszcze jakieś dwa kilometry i Gosia się zatrzymała.

– Minęliśmy to miejsce – wykrzyczała w uchylone przeze mnie okno taksówki. – To było wcześniej, jak te dwa grube drzewa, widziała je pani?

– Widziałam. I co? Nic, prawda?

– Prawda. Wracamy.

Domyśliłam się, że Gosia włączyła do akcji swój psi węch, stąd ta podniesiona osłona kasku. I stąd pewność co do miejsca.

– Niech pan nie trzyma się jej tak blisko – zażądałam, gdy pokonywaliśmy ten odcinek po raz drugi.

Kierowca zwolnił. Milczał przez cały czas, zgodnie z moim poleceniem.

I utrzymywał optymalną odległość. Po pewnym czasie Gosia zatrzymała się znowu. Dała nam ręką znak, byśmy zostali na miejscu. Zsiadła z motoru, nie wyłączając silnika, i zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem.

– W ten sposób ona jej nigdy nie odnajdzie – szepnęłam.

Taksówkarz spojrział na mnie, ale nie odezwał się ani słowem.

– Niech pan wyłączy światła!

Mężczyzna natychmiast spełnił moje polecenie. Teraz już widoczne było dla nas tylko to, co oświetlał stojący jakieś dwadzieścia metrów przed nami motor. Gosia podeszła do maszyny i podkręciła gaz. Pojazd wydał z siebie głośny warkot. Czynność tę powtarzała przez jakiś czas. I nagle... z lasu wyłoniła się dziewczyna. Nie żadna eteryczna zjawa czy ektoplazma, ale normalna dziewczyna, jak żywa.

– Dałoby się tak po cichutku podjechać bliżej, bez świateł i na luzie? – spytałam szeptem.

– Powinno się dać, jest z górki – odparł taksówkarz równie cicho i zdjął nogę z hamulca.

Auto potoczyło się wolno do przodu. Miałam świadomość, że mogę w ten sposób zepsuć całą sprawę, ale nie mogłam sobie tego odmówić. Przez chwilę w świetle lampy motoru zobaczyłam dziewczynę wyraźniej: miała na sobie kusy, rozchełstany płaszczyk, botki obszyte futerkiem i długie jasne włosy. W rękach trzymała sporych rozmiarów pakunek, który przyciskała do piersi jak najcenniejszy skarb. Wstrzymałam oddech i wyteżyłam wzrok. Po chwili złapałam się na tym, że ściskamy się z taksówkarzem za ręce... Pojęcia nie miałam, co o tym sądzić, ponieważ rzecz nie wyglądała na coś nadzwyczajnego, może poza tłem wydarzeń: miejscem, porą doby i roku. Ot, spotkanie dwóch zwyczajnych dziewczyn... Gosia stała naprzeciw niej i widać było, że rozmawiają. Mówiła raz jedna, raz druga, na zmianę. Jeśli to rzeczywiście był dialog z duchem, czułam, że będę musiała jeszcze raz zmierzyć się z moimi poglądami na kwestie nadprzyrodzone, bo moja dotychczasowa transformacja poglądów w tej materii zdecydowanie nie wystarczy... Wpatrywałam się w scenę przed sobą tak intensywnie, że oczy zaczęły mi zachodzić mgłą: chyba zapomniałam wręcz o mruganiu. Czas znacznie zwolnił swój bieg... Według stałego scenariusza obie powinny były wsiąść na motor i odjechać. Pomyślałam, że Małgorzata nie chce do tego dopuścić, by dziewczyna nie zniknęła po drodze, jak miewała w zwyczaju. Sądząc z gestykulacji, próbowała ją do czegoś przekonać. Trwało to dość długo, nie mierzyłam czasu, ale z kwadrans na pewno. Powoli przestawałam wierzyć w to, co widzę. To znaczy wierzyłam, ale w całej tej sytuacji nie było nic nadzwyczajnego, nadnaturalnego. Rozmówczyni Małgosi wyglądała na równie żywą jak ona sama. Jednak po chwili obie zaczęły się jakby ślaniać na nogach, przy czym... nogi miała już tylko Gosia!

– Widzi pan to samo, co ja widzę? – spytałam szeptem, podejrzewając się

o jakieś omamy.

– Widzę... – odparł mężczyzna. – To znaczy nie widzę. Przynajmniej połowy tej... drugiej...

Dziewczyna zaczęła powoli znikać, począwszy od dołu. Ale zanim całkiem znikła, oddała Gosi swój pakunek. Małgosia zagarnęła go na siedzenie motoru, po czym zawisała w poprzek pojazdu i tak została.

– Co teraz? – spytał ledwie słyszalnie taksówkarz.

Nie miałam pojęcia, ale jako „łowca duchów” musiałam coś zrobić.

– Może pan już zaświecić w aucie światło – powiedziałam tylko.

Wysiadłam z samochodu i podbiegłam do Małgosi.

– Chryste Panie, co z tobą? – Potrząsnęłam ją za ramię. – Jezu, Gośka, ona naprawdę tu była! To był duch!!!!

– Ja w każdym razie żyję – odparła słabym głosem. – Ona mnie prawie całkiem zjadła... muszę odzyskać energię...

Zaprowadziłam dziewczynę do auta i napiłam kawą, przystawiając kubek bezpośrednio do ust. Jej twarz była biała i zimna jak lód. Nie zmarznięta, zimna.

– Co ona ci tam dała? – spytałam, gdy Małgosi zaczęły powracać kolory.

– No właśnie, co ona mi dała? – Gosia spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie.

W jednej z nich trzymała kawałek jakiejś szmatki, coś jakby zetlałą koronkę lub tiul.

– Dała mi... swoją suknię ślubną – odwróciła twarz w stronę okna, a ja byłam pewna, że płacze.

I mnie się zrobiło bardzo przykro, pewnie gdyby nie szok, rozplakałabym się. Maja, której odebrał jej młode życie jakiś zwyrodnialec, najwyraźniej ciągle się łudziła, że dowiezie suknię na miejsce i dalej wszystko potoczy się tak, jak było zaplanowane. Oddając ją Małgosi, widocznie pogodziła się ze swoim stanem. Miałam tylko nadzieję, że odeszła „w stronę światła” i wreszcie zaznała spokoju. I że jej narzeczony go teraz zazna.

– Wobec tego trzeba będzie to oddać Jackowi – zdecydowałam. – Tylko co zrobić z motorem?

– Nic mu nie grozi. Niech pan jedzie – powiedziała Małgosia stłumionym głosem.

– Niech pan jedzie – powtórzyłam, bo taksówkarz jakby nie dowierzał temu, co słyszy. – Motor zostaje. Jak panu ma imię?

– Janusz.

– Ja mam na imię Dorota, a to mediumiczne niebożę Małgosi. Chyba nigdy dotąd żaden z pasażerów nie dostarczył panu tylu atrakcji? – spytałam, a całym moim ciałem wstrząsnął, mam nadzieję, że niezauważalny dla niego, dreszcz grozy.

– Żeby pani wiedziała! Ale bez wahania pisałbym się na coś takiego jeszcze

raz – odparł podekscytowany Janusz.

Ja nie – pomyślałam, ale głośno powiedziałam zupełnie co innego:

– Wobec tego musimy wziąć od pana wizytówkę!

Staralam się prowadzić tę rozmowę, jakkolwiek rozmowę, raczej w swobodnym tonie, dla rozładowania napięcia oraz aby przekonać go o swoim profesjonalizmie, bo najwyraźniej mocno mu zaimponowałyśmy. Zabraną przeze mnie w sekrecie przed Małgosią koniak okazał się teraz niezwykle przydatny.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił po paru minutach jazdy kierowca, zatrzymując się przed podanym przeze mnie adresem.

Wysłałam z auta i zadzwoniłam do drzwi. Jacek, wyraźnie zaspany, dość szybko pojawił się przede mną.

– O, to pani? Nie spodziewałem się – powiedział zaskoczony.

– Wiem, nie chciałyśmy pana uprzedzać. Wygląda na to, że już po wszystkim.

– Przywiozła pani... medium?

– Owszem, nawet pan je zna. Ale ze względu na jej znaczny ubytek energii musimy prędko wracać. Chciałyśmy panu tylko coś dać. – Podałam mu strzępek materiału. – Myślę, że to właśnie Maja chciała panu przekazać.

– Ale jak... gdzie? Nikt nigdy tej sukni nie znalazł... – wyszeptał zaskoczony mężczyzna, spoglądając na kawałek tkaniny.

– Teraz znajdzie. Myślę, że ona doprowadzi policję do zabójcy. Proszę dać mi znać, gdyby sprawa się wyjaśniła. – Pospiesznie podałam mu rękę i zamierzałam odejść. Gosia naprawdę nie czuła się najlepiej.

– A Maja? Co z nią? – Jacek przytrzymał moją dłoń.

– Już w porządku. Teraz odpoczywa w pokoju... Aha, mam ogromną prośbę. Parę kilometrów stąd zostawiłyśmy motor. Kask jest na siedzeniu, kluczyk w stacyjce. Proszę go tu sprowadzić i przechować, dobrze?

– Dobrze – odparł Jacek i nagle na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech.

Pełnię wrażeń z owego wyjazdu odczułyśmy dopiero po powrocie do domu, a i to nie od razu. Małgosia przespała bowiem cały kolejny dzień i następną noc. Potem, odpytywana przeze mnie szczegółowo, opowiedziała, co tam zaszło. Maja pojawiła się przy niej, jakby była człowiekiem z krwi i kości. Energia, którą nagromadziła od poprzedniej materializacji, pozwoliła jej na ukazanie się w swojej ziemskiej formie. Takiej energii jednak nie starczyło na długo i nigdy dotąd nie starczyło, by mogła dotrzeć do domu Jacka. Dziś trwało to dłużej, bo czerpała ją z Małgosi, która dała jej na to mentalne przyzwolenie. Gosia przez cały czas próbowała przekonać dziewczynę, że jeśli ma jakąś misję do spełnienia, może ją

spokojnie powierzyć jej i wracać tam, gdzie już od dawna być powinna. Ona jednak była jak w amoku, jakby kompletnie nie orientowała się w sytuacji, brała Gosię za kogoś innego i powtarzała w kółko:

– „Nie możesz mnie tu zostawić, obiecałeś. Zabierz mnie do Jacka, on musi wiedzieć...” – i tak ciągle.

– Myślałam, że już nic z tego nie będzie – wyznała w końcu Gosia. – I wreszcie wpadłam na pomysł, by coś w tym „never-ending story” zmienić. Że to ją trochę wybije z rytmu. Zabrałam jej więc ten pakunek...

– To on był materialny? – przerwałam jej zdumiona.

– Jak najbardziej, ale do czasu. Obiecałam solennie, że oddam go Jackowi i przekażę mu, co tylko zechce. Ale że ona nie może ze mną jechać, bo... czekają na nią w niebie. Tylko coś takiego przyszło mi do głowy.

– I co? – Wstrzymałam oddech.

– I jakimś cudem poskutkowało. Puściła pakunek i zrobiła się całkiem inna na twarzy. Taka... jasna, radosna. I tyle.

– Boże mój, Gocha, wybaczone, ale ja nie bardzo wierzyłam w twoje mediumiczne zdolności. Gdyby mnie tam nie było, z pewnością byś mnie nie przekonała o tym, co tam zaszło... Chyba nadal w to nie wierzę – podsumowałam.

– Ja chyba też. Da pani tego koniaku, co? – zaproponowała Gosia.

Jeśli o mnie chodzi, koniak pomógł raczej średnio. Długo jeszcze musiałam przekonywać sama siebie, że to, co zobaczyłam na drodze do Oławy, nie było sennym koszmarem... Być może ktoś uzna, że ten wątek powinnam pominąć, by nie umniejszać wiarygodności opowieści o Gosi, ale chcę, by bez względu na to, czy ktoś w to wszystko uwierzy, czy nie, poznał i ten aspekt jej osobowości, wrażliwości, zresztą, co ja będę owijała w bawełnę: niezwykłości po prostu. Bo nie wszystko, co nam się w życiu przydarza, da się rozsądnie wyjaśnić. Człowiek otwarty na maksimum Shakespeare'a, że „są rzeczy na niebie i ziemi, które nie śniły się filozofom”, tak też skwituje powyższy rozdział. Ci zaś, którzy podchodzą do życia do bólu racjonalnie, niech przypiszą go raczej efektowi zbiorowej halucynacji, zamiast wyszydzać wyżej opisane zdarzenie, bo każdy z nas stanie kiedyś w obliczu spraw niepojętych.

ROZDZIAŁ VII

Tak miało być?

Nagle czas zaczął biec szybciej niż przedtem. Tak to już jest, że jeśli nie dzieje się nic złego albo nawet wręcz przeciwnie, dzień mija za dniem nawet nie wiadomo kiedy. Wlecze się tylko wówczas, gdy wydarzy się jakiś dramat. Jakby Opatrzność chciała dać nam możliwość lepszego przyjrzenia się sprawie, utrwalenia w pamięci, wyciągnięcia właściwych wniosków.

Gosia teraz uczyła się do matury jak szalona, czytała lektury, robiła notatki. Jednocześnie przygotowywała grunt pod przyszłe godne i ustabilizowane życie: wykupiła swoje mieszkanie, ale żeby to zrobić, musiała zaciągnąć niewielki kredyt, bo pieniądze Jakuba nie wystarczyły. Żeby zaś wziąć kredyt, musiała mieć stałą pracę i tę znalazła – nawet dość prędko – w butiku odzieżowym. Nie była już dziewczyną sprzedającą cebulę i kiszone ogórki, jej sposób bycia i wyrażania się uległ znacznej poprawie. Mało tego, ze względu na swoją urodę i prezencję stała się natychmiast wizytówką sklepu, umiejącą przyciągnąć i zachęcić do zakupów klientki. Pensja nie była, jak to ona mawiała, „powalająca”, ale starczało na skromne życie, opłaty i ratę kredytu. Kłopoty finansowe dziewczyny zaczęły się po zdaniu matury. Z początkiem czerwca pojechała do siebie „na wioskę”, na komunię najmłodszej siostry. Nie w futrze i nie autem, ale za to z bogatym prezentem kupionym na kolejny kredyt zaciągnięty w jakiejś szemranej firmie parabankowej. I jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach, którymś razem zabrakło pieniędzy albo na życie, albo na opłaty, albo na kredyty. Wybór należy do ciebie – jak to się mawia.

Dziewczyna rezygnowała, z czego się dało, aż w końcu zapędziła się w kozi róg do tego stopnia, że ani w przód, ani w tył. Ja wówczas o niczym nie wiedziałam, bo z pewnością starałabym się jej jakoś pomóc, a przynajmniej skutecznie namówić do odebrania siostrom Jakuba zrabowanego majątku. Willi i auta na pewno. Już samo auto pozwoliłoby jej wyjść z kłopotów. Sądzę, że wówczas nawet sprzedaż motoru rozwiązałaby sprawę, ale Małgorzata traktowała go jak jakąś relikwię: gdy tylko odebrała pojazd od Jacka, dostała na jego punkcie istnej głupawki: czyściła go, polerowała i, co najważniejsze – wynajęła garaż. To oczywiście również przyczyniło się do uszczuplenia jej miesięcznego budżetu. Wreszcie z początkiem lipca wpadła do mnie na chwilę i oznajmiła, że znalazła bardzo dobrze płatną sezonową pracę i że wyjeżdża na dwa miesiące nad morze. Z posady w butiku zrezygnowała. Miała przez ten czas zarobić okrągłe dziesięć tysięcy plus mieszkanie i wyżywienie. Sceptycznie podchodziłam do tych

rewelacji, ale przekonała mnie, że zamierza harować jak wół jednocześnie w dwóch ośrodkach czasowych, co w moich oczach znacznie uprawdopodobniło tę kwotę. Gosia uznała, że dzięki tym pieniądzom swój drugi kredyt spłaci całkowicie, a dzięki kolejnej regularnej pracy z resztą jakoś sobie poradzi. No cóż, nie mogłam się mieszać do jej decyzji. W ten sposób mieliśmy zostać z kotem do września całkiem sami.

Ja, jak zwykle w spokojniejszym czasie, skupiałam się na twórczości, skończyłam i wysłałam do wydawcy książkę, regularnie pisywałam do „Horizontu”. Któregoś ciepłego, czerwcowego wieczoru dostałam mejla od Jacka, że sprawa Mai została zakończona, a zabójca złapany. Spytał, czy mógłby do mnie zadzwonić. Podałam mu numer swojej komórki i w niecały kwadrans później usłyszałam dźwięk telefonu. Szczerze mówiąc, spodziewałam się radośniejszego głosu...

– Już po wszystkim – oznajmił po zdawkowym przywitaniu. – Zabójca siedzi, czeka na rozprawę.

– To chyba dobrze? – spytałam, nie słysząc spodziewanej satysfakcji.

– Tak. W sumie dobrze – odparł Jacek tajemniczo.

– W sumie?

W słuchawce na chwilę zapanowała cisza.

– To był mój brat. Mój młodszy brat zabił Maję – wyrzucił z siebie po chwili.

– Jak to? – Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– A tak. Jechał na przepustkę z wojska pożyczonym motorem. Spotkał Maję i zabrał ją z sobą. W połowie drogi zebrало mu się na amory. Nie wiem, co go napadło. Nie znałem go z tej strony, choć nigdy nie był grzecznym chłopaczkiem. Nie znam szczegółów i nie chcę ich znać. Zgwałcił ją, pobił i porzucił przy drodze. Potem wystraszył się i wrócił do jednostki, powiedział, że motor jest niesprawny i boi się nim jechać. Maja miałaby szansę na przeżycie, gdyby ktoś ją znalazł i udzielił pomocy, ona jednak nie była w stanie iść o własnych siłach. Szła, póki mogła, aż w końcu położyła się przy drodze i zamarzła. Na tym strzępku materiału, który dostałem od pani, była... były tak zwane ślady biologiczne...

Słowo sperma najwyraźniej nie przeszło mu przez usta.

– ...cała suknia znalazła się kilkaset metrów wcześniej, wepchnięta pod mostek w przydrożnym rowie.

– Naprawdę, tak mi przykro. – Próbowałam odnaleźć się jakoś w tej sytuacji.

– Może uzna pan teraz, że lepiej było zostawić to w spokoju?

– Nie, nie! – zaprzeczył gorliwie Jacek. – Zbrodnia musi być ukarana, choć w tym wypadku ucierpią także niewinne osoby...

– Co pan ma na myśli?

– Rok temu mój brat się ożenił, dwa miesiące temu urodził mu się synek.

Szkoda mi więc tylko jego żony i dziecka.

– Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by mógł być szczęśliwy po tym, co zrobił.

– Mógł i był, to było widać. W takim razie tym bardziej ktoś mu musiał uświadomić zbrodnię, jakiej się dopuścił. Wie pani, ja tego kompletnie nie pojmuję! Wychowywałem się z tym chłopakiem od najmłodszych lat, bywałem mu bratem, przyjacielem, a później, jak trzeba było, to nawet ojcem. A on zrobił coś takiego... Zrobił to mnie!

Niestety tak bywało. Wszyscy, najbardziej nawet okrutni psychopaci miewają swoje rodziny, kompletnie nieświadome, do czego są zdolni ich bliscy. Najczęściej też uchodzą za osoby spokojne, sympatyczne i wręcz ślamazarne. Nigdy nie wiadomo, co w kim siedzi i kiedy może wyleźć, zwłaszcza że tacy osobnicy raczej nie obnoszą się ze swoimi preferencjami... Jak to się mawia, pod latarnią najciemniej.

– Ja też tego nie pojmuję, panie Jacku. Jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji, to uznać, że nie wszystko musimy obejmować rozumem. Że istnieje jakaś siła wyższa, która wie lepiej od nas, co, jak i po co. I zaufać tej sile. Ja wiem, że to nie jest łatwe, ale, tak czy inaczej, nie mamy innej możliwości.

– Ma pani rację – przyznał Jacek. – Na razie nie potrafię tak na to spojrzeć, muszę dać sobie trochę czasu. Ale to rzeczywiście jest jedyne możliwe wyjście, jeśli człowiek nie chce oszaleć. Na razie mam wrażenie, że moje życie się skończyło. Zostałem sam z mamą, przed którą muszę udawać siłacza, i tylko to mnie motywuje do czegokolwiek.

– Tak mi przykro... – Tyle tylko byłam w stanie powiedzieć na koniec i życzyć mu wszystkiego na-lepszego.

Miałam jakieś niejasne i kompletnie nieuzasadnione poczucie winy. A w każdym razie spory niesmak.

W połowie sierpnia zamierzaliśmy z kotem wyjechać w jakieś spokojne, sprzyjające wypoczynkowi miejsce, na przykład do gospodarstwa agroturystycznego gdzieś na zapadłej wsi. Mogłabym wówczas chodzić z Bu na spacer (rzecz jasna na smyczce), by i on mógł nacieszyć się naturą. Nawet byłabym skłonna poczęstować go mlekiem prosto od krowy. Ten zwierzak stał się kimś bardzo ważnym w moim życiu. Towarzyszył mi na każdym kroku, uwielbiał się przytulać, smucił się, gdy wychodziłam, i cieszył, gdy wracałam. Jednym słowem, zaspakajał wystarczająco moją potrzebę bliskości, przy czym był o wiele mniej absorbujący niż taki na przykład mąż. Kot na wszystko się zgadzał, patrzył na mnie z uwielbieniem i w zasadzie nie wymagał ode mnie niczego, na co nie miałabym ochoty. Nie mógł mnie też porzucić, nawet jakby chciał. Jedyłą istotą

ludzką, która budziła moje zainteresowanie, była Małgosia, choć i ta relacja nie była na tyle zobowiązująca, bym miała czuć się w jaki-kolwiek sposób skrzepowana. W stosunku do niej nie musiałam niczego, a jeśli już coś dla niej robiłam, był to mój swobodny wybór.

Dość długo nie mogłam się zdecydować co do miejsca wypoczynku, czy to mają być góry, czy Mazury, a kiedy już w końcu ustaliłam wszystko, zarezerwowałam i opłaciłam, zjawiała się Małgosia. O całe dwa tygodnie wcześniej, niż planowała. Pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana, ale jakby smutna.

– No, widzę, że ci praca szczególnie nie zaszkodziła – powitałam ją zaskoczona.

– W sumie nie – odparła. – Ale już miałam dość i postanowiłam wrócić.

– Zarobiłaś chociaż wystarczająco?

– Tak. Spłaciłam już tych cholernych lichwiarzy. Wie pani, ile mnie ten tablet dla Adrianki kosztował? Dziewięć tysięcy!

– Trudno, masz nauczkę, a Adrianka solidnie wypasiony prezent – roześmiałam się, bo i mnie ulżyło, że Gosia ma już ten dług z głowy.

Dziewczyna machnęła ręką.

– Niech się udławiają.

– Właśnie, à propos, zamierzasz coś zrobić ze swoją willą? Masz całkiem niemały majątek, wcale nie musisz się tak szarpać.

– Nic nie zamierzam zrobić. – Małgosia zmarszczyła brwi. – Nie poczuwam się do tego domu. Był od pokoleń w rodzinie Jakuba i niech tak zostanie.

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyłam ramionami. – Będziesz więc szukała nowej pracy? A może masz już coś na oku?

– Owszem, ale na razie nie chciałabym o tym mówić. W każdym razie to, co sobie planuję, pozwoli mi wyjść na prostą. Spłacić pożyczkę na mieszkanie, zarobić na siebie i na studia.

– O? Więc nie zmieniłaś zamiaru? Chcesz dalej się uczyć? – Ucieszyłam się.

– Bardzo chcę. I będę – odpowiedziała Gosia z zaciętą twarzą.

Nie miałyśmy wiele czasu na pogawędki, ja robiłam ostatnie porządki, myłam lodówkę, opróżniałam szafki z jedzenia, które mogłoby się zepsuć, kompletowałam bagaż, a Gosia załatwiała jakieś swoje sprawy. W końcu dziewczyna zaproponowała, że weźmie do siebie kota na czas mojej nieobecności, ale skoro kupiłam już transportówkę i całą kocią wyprawę, podziękowałam i odmówiłam. Wieczorem w przeddzień wyjazdu Gosia odwiedziła nas ponownie i z tajemniczą miną wręczyła mi owinięty papierem pakunek.

– Niech pani otworzy – ponagliła, widząc, że najpierw zamierzam zrobić kawę.

Po zdjęciu papieru okazało się, że wewnątrz była sportowa bluza z szaroniebieskiej bawełny. Zdziwiłam się, bo nie nosiłam takich ciuchów i Gosia

raczej o tym wiedziała. Powinna wiedzieć, bo nigdy dotąd mnie w czymś podobnym nie widziała.

– Ładna? – spytała Małgorzata i zachichotała.

– Owszem – odparłam oszczędnie. – Całkiem... przyjemna.

– Proszę rozłożyć i obejrzeć dokładnie. – Dziewczyna chichotała przez cały czas jak nastolatka.

– Ożeż ty! – wykrzyknęłam, przyglądając się bluzie uważniej. Zmysłny ciuch miał z przodu dużą kieszeń zapinaną na zamek, jej górna część zrobiona była z przezroczystej siateczki, dolna zaś ozdobiona była wizerunkiem kota, wypisz wymaluj jak Bu.

– A skąd ty wytrzasnęła coś podobnego? – spytałam, teraz już całkiem z podarunku zadowolona.

– Kupiłam przez Internet, japoński wynalazek. Zobaczyłam reklamę i uznałam, że przyda wam się na tych czasach jak znalazł. Bu powinien swobodnie się zmieścić.

– Zaraz sprawdzimy. – Włożyłam bluzę na siebie, a w jej kieszeń kota. Nie był jeszcze całkiem dorosłym zwierzęciem i mimo że do najszczuplejszych nie należał, pasował do niej w sam raz, miał nawet trochę luzu. Poczułam się jak matka-kangurzyca. Bu też nie miał nic przeciwko.

Na wsi było rzeczywiście pięknie: woda, las, gospodarze sympatyczni, pogoda dopisywała. W obejściu kury, krowy, owce i dzieci. Bu był początkowo ogromnie przejęty zmianą miejsca naszego pobytu, bo wsi z pewnością nigdy dotąd nie widział. Ten mały tchórz czuł się pewnie tylko u mnie na rękach. Swoim zachowaniem bardziej przypominał psiaka niż kota. Chodził na smyczy bez żadnego problemu, przykładowie trzymał się nogi, a gdy coś go przestraszyło, domagał się wzięcia na ręce. Wówczas zaczynał nawet chojrakować, puszyć się i prychać. Z początku obawiałam się, że w jakiejś ekstremalnej w jego mniemaniu sytuacji mógłby wyrwać mi się z rąk i zwać, ale ani mu było w głowie uciekać czy oddalać się samowolnie. Moja osoba w pobliżu była dla niego wystarczającym gwarantem bezpieczeństwa i całkiem słusznie, o czym Bu zdawał się wiedzieć. Myślę, że przygody z Majcherkami na tyle wbiły mu się w pamięć, że wołał nie ryzykować. I jakkolwiek zabrałam go z sobą z konieczności, teraz byłam z jego towarzystwa więcej niż zadowolona. Dzięki bluzie od Małgosi mogłam go zabierać z sobą do sklepu czy do kawiarni, bo przecież to, co nosiłam w kieszeniach, było tylko moją sprawą. Zwłaszcza że Bu lubił w niej siedzieć i nie sprawiał najmniejszego kłopotu. Myślę, że gdyby został z Gosią, tęskniłabym za nim.

Tam też, na owej niewielkiej i wcale nie tak bardzo popularnej turystycznie wsi, przyszło mi się przekonać, jak bardzo życie potrafi być zaskakujące.

Przewrotne i cyniczne. Otóż w drugim tygodniu mojego pobytu, gdy zachciało mi się obejrzeć miejscowy kościółek z przyległym do niego starym cmentarzem i kaplicą, śmignął mi przed oczami jakby znajomy czerwony samochód z jakby znajomym kierowcą. Jakby, bo dzięki szybkości owego zjawiska mój wzrok nie zarejestrował niczego pewnego. W drodze powrotnej wstąpiłam do sklepu, żeby kupić kotu jakąś porządną karmę (gospodyni dokarmiła go skrawkami szynki i kawałkami mięsa z obiadu, czemu ani on, ani ja nie potrafiliśmy się sprzeciwić), i tam też zatrzymał się ów czerwony wozik. Powodowana ciekawością, a może przecuciem, przeszłam na stoisko z chemią i częściowo schowana za regałem, zaczęłam obserwować drzwi. Po chwili weszła do środka młoda dziewczyna, wisząca u ramienia... starszego Majcherka! Ledwie go poznałam. Jego odwieczne pryszczki schowały się pod opalenizną, utlenione włosy z pomocą żelu stały mu na sztorc, na tłustawym łysym torsie lśnił gruby srebrny łańcuch. Podobny zdobił przegub jego dłoni. Na szczęście nie miałam z sobą kota, został zamknięty w pokoju i na wszelki wypadek w transportówce – nie mogłam przecież zabrać zwierzaka do kościoła. Zgodził się na takie rozwiązanie niechętnie, ale nie miał wyjścia.

Przyszły mi teraz do głowy dwie myśli: samochód był niewątpliwie Małgosi, a Majcherek był młodym bandytą. Wniosek niestety nie był już tak oczywisty. Chłopak mógł go ukraść, ale to było znacznie mniej prawdopodobne, niż mogłoby się wydawać. Kluczem do tej zagadki mogły być tajemnicze powiązania jego matki z siostrami Jakuba. Najprawdopodobniej kupił go od nich za psi grosz – bo innego nie miał – albo... dostał w zamian za jakąś przysługę. Na przykład za włam do willi i pomoc w ogołoceniu jej do zera. To przemawiało do mnie najbardziej. Zupełnie nie zastanawiając się, czy mi się to kalkuluje, wyszłam z za półki i podeszłam do Majcherka.

– Ładny samochodzik – zagaiłam. – I jakbym go skądś znała...

– Co z tego? Mam na niego papiery – odparł chłopak butnie.

– Ciekawe, na czyje nazwisko – burknęłam pod nosem i wyszłam.

Niestety, nie mogłam sobie tego darować. Ale co ten chłystek tu robi? Akurat tu? – zdumiałam się w duchu. – Może też przyjechał na wczasy... w końcu każdemu wolno. Musiałam to koniecznie przemyśleć.

Po kolacji, bujając się z kotem na kolanach w rattanowym fotelu, próbowałam scalić w myślach wszystko, co od spotkania z Majcherkiem przyszło mi na jego temat do głowy. Po raz pierwszy odczułam brak telewizora, najlepiej mi się bowiem myślało konstruktywnie, gdy na jego ekranie pojawiały się gadające głowy, na których zresztą kompletnie się nie skupiałam.

Najpierw postanowiłam uporać się ze zdumieniem, jakie to spotkanie we mnie wywołało. Był to z pewnością czysty przypadek, bo Majcherek nie miał najmniejszego interesu w tym, by rzucać mi się w oczy, zwłaszcza w samochodzie

Małgosi. Ja również byłam daleka od planowania wycieczki w jego towarzystwie. Jak więc się stało, że znaleźliśmy się w tej samej miejscowości, odległej od naszego miejsca zamieszkania o jakieś pięćset kilometrów? A może był tu tylko przejazd? W końcu droga, przy której się spotkaliśmy, prowadziła do bardziej rozrywkowych miejscowości, jak Mikołajki na przykład. Niestety, nie udało mi się wpaść na żadne w miarę logiczne wyjaśnienie tej sytuacji. Udało mi się natomiast pogodzić z tym przykrym faktem.

Drugim tematem, który wzięłam na warsztat, było auto Gosi, które teraz pozostawało w posiadaniu chłopaka. Przypomniało mi się, jak dziewczyna powiedziała, że ktoś rozprawił się z alarmem w willi „na chama”. To mi bardzo do Majcherka pasowało. Ponadto skojarzyłam, że mama Majcherkowa jeszcze zimą zaczęła paradować w futrze z lisa bądź owczym kożuchu – za zmianę. Wiedziałam, że Jakub trzymał nadal wszystkie rzeczy po swojej żonie w zamkniętym na klucz pokoju. Ona mogła mieć takie ciuchy, zmarła na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy naturalne futra były na topie, uchodziły za wyznacznik luksusu. Czyżby więc i Majcherkowej dostało się coś w spadku? Siostry Jakuba były skąpe, a Majcherkowa głupia – więc skoro miały wobec niej jakiś dług wdzięczności, mogły ubić podobny interes. Inna rzecz: skoro ta baba znała starszą z sióstr, mogła się sprzymierzyć z nią przeciw Małgosi, bo obie serdecznie jej nienawidziły. Uznałam, że to jest z pewnością dobry trop. Ciekawa byłam, jak rozporządzono resztą majątku, który należał się Małgosi, ale skoro starsze panie zupełnie nie przejmowały się jego stanem prawnym, równie dobrze willa po Jakubie mogła zostać już sprzedana. Nie takie rzeczy się zdarzają w naszym państwie. Widywałam w telewizji lepsze historie, gdy cwany przestępca potrafił sprzedać cudzy dom i prawi właściciele nie byli w stanie go odzyskać. Z tą pesymistyczną myślą oraz zamiarem zbadania terenu kolejnego ranka, położyłam się spać. Bu natomiast, rześki i wypoczęty, sturlał ze stołu jabłko i udał się za nim w pogoń po całym pokoju. Są rzeczy, których kotu nie da się wyperswadować, więc musiałam to jakoś przetrwać.

W godzinach przedpołudniowych (bo w takich raczej zaczyna się dzień dla typków pokroju Majcherka) poszłam sobie spacerkiem do sklepu. Z kotem w kieszeni i parasolką, choć wcale nie zapowiadało się na deszcz. Wzięłam ją ze sobą w charakterze broni, jakby co, a ściślej mówiąc, narzędzia ataku. Jeśli chłopak tu spędzał wakacje, o tej porze zapewne pragnął piwa jak dżdżownica dżdżu. Chcąc nie chcąc, trochę znałam jego zwyczaje. Nie spotkałam go jednak ani po drodze, ani w jedynym we wsi sklepie. Obejrzałam w skupieniu niemal cały asortyment, dając mu jeszcze trochę czasu, ale nie skorzystał, niestety. Jeżeli rzeczywiście przebywał w okolicy, musiał tu robić zakupy, nie ma siły, żeby ktoś

taki żywił się wyłącznie ekologicznym drobiem i nabiałem prosto od krowy. Kupiłam tylko wodę mineralną i wyszłam. W drodze powrotnej relacjonowałam kotu swoje przemyślenia i starałam się uważnie rozglądać dookoła. Opłaciło się w końcu. Co prawda nie spotkałam obiektu moich poszukiwań we własnej osobie, dostrzegłam natomiast zmierzającą w moim kierunku dziewczynę, która wczoraj zwisała z jego ramienia. Uśmiechnęłam się do niej szeroko, jak do starej znajomej.

– Dzień dobry – przywitałam się kulturalnie.

Osoba już miała mnie minąć bez słowa, ale nagle przystanęła i odwróciła się w moją stronę.

– A! Nie poznałam. Pani jest znajomą Michasia, tak?

– Znajomą Maj... Tak, znajomą Michasia. Mieszkamy po sąsiedzku. Jak się państwu podoba pobyt na wsi? – kułam żelazo, póki gorące.

– W sumie ujdzie. O? A co to się pani tak rusza w brzuchu? – Dziewczyna pochyliła się w stronę mojej kieszeni. – Kotek? Kiciuś! – ucieszyła się. – My z Michasiem bardzo lubimy zwierzątka. Nawet te, co tu łożą, kaczkę, baranki, królisie...

– Ja i mój kot o tym wiemy – odparłam i odsunęłam trochę zamek błyskawiczny, żeby Bu mógł zobaczyć naszą rozmówczynię i żeby ewentualnie pogadała z nami dłużej.

Nie zareagował nerwowo, co znaczyło, że chyba naprawdę lubiła zwierzaki.

– Takie futrzaczki są superanckie, prawda?

– Jak najbardziej. A gdzie to się Michaś podziewa?

– Myje samochód, a ja idę po coś na ząb i po jakiś mały browar.

– Gdzie się zatrzymaliście?

– Tam, na początku. – Dziewczyna machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Nie nudzi wam się tu? Jesteście tacy młodzi – próbowałam ją jakoś podejść.

– Owszem, jeśli o mnie chodzi, mogłoby się coś dziać, ale wie pani... zakochani jesteśmy, wystarczamy sami sobie. Poza tym Michaś unika większych miast. Mówi, że to żadna frajda przyjechać na wakacje z miasta do miasta.

Nie dziwię się – pomyślałam. – W miastach więcej dociekliwej policji, a samochód Michasia nie był w jego posiadaniu całkiem legalnie. Skoro zaś chciał nim imponować dziewczynie, podrzędne drogi były w sam raz.

– Niesamowite, że się tu spotkaliśmy, prawda?

– No. I w sumie tak tu jest, jak reklamują, prawda? Oaza spokoju z dala od cywilizacji.

A więc przypadek, w dodatku tak głupi, że aż nieprawdopodobny. Bo i ja szukałam w Internecie miejsca do wypoczynku, wklepując podobne hasła. Tylko że mnie zależało na podobnych warunkach z całkiem innego powodu niż im.

Ciekawe, czy dziewczucha wiedziała, skąd Majcherek miał ten wóz. Postanowiłam wybadać i to.

– Fajne auto ma pani chłopak. Pewnie dobrze zarabia, skoro stać go na takie cacko.

– Nie najgorzej, ale to auto akurat kupił bardzo okazjnie od mojej cioci.

Zrobiło mi się duszno. Czyżby od którejś z siostr Jakuba? Jeśli tak, sporo było tych przypadków w jednym miejscu...

– To miłe... ze strony cioci – podsumowałam głupio, ale przy dziewczynie Michasia nie musiałam wzbijać się na wyżyny intelektu.

– Prawda? – ucieszyła się. – Muszę niestety lecieć, bo Michaś czeka na browary. Pa, kiciu!

Dziewczyna pomachała kotu na pożegnanie i ruszyła w swoją stronę.

– Ależ ci się inteligentna pani trafiła, kiciu. Mam nadzieję, że to docenisz?

– Poskrobałam go za uchem, zanim zasunęłam kieszeń. Bu odpowiedział pełnym zadowolenia mruzeniem, co musiało z pewnością oznaczać, że docenia.

„Michasia” w osobie własnej spotkałam jeszcze tego samego dnia wieczorem. Tym razem wcale nie miałam na to ochoty, jednak skuszona piękną aurą, dusznym zapachem rozgrzanych traw i cykaniem świerszczy, wybrałam się z kotem na spacer. Szliśmy polną drogą wiodącą między łąkami dojrzałych zbóż. Nie było jeszcze ciemno, w sierpniu o tej porze dnia na niebie gościły głównie czerwono-złote łuny zachodzącego słońca. Takie sielskie obrazki i towarzyszące im zapachy pamiętałam z dzieciństwa, które czasem spędzałam u siostry mojej babci we wsi Babice niedaleko Krakowa. Teraz wdychałam przesycone nimi powietrze, a przed moimi oczami pojawiały się wspomnienia – w formie krótkich migawek i epizodów, których zupełnie nie obejmowała moja świadoma pamięć. Odnalazła się nagle w jej zakamarkach chwila, gdy z moimi kuzynkami zbierałyśmy jeżyny na miedzach albo siedząc wieczorem na tarasie, szyłyśmy lalkom sukienki czy grałyśmy w klasy narysowane patykiem na łysym (za przyczyną kur) podwórku.

Bu maszerował grzecznie na smyczy, od czasu do czasu przystając, by zbadać jakieś niezwykle interesujące zjawisko, kamyk, źdźbło żyta zwisające na ścieżkę, czy usiłując schwytać konika polnego. Nagle usłyszałam za sobą dudniące, ciężkie kroki. Obejrzałam się. W moją stronę biegł zdyszany Majcherek. Najwyraźniej skracał sobie tędy drogę ze sklepu, bo z siatki, którą miał w ręku, dał się słyszeć grzechot uderzających o siebie butelek. „Mały browar”, po który wysłał w południe swoją dziewczynę, widać mu nie wystarczył. Złapałam kota na ręce i przytuliłam mocno do siebie.

– Czego się pani czepia mojej Grażki, co? – spytał złowrogo, gdy już nas dogonił.

– Ja się nikogo nie czepiam, o ile ten ktoś nie czepia się mnie. Pogadałyśmy

sobie po przyjacielsku.

– No to ja nie radzę podobnych numerów na przyszłość – zagroził, czym zdenerwował mnie niezmiernie.

– Radzić to ty możesz sam sobie i podobnym do ciebie – odparłam hardo.

– Po-wa-żnie? – wycedził, pochylając się w moją stronę. – Nowy kotek? Staremu coś się stało może?

Bu siedział w moich ramionach nadzwyczaj spokojnie, obserwując sytuację.

– Twoja dziewczyna mi powiedziała, że oboje uwielbiacie zwierzątka...

– Zgadza się – zarechotał Majcherek. – Dlatego ucieszy się bardzo z podarunku. Ten kot wyjątkowo wpadł jej w oko.

To mówiąc, chuligan wyciągnął ręce w stronę Bu, złapał go oburącz za futro i spróbował mi go wyrwać z objęć. Podobnej akcji kompletnie się po moim kocie nie spodziewałam: zwierzak błyskawicznie odwrócił się w jego stronę, odbił się tylnymi łapkami od moich ramion i skoczył mu w twarz, drapiąc i gryząc jak wściekły. Majcherek upuścił siatkę i zasłonił się rękami przed kolejnym atakiem. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, złowrogi wrzask kota (który atakował go nadal, na ile tylko pozwalała mu smycz) i grube przekleństwa poszkodowanego. Chłopak, broniąc się, stracił równowagę i upadł w zboże obok tego, co pozostało z jego piw. Skaleczył się przy tym w rękę. Korzystając z chwili, spacyfikowałam kota, obejmując go mocno ramionami, i zrobiłam w tył zwrot.

– Już nie żyjecie, kurwy – rzucił za nami Majcherek. – Już się możecie zacząć bać!

Zatrzymałam się jeszcze na chwilę. Nie mogłam sobie pozwolić, by ten szczył, gówniarz i zadatek na przestępcę w ten sposób mi się odgrażał.

– Nie radzę, Michasiu – odparłam z nadzwyczajnym spokojem w głosie. – Wiem o tobie znacznie więcej, niżbyś sobie tego życzył. Jeśli ci wolność niemiła, podskocz mi tu jeszcze raz, a sam się przekonasz, kto powinien się bać.

Poskutkowało. Młodzieniec pozbierał się, otrzepał spodnie z błota utworzonego z ziemi i piwa, otarł krwawiącą dłoń o koszulkę i poszedł w swoją stronę. Sam, bez mamusi był groźny wyłącznie w gębie. Potrafił jeszcze ewentualnie wyżyc się na kocie.

– No, Bu, bohaterze mój – szepnęłam wprost do jego wciąż stojącego na sztorc ucha – daliśmy radę. A mówią, że to pies należy do gatunku zwierząt obronnych...

Po tym zajściu postanowiłam skrócić swój pobyt na wsi o całe trzy dni. Nie dlatego, żebym się obawiała odwetu Majcherka, ale świadomość, że łobuz spędza wczasy niedaleko mnie, popsowała mi całą przyjemność wypoczynku. Musiałam przekonać sympatycznych gospodarzy, że powodem mojego wyjazdu nie jest bynajmniej niezadowolenie z oferowanych przez nich warunków. W tym celu musiałam zełgać, że w związku z jakąś awarią w moim mieszkaniu zostałam pilnie

wezwana przez administrację.

Rozpakowałam bagaże, nakarmiłam kota i nastawiłam pranie. Nie miałam siły iść na zakupy, lodówka była pusta, inne szafki na żywność przedstawiały się tylko odrobinę lepiej. Był makaron i pulpety w słoiku, czyli kolację i śniadanie miałam zapewnione. Zamierzałam odespać długą podróż do południa następnego dnia i zrezygnować z porannego wypadu po bułki. Próbowałam skontaktować się z Gosią, dzwoniłam, stukałam, wybrałam nawet jej numer w komórce, który teraz miałam już w kontaktach, lecz bez skutku. Czekałam, aż pralka upora się z zadaniem, zdrzemnęłam się w fotelu przed telewizorem. Z drzemki wyrwał mnie dzwonek u drzwi. Poderwałam się na nogi w przekonaniu, że to Małgorzata. Na klatce stała Majcherkowa.

Niedoczekanie twoje – pomyślałam. – Pewnie synuś się poskarżył i mamcia przyszła zrobić porządki...

Zamierzałam wrócić na fotel, babsko jednak uwiesiło się dzwonka i nie zanosiło się, że odpuści. Musiała skądś wiedzieć, że już wróciłam, bo tego typu ludziom nic nie jest w stanie umknąć. Uchyliłam drzwi, zostawiając je zamknięte na łańcuch.

– Pali się, pani Majcherkowa? – spytałam niechętnie.

– Podpisze pani petycję – zażądała kobieta i zaczęła wpychać jakieś kartki w szparę w drzwiach.

– O co chodzi? – spytałam, nie odbierając od niej papierów.

– A o to, że w naszym porządnym domu nie ma miejsca ani zgody na rozpustę!

– Czyją znów rozpustę?

– Tego kurwiszcza. – Skinęła głową w stronę mieszkania Gosi.

– Niechże mi pani da święty spokój – odparłam. – I Małgorzacie również, dobrze?

– Coś mi się zdaje, że paniusia nie w temacie. Widziała pani może toto po przyjeździe? A może jakiegoś Murzyna na schodach? Dopiero co włąził na górę...

Przyszło mi do głowy, że babie już całkiem musiało odbić, bez dwóch zdań.

– Jaki Murzyn? Gdzie wchodził? Dobrze się pani czuje?

– Do paninej sąsiadeczki z naprzeciwka. – Majcherkowa uśmiechnęła się szyderczo.

– Chyba że oknem, bo nie widziałam. A poza tym Małgosi nie ma w domu.

– Jest, jest, tylko nikogo nie wpuszcza, bo **pracuje**.

– Pani sąsiadko, niechże pani sobie odpuści na dzisiaj, jestem zmęczona. A najlepiej w ogóle na zawsze.

– Nie odpuszczę! To pani przymykała oczy na tę wywłokę i nawet jej pani

kibicowała w nierządzie. Teraz niestety trzeba wypić to piwo, oznajmiam w imieniu lokatorów i porządnych katolików, którzy się na tym papierze podpisali.

– Źle pani trafiła. Nie jestem porządną katoliczką, przynajmniej w pani rozumieniu. Może lepiej niech się pani zastanowi, czy nie oddać Gosi po dobremu auta, któreście z synkiem zrabowali z garażu Jakuba Parzyckiego.

Majcherkowa, jak zwykle w chwilach emocji, spąsowiała na twarzy.

– O nie, moja droga, to auto nigdy nie było jej. W papierach widnieje nazwisko Parzycki, a mój Michaś go od pani Parzyckiej nabył. Legalnie.

– Na pewno nie. Ona nie mogła sprzedać czegoś, co do niej nie należy. A Michaś kupić takiej rzeczy, jeśli wiedział, że sprzedająca nie jest jej właścicielem.

– Jeszcze zobaczymy – syknęła Majcherkowa przez ozdobione metalowymi koronkami zęby i poszła sobie.

W czasie jej wizyty wyprało się pranie, pozostało mi je więc tylko wywiesić na balkonie i zakończyć ten dzień. Liczyłam na to, że może Gosia jeszcze wpadnie, leżąc w łóżku, nasłuchiwałam jakichś oznak życia na klatce, ale poza Majcherkową nikt już nie zadzwonił. Postanowiłam, że choćby nie wiem co, muszę zobaczyć się z Gosią. Choćbym... miała warować pod jej drzwiami.

Następnego dnia od rana konsekwentnie realizowałam swój plan. Wyskoczyłam tylko po bułki, co zajęło mi może z pół godziny, a potem już skupiłam się na obserwacji i nasłuchiwaniu. Na każdy najlżejszy nawet szmer na klatce zrywałam się, by spojrzeć przez wizjer. Kontrolowałam również widok z okien. Średnio co godzinę dzwoniłam do Gosinych drzwi, stukałam, szarpałam za klamkę, wybierałam jej numer w komórce. I tak przez kilka kolejnych dni. Niestety – bez skutku. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, że Małgorzata mimo braku jakichkolwiek śladów życia przebywa u siebie w mieszkaniu, być może wyjechała gdzieś w ostatnim tygodniu wakacji, jednak sąsiadka z parteru wciąż starała się mnie przekonać, że dziewczyna jak najbardziej jest, ale ma mnie głęboko w nosie. Mogła mieć, oczywiście, w końcu nie byłam dla niej nikim na tyle istotnym, by musiała opowiadać mi się ze swojego życia. Ale to było po prostu do niej kompletnie niepodobne.

Sytuacja niepokoiła mnie coraz bardziej. Byłam przekonana, że pod moją nieobecność znów coś się wydarzyło między nią i Majcherkami, stąd kolejna akcja ich mamuśki. A może po prostu baba chciała się pozbyć dziewczyny z kamienicy, by móc bez obaw cieszyć się zagarniętym mieniem po Jakubie? I nie chodziło już tylko o samochód czy wyliniałe futra po jego żonie. Zmuszona w końcu koniecznością zrobienia gruntowniejszych zakupów, raz czy dwa zapędziłam się na Zaciszną, w zasadzie nie wiedząc, co mogłabym tam zobaczyć. Ale zobaczyłam:

willa Jakuba tętniła życiem, a konkretniej szeroko zakrojonym remontem. Uwijał się przy nim nie kto inny, jak starszy z Majcherków. Dziewczyna, z którą spotkałam go na wczasach, okazała się córką młodszej siostry Jakuba, której najwyraźniej dostał się po nim dom. W szemranym podziale majątku pomiędzy siostrami, rzecz jasna. Było więc o co toczyć boje. Matka najwyraźniej postanowiła wżenić syna w tę willę, dbała też, by nie opadł z sił przy robocie, kursując w tę i nazad z siatami i menażkami. Gdy spotkałyśmy się w takiej sytuacji twarzą w twarz, nawet się nie zmieszała. Zadarła głowę i ominęła mnie bez słowa. Ot, mieszczącaśka duma...

Z coraz mniejszą nadzieją na pozytywny skutek moich działań, podbiegałam do wizjera, słysząc cokolwiek za moimi drzwiami. Już nawet przestałam być pewna, czy w istocie coś słyszę, czy to tylko pobożne życzenie. Za którymś razem jednak szmery i głosy stały się tak realne, że nie mogły być tylko urojeniem przeczulonych zmysłów. Wyprosiłam z kolan śpiącego Bu i pobiegłam do przedpokoju. Przez wizjer zobaczyłam uchylone drzwi mieszkania Małgosi i... stojącego w nich faceta o hebanowej karnacji. Niewiele myśląc, wyparzyłam na zewnątrz, minęłam owe męskie indywiduum i zanim drzwi się zamknęły, znalazłam się w mieszkaniu sąsiadki.

Moje zachowanie może wydać się komuś irracjonalne, może też wyglądać na typowe działania samotnej, wścibskiej, żyjącej cudzym życiem kobiety, ale to nie było tak. Mnie naprawdę zależało na Małgorzacie. Czuję się w jakiś niewytłumaczalny sposób z nią związana, a w myśl i mojej, i jej życiowej filozofii, że nic w życiu człowieka nie zdarza się przypadkiem – nawet odpowiedzialna za nią w pewnym sensie. Bo to, co nam się jawi jako przypadek, jest moim zdaniem niczym innym jak sugestią, propozycją od, nazwijmy to: Opatrzności. Od nas zależy, jak na tę propozycję zareagujemy. Wcale nie musiałam pomagać Małgorzacie tego wieczoru, gdy złamała klucz w zamku. Nie musiałam przygarniać kota. Nic też nie zmuszało mnie do zajęcia się nią po śmierci Jakuba. Ale skoro „podjęłam rękawicę”, zobowiązałam się niejako do czegoś, co teraz stało się naturalną kolejną rzeczą. Ta dziewczyna stała się kimś dla mnie ważnym. Być może – bo i to brałam pod uwagę – poruszyła ona we mnie coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego, potrzeby odpowiedzialności za kogoś, opieki. Bu w jakimś stopniu te moje potrzeby zaspokajał, ale był w swojej kociej naturze zbyt przewidywalny, nie stawiał przede mną większych wyzwań, mimo wszystkich swoich perypetii. A może był tylko stopniem do kolejnego sprawdzianu, na zasadzie: dasz radę z kotem, dasz i z człowiekiem? Czasem bardzo męczy mnie moja filozoficzna natura, życie byłoby zdecydowanie prostsze, gdybym umiała się odciąć od skłonności do analizowania, poszukiwania odpowiedzi, racjonalizowania. To tak na marginesie.

Małgorzata była goła (nie licząc przeźroczystego peniuaru narzuconego na

ramiona) i... kompletnie pijana.

– Fajnie jest, co nie? – spytała buńczucznie i czknęła. Kołysała się na boki, z trudem utrzymując równowagę. – Chce pani wyjść?

– Wyrzucasz mnie? – zapytałam, by zyskać na czasie.

– Nie, skąd. Zapraszam na salony. – Gosia uczyniła ręką szeroki gest, dzięki któremu odsłoniła zupełnie bez skrępowania swoje zgrabne ciało.

W jej mieszkaniu panował nieład. Na stole stały butelki, puste i z resztkami alkoholu, na meblach wały się porozrzucane ciuchy.

– Koniaczkę? – spytała Gosia z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Owszem – odparłam i sama się obsłużyłam, gdyż dziewczyna miała z tym pewne trudności. Wypiłam dwie lampki, jedna za drugą.

– A teraz mów, co się dzieje – zażądałam.

– Widzi pani, co nie? – Gosia wzruszyła ramionami.

– Widzę. Ale chcę zobaczyć, jak **ty to widzisz**.

– Przykre to, proszę pani. Ja wiem, że przykre. I wstyd, dlatego nie podchodzę do sprawy na trzeźwo. – Gosia nalała sobie koniaku i wychyliła jednym haustem.

Nigdy nie lubiła koniaku... Czekałam, co powie.

– Pani wie, co mi się porobiło w życiu. Uwikłałam się w Jakuba. Uwikłałam się w długi bez wyjścia. Nie mówię o tym z banku, który wzięłam na mieszkanie, bo choć to niemała kwota, dałabym radę. Mówię o pożyczce na prezent dla siostry (tu wymieniła nazwę „firmy kredytowej”). Może nie przeczytałam porządnie tej umowy, ale z rozmowy z ich przedstawicielką tak czarno to nie wyglądało. A cholerstwo zaczęło rosnać jak szalone, nachodzili mnie, wydzwaniali, straszili sądem. Umowa to umowa, przegrałabym jak nic. Jak urosło do siedmiu tysięcy, uznałam, że muszę wszystko jak najprędzej spłacić. Za wszelką cenę. Spłaciłam dziewięć. I naprawdę za wszelką cenę, bo ja, proszę pani, nad tym morzem za kelnerkę nie robiłam...

Spojrzałam na dziewczynę z przerażeniem. Nie spodziewałam się, że byłaby zdolna zarabiać na swoje utrzymanie ciałem. Nawet w takiej sytuacji. Gosia, osoba prosta, bez wyniesionych z domu rodzinnego wartości, miała jednak swoje zasady. Była niewątpliwie inteligentną, wrażliwą młodą kobietą, uczuciową i uczciwą. Poznałam ją na tyle, by móc tak uważać. I teraz trudno było mi dać wiarę temu, co widzę i słyszę.

– Ale dlaczego, Gosiu... Przecież... miałaś inne wyjście z sytuacji. Jakub cię zabezpieczył. Trzeba było zawalczyć o swoje, nie poddawać się tak łatwo...

– Nie. – Gosia pokręciła głową. – Myślałam o tym, a jakże. Dom Jakuba był w jego rodzinie od czterech pokoleń. Jego siostry, wredoty i jędze, nawiasem mówiąc, spędziły tam swoje dzieciństwo i młodość. Ja też bym się buntowała, gdybym miała oddać majątek komuś, kto spędził z moim bratem raptem parę dni

i parę nocy. Tam są... ich wspomnienia. Te ściany, okna, skrzywienie podłogi, mozaika na klatce schodowej... Nie, proszę pani. Nie mam do niego, jak to się mawia, moralnego prawa. Sama pani mówiła, że dopóki nie krzywdzę nikogo, mogę żyć, jak chcę. I tak żyję. Krzywdzę może siebie, ale to mi wolno...

– A... teraz? Po co to robisz?

– No właśnie. – Gosia westchnęła i spuściła wzrok. – No właśnie – powtórzyła.

Milczała przez chwilę, kołysząc się na boki.

– Bo ja, proszę pani, mam dwa wyjścia. Jedno jest takie: wrócić na wioskę i wyjść za mąż za Karola Sitnika. Jak byłam na komunii Adrianki, rodzina nadal mnie z nim swatała. On kiedyś się do mnie zalecał, potem się ożenił i owdowiał, po żonie została mu ferma kur i troje dzieci, co rok prorok, jak to się mówi. Mogłabym więc żyć jak uczciwa kobieta do końca moich dni, matkować jego dzieciom i jeszcze urodzić ze trzy swoje. Miałabym dach nad głową, wyżywienie oraz zajęcie przy kurach i bachorach. Od czasu do czasu zebrałabym lanie od małżonka, bo u nas to tradycja. Z żoną się nie dyskutuje, żonę się leje. Jak nie ma za co – to dla zasady. Żeby męża inne chłopy za miękkiego nie miały. Karolek nawet nie pije za bardzo, ot, w niedziele, święta i na uroczystościach. Do trzydziestki przeżyłabym całe swoje życie, bo potem to już rutyna i przyzwyczajenie. A ja, proszę pani? Co ze mną? – spytała Gosia z goryczą. – Czemu mam się oddać bez walki takiemu losowi, jaki miała moja babka, matka, jaki mają moje siostry? Może i sypianie za kasę jest obrzydliwe, ale sypianie z Karolkiem byłoby obrzydliwe tak samo, albo i bardziej. Ci faceci przynajmniej się myją i jeszcze płacą mi za to. A jak golnę sobie głębszego przed i po, jakoś da się wytrzymać.

Gosia wsparła łokcie na kolanach i ukryła w dłoniach twarz. Było widać, że nie godzi się bezkrytycznie na swój los i na żaden z dostępnych wyborów.

– Bo widzi pani, jak już raz ktoś zasmakował łatwych pieniędzy, trudno potem podjąć pracę za dwa tysiące na miesiąc, zwłaszcza że teraz mogę tyle zarobić w dwie noce. Bo po co mi była ta matura zdana na piątki, angielski, prawo jazdy? Rzucić tak to teraz w pół drogi? A moje studia? Lepszy los? Godna praca? – pytała z goryczą. – To tylko inwestycja, proszę pani. Nic więcej. Chwilowa inwestycja. Są tacy, którzy żyją gorzej i jakoś im to wcale nie przeszkadza. Sumienie nie kasa. Bo są tacy, prawda?

Gosia spojrzała na mnie z nadzieją w oczach.

– Prawda – potwierdziłam, kapitulując przed tym jej spojrzeniem, choć nie przełknęłam tego tak łatwo.

Co jednak mogłam zrobić w tej sytuacji? Na pewno nie czułam się upoważniona do nawracania dziewczyny na drogę cnoty. Mogłam zatem nadal przyjmować ją taką, jaka jest, albo zerwać z nią wszelkie kontakty. Ale,

pomyślałam sobie, czemu właściwie? W myśl jakich zasad, czyich? Boskich? Opinii społecznej? Te pierwsze wydały mi się nagle o wiele bardziej liberalne i ludzkie niż te drugie.

Teraz musiałam przyznać rację mojej koleżance ze studiów, że obiektywizm i tak zwana obiektywna prawda nie istnieją. Pamiętam, że kłóciłyśmy się o to przez całą noc, którą powinnyśmy były poświęcić na przygotowanie do egzaminu. Do konsensusu nie doszłyśmy – każda z nas poszła w swoją stronę z poczuciem własnej racji. Nie, nie poróżniło nas to, ot, mała wymiana zdań. Dziś jednak uznałam, że to ona miała rację: bo nie można w osądach odciąć się od subiektywnych odczuć, jednostronnego oglądu problemu, sympatii czy antypatii, indywidualnego sposobu rozumienia wartości. Dlatego miałam świadomość, że gdyby to obca dla mnie osoba, emocjonalnie mi obojętna, uwikłała się w podobny proceder, nie miałabym problemu z wyrażeniem mojego zdania na ten temat. Jednak Gosia była dla mnie kimś szczególnym, kimś wyjętym z kontekstu mojego życia, nad kim mogłabym się powymądrzać z użyciem całej swojej wiedzy o moralności i etyce. Nie potrafiłam odciąć się od niej i z pułapu tej, która nie złamała w sposób rażący żadnego z przykazań dekalogu – potępić ją w czambuł.

– Wiesz co, Gocha? Ogarnij się trochę, weź kąpiel i przychodź do mnie na spóźnione śniadanie – zaproponowałam. – A potem wybierzemy się na spacer.

– Mówi pani serio? – Dziewczyna zawahała się, ale nie odmówiła.

– Mówię serio.

– Proszę w takim razie dać mi pół godzinki.

Wróciłam do siebie, nasmażyłam jajecznicę z cebulą, pokroiłam chleb i zrobiłam duży dzbanek kakao. Taki zestaw powinien pomóc jej dojść do siebie po całonocnej zakrapianej „wizycie” ciemnoskórego gościa. Ledwo skończyłam wszystkie czynności, pojawiła się Małgosia. Miała na sobie długą zwiewną sukienkę i sandały na płaskim obcasie. Włosy związała w kucyk. Gdyby nie bladość i podkrążone oczy, mogłaby wyglądać jak beztroska nastoletnia panienska.

– Ale pyszności! – zawołała na widok nakrytego stołu i niemal rzuciła się na jedzenie.

– Tego było mi trzeba – oznajmiła z pełną buzią. – Jest pani... Pani jest po prostu...

– Po prostu jestem. I tego się trzymaj – skończyłam za nią zdanie, nie chcąc słuchać żadnych peanów na swoją cześć.

Gosia pochłonęła trzy porcje jajecznicę z chlebem i wypiła prawie całe kakao.

– Wiem, że jesteś pewnie zmęczona, ale nie dam ci odpocząć – oznajmiłam, wrzucając naczynia do zlewu. – Pozmywa się później, teraz kolej na trochę świeżego powietrza. Idziemy powłóczyć się po mieście, ładna pogoda, szkoda tkwić przy niedzieli w tych zatęchłych murach.

– Zatechłych?

– Może niekoniecznie, ale tak się mawia.

Pogoda istotnie była piękna, słońce przygrzewało, powiewał lekki wiaterek, który dawał się odczuć akurat wówczas, gdy już miało robić się zbyt gorąco. Szliśmy sobie wolno główną aleją, przyjemnie zieloną dzięki rosnącym wzdłuż niej drzewom i krzewom.

– Przysiadzimy na chwilę? – spytała Gosia nieśmiało, gdy doszliśmy już prawie do samego rynku.

Spojrzałam na nią. Wyglądała tak, jakby rzeczywiście koniecznie musiała odpocząć.

– Jasne, siadamy – odparłam i klapnęłam na pierwszej napotkanej ławce. – Masz, pij. – Podałam jej butelkę wody mineralnej, którą zawsze noszę w torebce.

Dziewczyna przyssała się do niej i opróżniła niemal do dna. Milczałyśmy przez dłuższą chwilę, delektując się miejską przyrodą i pewnie jednym z ostatnich ciepłych dni tego lata, gdy dostrzegłam nadchodzące znajome, choć wcale nie mile widziane kobiety: sąsiadkę z parteru pod rękę z młodszą siostrą Jakuba. Obie wystrojone w niedzielne garsonki, z dobranymi pod kolor torebkami, jedna z czerwoną, druga z białą. Najprawdopodobniej wracały z kościoła. Miałam wielką, aczkolwiek zupełnie nieuzasadnioną nadzieję, że nas nie zauważą, zakładałam bowiem, że nic przykrego nie zakłóci naszej przechadzki i wszystko, co przykre, zostało za drzwiami Gosinego mieszkania. Taki był mój cel. Kiedy byłam już pewna, że kobiety nas widzą, postanowiłam udawać, że my nie widzimy ich.

– Opuść głowę i rozmawiajmy o czymś – szepnęłam do Małgosi.

Dziewczyna błyskawicznie zorientowała się, w czym rzecz, i zwróciła twarz w moją stronę.

– Tfy! – usłyszałam nagle z góry, po czym namacalny efekt owego wyrazu dezaprobaty wylądował na kolanie Małgosi i zaczął spływać w dół.

Ekspłodowałam dosłownie od środka. Podniosłam głowę z zamiarem zareagowania, choć jeszcze nie miałam pomysłu jak, ale Gosia złapała mnie za rękę i ścisnęła mocno.

– Proszę, niech pani da spokój – powiedziała.

Zresztą i tak pewnie byłoby już za późno, ponieważ kobiety zdążyły odejść z wysoko podniesionymi głowami. Gosia starła plamę z sukienki.

– Może zmienmy temat – zaproponowała.

– Jeszcze żadnego nie podjęliśmy – zauważyłam.

– Właśnie. Więc zmienmy, zanim podejmiemy – powiedziała z uśmiechem.

– Dobrze?

– Dobrze.

– A więc... jak tam pani współpraca z gazetą? Jaki temat ma pani teraz na warsztacie?

– Aktualnie na topie są poltergeisty – odparłam z uśmiechem. – Choć wątek ma się ku końcowi, dzięki pewnemu racjonalistcie.

– To znaczy?

– Poltergeist to taki duch rozrabiaka, który upodobał sobie jakiś dom i w nim straszy, hałasuje, tupie, przesuwa przedmioty.

– Wiem, ale czemu się kończy? To chyba przecież najpopularniejszy temat w dziedzinie zjawisk paranormalnych. Tak mi się wydaje.

– Owszem, ale mój wątek dotyczył konkretnego budynku. Dostałam kiedyś list, w którym mieszkaniec pewnego miasteczka chciał zwrócić moją uwagę na dom niemający szczęścia do właścicieli. Ci dość często się zmieniali, bo ze względu na bardzo atrakcyjną cenę i położenie nigdy nie brakowało chętnych do jego zakupu. Jednak równie często był odsprzedawany. Albo wręcz porzucany w popłochu...

– Co to za dom? Stary jakiś? Dworek czy pałac?

– Zwyczajny dom, nie najnowszy, ale powojenny.

– Nie chciała pani się tam wybrać, zobaczyć na miejscu, o co w tym chodzi?

– Małgosi wyraźnie zaświeciły się oczy.

– Wyobraź sobie, moja droga, że w tym przypadku wyjaśnienie sprawy było całkiem prozaiczne – zaśmiałam się i odczekałam chwilę dla większego wrażenia.

– Bo? – ponagliła Gosia.

– Najnowszy właściciel postanowił wyremontować budynek gruntownie. Wcześniej nie inwestowali w niego tak od razu, bo mieli świadomość, że jeśli legenda okaże się prawdą, zwyczajnie im się to nie opłaci.

– I?

– I okazało się, że w tym domu wszystko jest po prostu krzywe. Widać budowany był w pośpiechu, byle jak. Te krzywizny i skosy były na tyle nieznaczące, że nie dało się ich dostrzec gołym okiem, wystarczyły natomiast, by same otwierały się drzwi, szafki, skrzypiały podłogi, a przedmioty przesuwały się z miejsca na miejsce.

– Ha, ha – roześmiała się Gosia, a ja się ucieszyłam, że udało mi się ją rozbawić.

– Ludzie natomiast zdążyli już wymyślić, że pierwsi właściciele musieli za życia coś przeskrobać i teraz pokutują za karę. Bo skoro tylko oni mieszkali w tym domu bez żadnych przeszkód, wniosek był prosty. A oni najzwyczajniej w świecie znali jego mankamenty i tyle. Facet, który napisał do mnie o tym domu, odnalazł jedną z rodzin, zamieszkującą w nim przez pół roku. Ci ludzie również do mnie napisali, a potem jeszcze inni i kolejni. Wszyscy doświadczyli tego samego, czyli niewytłumaczalnych zachowań przedmiotów martwych. Na koniec napisał ostatni właściciel, który problem nie tyle wyjaśnił, co rozwiązał. Raz na zawsze.

Muszę przyznać (przed sobą, nie przed Gosią), że z ulgą przyjąłam fakt, iż

powyższa historia nie wymagała tym razem mojego osobistego udziału.

– Fajnie – skomentowała Gosia i wystawiła twarz do słońca, zamykając oczy. – A wie pani, że mnie czasem śni się Jakub?

– Nic dziwnego. Byłaś z nim mocno związana i bardzo przeżyłaś jego śmierć.

– Ale on nie t a k mi się śni, to nie są żadne wspomnienia ani jakieś senne majaki. On mnie odwiedza we śnie...

– Dlaczego? – spytałam, zamiast podać jej słowa w wątpliwość, co uczyniłoby wielu na moim miejscu.

– Nie wiem. Jakby... chciał się nadal mną opiekować. Patrzy na mnie z troską w oczach, gładzi po głowie, wcale nie jest na mnie zły. Tylko smutny jakiś... Zawsze wówczas czuję po przebudzeniu zapach pomarańczy. To jego zapach.

– Czemu akurat pomarańczy?

– Nie wiem. Mówiłam pani kiedyś, że te zapachy nie mają nic wspólnego z osobami, w każdym razie nie miały za ich życia. Szczerze mówiąc, nawet nie widziałam go nigdy jedzącego pomarańczę. Wiem tylko tyle, że dusze spokojne pachną, a nieszczęśliwe śmierdzą.

– No tak. – Przypomniałam sobie jej upór odnośnie do zapachu pana Jacka, a raczej towarzyszącego mu ducha narzeczonej. – Z czego to twoim zdaniem wynika?

– Nie wiem, ale wydaje się być całkiem logiczne. Nie sądzi pani?

– Chyba tak... Poza tym być może to jakiś znak dla osób takich jak ty, mających określony dar.

– I ja tak sądzę, tylko pojęcia nie mam, co miałabym z tym zrobić. Jak pomóc, czego ten ktoś ode mnie oczekuje.

– Już pomogłaś. Mai. Nie pamiętasz?

– Trudno nie pamiętać. Ale może, jakby pani miała coś takiego na uwadze, podzielałyśmy znów razem?

– Nie ma sprawy. Jeśli tylko będziesz miała ochotę i czas.

W drodze powrotnej z naszego spaceru Gosia wyglądała na wyluzowaną i spokojną. Żartowałyśmy nawet od czasu do czasu. Jednak jak tylko przekroczyłyśmy próg kamienicy, dziewczyna spięła się w sobie, a na jej twarzy uwidocznił się smutek i lęk. Najwyraźniej zupełnie nie otrząsnęła się po wyczynie Majcherkowej, starała się tylko sprawiać takie wrażenie.

ROZDZIAŁ VIII

Motyle w brzuchu, zamęt w głowie

Od czasu, gdy poznałam powód, dla którego Małgorzata unikała mnie ostatnio z takim uporem, ona sama przestała mieć potrzebę ukrywania się przede mną. Nadal więc spotykałyśmy się, choć zdecydowanie rzadziej, plotkując o świecie i polityce, przekomarzając się z kotem, analizując modowe trendy. Omijałyśmy tylko jeden temat: ten drażliwy.

Jesienią Małgosia podjęła studia zaoczne, wybrała sobie socjologię. Nie wiem czemu tak, bo nie był to teraz kierunek szczególnie popularny ani też nie zapewniał pracy. Być może po prostu interesowała ją tematyka, relacje między ludźmi, ich powiązania, zależności. Być może dzięki uzyskanej na studiach wiedzy chciała wyjaśnić, zrozumieć swoje własne życie, powiązać z sobą przyczyny i skutki. Tak sędzę i pewnie nie bardzo się myłę.

Życie Gosi siłą rzeczy się ustabilizowało, „goście” odwiedzali ją teraz wyłącznie co drugi weekend, kiedy nie miała zajęć na uczelni. Dziewczyna najwyraźniej wyrobiła sobie markę w tym szczególnym środowisku, bo klientów miała teraz jakby mniej, za to wyraźnie bardziej zamożnych: zajeżdżali pod kamienicę drogimi wozami, prezentowali się co najmniej świetnie, nie razili sąsiedzkiego poczucia estetyki egzotyczną urodą. Ludzie w kamienicy przyzwyczaili się do tych wizyt, a kiedy zaczęli spotykać na schodach osoby znane z mediów, jakby zupełnie zmieniła się ich perspektywa myślenia. Nawet Majcherkowa, najbardziej zagorzała strażniczka cudzej moralności, dała w końcu spokój, a z czasem nawet sama zaczęła się Gosi kłaniać. Widać uznała, że im więcej dziewczyna pozyska środków od swoich „przyjaciół” (bo tak teraz o gościach Małgorzaty mawiała), tym mniejsza szansa, że upomni się o swoje. Sędzę, że byłby to niezły temat do rozważań dla przyszłej socjolożki. I Małgosia, jakkolwiek o tym dotąd nie rozmawiałyśmy, z pewnością miała swoje zdanie w tej kwestii.

Tak było do chwili, gdy Gosia zabrała się za pisanie pracy licencjackiej. Nasze kontakty, jak już wspomniałam, były w tym czasie o wiele rzadsze i zdecydowanie mniej wylewne. Za to o wiele bardziej... intelektualne, tak bym to nazwała. Małgorzata do studiowania przykładała się bardzo solidnie, czytała od deski do deski zalecaną literaturę, oprócz tego pochłaniała mnóstwo innych książek. Sięgała po klasyków, książki historyczne, a nawet poezję. Jakby chciała

nadrobić swoją po łebkach traktowaną dotychczas edukację, zdobyć wiedzę, która była dotąd poza zasięgiem jej zainteresowań i potrzeb. W pamięci utkwiła mi pewna znamienna rozmowa, jaką zainicjowała kiedyś Gosia podczas jednej ze wspólnych kolacji.

– Życie nie jest proste, pani Doroto – zaczęła mniej więcej w ten sposób.

– Pewnie, że nie jest. – Spojrzałam na nią zdziwiona. – I kto jak kto, ale ty wiesz to chyba od dawna.

– Ja nie mówię o takim życiu, jakie miałam ja czy mają nadal ludzie z mojej wioski. O harowaniu na utrzymanie, klepaniu biedy, pijaństwie, biciu.

– Nie?

– Nie. Bo to oczywiście łatwe nie jest, ale jest proste. Przewidywalne. Oczywiście. Jedno wynika z drugiego i tak każdego dnia. W sobotę od południa odpoczynek, czyli chlanie z sąsiadami i znajomymi, w niedzielę do południa kac, w południe rosół z makaronem i mięso z kury z ziemniakami, wieczorem msza, po mszy krótka analiza minionego tygodnia, czyli jeśli nie było kiedy baby sprac, a było za co, mijał ostatni dzwonek, bo w poniedziałek by się przedawniło. Taki zwyczaj.

Gosia westchnęła i spuściła wzrok. Słuchałam powyższego wywodu, wpatrując się w nią uważnie, i czekałam, co powie dalej. Nie wiem czemu, ale zaczęłam odczuwać jakiś dziwny niepokój.

– Bo widzi pani, żyjąc w ten sposób, nie musi się myśleć. Nie ma na to ani miejsca, ani czasu. Ba, to nawet całkiem niewskazane, bo gdyby moja matka zaczęła sobie nagle zadawać pytanie, czemu jej los jest właśnie taki albo jaki mógłby być, gdyby inaczej nim pokierowała, jakim prawem ojciec czasem sprawia jej lanie, zabrania czegokolwiek i jeszcze wymaga pokory i posłuszeństwa, w zamian nie dając nic, nawet kasy na utrzymanie – z pewnością nie czułaby się lepiej. Podobnie moje siostry, sąsiadki, znajome, były koleżanki. Faceci też zresztą nie mają lekko, tylko nieco inaczej. Ci ludzie, proszę pani, przyjmują wszystko, jak jest, bo uważają, że tak ma być. Tak było i tak będzie. Jasne, mają też swoje radości, przyjemności: lepiej zjeść, dłużej pospać, czasem kupić coś nowego na grzbiet czy do domu. I tyle.

– Naprawdę w tej twojej wiosce nadal tak jest? – nie wytrzymałam i weszłam jej w słowo. – Ja rozumiem, jeszcze czterdzieści, trzydzieści lat temu, ale dziś? W dobie telewizji, Internetu, postępu technicznego, przecież takie rzeczy wyzwalają w ludziach świadomość, pociągają w stronę nowoczesności...

– Ale to nie jest kwestia telewizji czy innych mediów, proszę pani, tylko warunków bytowych. Co z tego, że oni sobie zobaczą, jak żyją inni ludzie, czym żyją, co mają, skoro to dla nich kompletnie nieosiągalne? Komputery mają nieliczni. I tylko młodzi, bo osoby w pani wieku, za przeproszeniem, w ogóle się na takich rzeczach nie rozumieją. Zresztą po co, na co, skoro każdemu dnia

brakuje, żeby zarobić na chleb? Do roboty, jak ktoś ją ma, jeżdżą do miasta po czterdzieści kilometrów w jedną stronę. Przy każdym domu jest gospodarstwo, trochę ziemi, krowa, świnia, kury, kaczkę. Dzieciaków też nie brakuje, trójka to minimum. Taki region, pani Doroto. Te wioski to ofiary kapitalizmu: co było przed nim, już nie istnieje, a na to miejsce nie przyszło kompletnie nic. Tylko ludzie zostali tacy sami, niezaradni, bo nie nauczeni, żeby wziąć los w swoje ręce. Jak były pegeery, pracę każdy miał i pensję, mizerną, ale stałą, a jak zabrakło paszy dla zwierząt czy ziemniaków dla dzieci, to się ukradło z państwowego. Teraz już nawet nie ma komu ukraść. I nie ma czego... Mówi pani, czterdzieści lat temu? Wówczas tam był dobro-byt, można powiedzieć. I autobusy jeździły, PKS-y, pociągi, była podstawówka, przedszkole, świetlica była i kino takie małe, ale było. Dziś jest tylko kościół i knajpa. I jeden sklep ze wszystkim. Środek płatniczy – zeszyt.

– Skąd taka gorycz w tobie nagle? – spytałam. – Czyżbyś zatęskniła za tamtym życiem?

– Nie. Niech mnie pani źle nie zrozumie, bo wcale mi nie żal tego, co było, lub, co gorsza, mogło mnie tam czekać. Tylko że ja jestem... taka ni stamtąd, ni stąd. I nie pasuję ani tam, ani tu. Choć robię naprawdę wszystko, by gdzieś znaleźć swoje miejsce. – Nie, proszę tak nie patrzeć. – Gosia rzuciła mi smutne spojrzenie spod długich rzęs.

– Jak? – zdziwiłam się.

– No... bo pani pewnie myśli, że ja mówię o... o tym, co robię... wie pani. Nie, ja mówię o nauce.

– Nawet przez chwilę o tym nie pomyślałam – zaprzeczyłam żarliwie, bo rzeczywiście, „profesja” Gosi była dla mnie znacznie mniej istotna, niż mogłoby się jej wydawać. Była na o wiele dalszym planie niż ona sama. – Ale powiedz, do czego właściwie zmierzasz?

– Nie wiem. Bo rzeczywiście, ma pani rację, że czegoś żałuję, ale sama nie mam pojęcia, co to jest. Może tego, że jestem inna niż wszyscy w mojej rodzinie, i uświadomiłam to sobie w którymś momencie? Że zawsze chciało mi się czegoś więcej, czegoś... gdzie indziej? A to nie jest ani łatwe, ani za darmo. Szczerze mówiąc, teraz już nie wiem, dokąd tak naprawdę zmierzam ani czy będę szczęśliwsza, gdy osiągnę zamierzony cel. Z obranej drogi już w każdym razie nie zawrócę...

Zrobiło mi się dziewczyny serdecznie żal. Z pewnością nie chciałabym być na jej miejscu, stawać przed podobnymi dylematami.

– Mój ojciec zawsze mawiał, że mam przewrócone we łbie po babce – podsumowała Gosia.

– Po tej, co się utopiła w studni?

Gosia przez chwilę milczała, patrząc z uwagą na swoje dłonie spoczywające na stole.

– Tak. Po tej babce – odparła, nie podnosząc wzroku.

Teraz już pojęłam, skąd brał się mój niepokój. Małgorzata nie była już tą samą dziewczyną, niefrasobliwą, prostą, naturalnie szczerą i bezkompromisową. Taką, jaką zachwycił się Jakub i jaką poznałam ja. Gdybym miała puścić wodze nieskrępowanym skojarzeniom, powiedziałabym, że teraz była jak Ewa, która zakosztowała owocu z drzewa poznania dobra i zła. I że ta wiedza zaczęła z niej właśnie wypierać pierwotny instynkt przetrwania, zastępując go niekończącą się egzystencjalną udręką.

Od tej rozmowy Gosia znów stała mi się bliska jak dawniej. Choć nie taka jak dawniej – bliska w inny sposób. Być może i ona odkryła na nowo naszą bliżej niesprecyzowaną więź, bo zaczęłyśmy widywać się znacznie częściej. Małgorzata miewała teraz nagle potrzeby skonfrontowania z kimś swoich najnowszych przemyśleń o świecie, zaciągnięcia opinii odnośnie do referatu zadanego na studiach, przedyskutowania najnowszej lektury bądź choćby pomilczenia w moim towarzystwie.

Od śmierci Jakuba minęło dwa i pół roku. Pamiętam, jak przy pierwszym spotkaniu we trójkę przyszło mi na myśl, że chciałabym kiedyś zobaczyć rezultat metamorfozy, jaka dokona się w niej, chcąc nie chcąc, pod wpływem tego szacownego, wykształconego mężczyzny. Nie spodziewałam się wówczas, że ich znajomość zakończy się tak szybko i tak tragicznie. Jednak wpływ Jakuba na Gosię wciąż działał i przynosił efekty. Dziewczyna przeobraziła się nawet z wyglądu, być może poniekąd za przyczyną zmiany gestykulacji na oszczędniejszą, mimiki na bardziej uduchowioną, sposobu ubierania na bardziej stonowany i skromny. Jako osoba z natury ciekawa ludzi, obserwowałam tę dziewczynę, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu dla jej uporczywości, konsekwencji i tego, co dzięki nim zyskiwała z dnia na dzień. Bez względu na środki, jakie wykorzystywała dla osiągnięcia swoich zamiarów, Małgorzata parla przed siebie jak przodowy górnik. Uczyła się i rozwijała pod każdym względem. Przy okazji każdego kolejnego spotkania bardziej lub mniej świadomie czekałam na wiadomość, że postanawia w końcu zerwać ze swoimi dochodowymi amantami i wrócić do zwyczajnego, choć zdecydowanie mniej opłacalnego zajęcia. Ten sposób na życie coraz mniej mi bowiem pasował do jej nowego sposobu myślenia, odczuwania, postrzegania świata. Bo Małgorzata ostatnio zmieniła się naprawdę znacznie, i nie chodzi o zmianę od początku naszej znajomości, ale na przestrzeni ostatnich tygodni chociażby. Była zdecydowanie bardziej towarzyska, jeśli chodzi o nasze relacje, ale za to o wiele mniej rozmowna. Początkowo składałam to na karb przemęczenia, później jednak zaczęłam przyglądać się jej o wiele bardziej uważnie, by chociaż z pojedynczego słowa czy gestu móc wywnioskować, w czym rzecz.

Dziewczyna jednak milczała na ten temat jak zakłeta, w końcu więc doszłam do wniosku, że wszystko u niej odbywa się po staremu. Któregoś wieczoru jednak to moje przekonanie zaczęło chwiać się w posadach. Gosia odwiedziła mnie wówczas wyjątkowo późno, akurat kończyłam pisać najnowszy artykuł, więc jeszcze nie położyłam się spać. Zazwyczaj o tej porze przewracamy się już z Bu na drugi bok.

– O, jak to dobrze, że pani jeszcze na nogach – szeptnęła w progu, jakby bała się kogoś obudzić.

– Wchodź. – Otworzyłam szerzej drzwi. – Stało się coś?

– Nie – odparła Gosia i rozejrzała się po mieszkaniu. – Tu jesteś? – Złapała w ramiona zaspanego Bu, który wygramolił się z sypialni, by zobaczyć, kto przyszedł.

Usiadła z kotem w fotelu i zamilkła. Patrzyłam i czekałam. Ale dziewczyna była bardzo, wręcz nienaturalnie zaabsorbowana drapaniem kota za uchem.

– Gosiu – przerwałam tę sielską scenkę. – Coś się stało? Tak? A skoro tak, to mów i nie trzymaj nas w niepewności.

– Nie bardzo wiem, jak zacząć... – Dziewczyna wyraźnie unikała mojego spojrzenia, wzbudzając we mnie coraz większy niepokój. – Kurczę, nigdy jeszcze nie byłam u pani z taką sprawą... – odpowiedziała w końcu bardziej kotu niż mnie.

– Więc spróbuj – ośmieliłam ją. – No?

– Chciałam... pożyczyć trochę pieniędzy – wyrzuciła z siebie w końcu jednym tchem.

– Pieniądzy? – Zdziwiłam się niepomernie, bo czego jak czego, ale tych Gosi dotąd nie brakowało.

– Tak. Pieniądzy. Niedużo, sto złotych, do dziesiątego.

– No jasne, nie ma sprawy. – Sięgnęłam do torebki po portmonetkę. – Masz i nie śpiesz się z oddawaniem, jeśli masz jakieś trudności.

– Jeszcze nie wiem, czy mam. Ale, tak czy inaczej, oddam dziesiątego.

– To znaczy? – Uniosłam, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze wyżej brwi.

– Idzie pani spać? – Gosia rzuciła wzrokiem w stronę uchylonych drzwi sypialni.

– Tak. To znaczy nie. Szłam, ale jak chcesz pogadać, wstrzymam się z tym jeszcze.

– W kuchni, może być?

– Może – odparłam i przeszłam do kuchni.

Tam Gosia bez słowa wstawiła wodę do czajnika i nasypała kawy do filiżanek. Muszę przyznać, że przyjemnie mi było, gdy czuła się u mnie tak swobodnie.

– Bo widzi pani, podejmuję pewną próbę... Nie wiem, czy mi wyjdzie, nie zastrzegam się, broń Boże, ale... od już półtora miesiąca pracuję w galerii na

stoi-sku z biżuterią.

– Doprawdy?! – ucieszyłam się, może nieco głośniej, niż powinnam.

– Tak. Opłaciłam mieszkanie, ratę chesnego, ratę pożyczki i zostało mi pięćset złotych na życie. A dziś mi właśnie zabrakło. Dosłownie na dwa dni przed wypłatą. W przyszłym miesiącu, gdy zaplanuję swoje wydatki precyzyjniej, powinno starczyć na wszystko.

Spojrzałam na dziewczynę, lekko oszołomiona.

– Pięćset złotych na życie?

– Owszem. To żadna filozofia, wystarczy tylko zrobić dobry plan i trzymać się go konsekwentnie.

Doszłam do wniosku, że to, co jeszcze niedawno brałam za szlachetne zmiany w rysach jej twarzy i sposobie bycia, wynikało po prostu ze... zmęczenia i niedożywienia chyba. W sumie półtora miesiąca na zupkach chińskich, jak sobie teraz wyobraziłam, mogło dać podobny efekt. Może zabrzmiałoby to bardziej dramatycznie, niż powinno, ale Małgosia była po prostu chuda i blada. Jej drogie ciuchy gdzieś zniknęły i zastąpiły je najprostsze, jak to się teraz mówi, „stylizacje”.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś? – spytałam z wyrzutem.

– Po co? – Gosia wzruszyła ramionami. – Zresztą nie wiem, czy długo dam tak radę, mówiłam już. Nie chciałam robić pani nadziei.

A to zabrzmiało już sarkastycznie. Trochę się zmieszałam, bo przecież dziewczyna nie miała żadnego obowiązku opowiadać mi się ze swojego życia, a ja nie miałam prawa, by tego od niej wymagać. Postanowiłam zatrzeć to wrażenie i nie komentować już niczego. Myślałam, że Gosia weźmie pieniądze, dopije kawę i wyjdzie, ale najwyraźniej coś jeszcze nie dawało jej spokoju.

– Pani Doroto... – zaczęła ostrożnie.

– Tak?

– Jest taki jeden... mężczyzna... – Gosia wyraźnie utknęła, a ja jej nie poganiałam.

– Taki... całkiem, ale to całkiem inny niż wszyscy, których znałam – odblokowała się po chwili. – Nie patrzy na mnie, tak, wie pani, łakomie... ani lubieżnie. Dużo rozmawiamy, żartujemy, on słucha z uwagą tego, co mam do powiedzenia, pyta o różne rzeczy, trochę opowiada o sobie. Jest bardzo miły i jest mi z nim bardzo miło. To znaczy... nic między nami nie zaszło, bo on nie z tych, jak już mówiłam. Wiem, że mnie naprawdę lubi, jest taki delikatny, kulturalny, mądry...

– A gdzie żeś ty miała czas i okazję go poznać? – zdziwiłam się.

– Na uczelni. On również przyjeżdża na wykłady motorem, więc pogadaliśmy sobie czasem na parkingu. Myślałam, że to student, ale potem się okazało, że jest wykładowcą, a teraz też i moim promotorem. Spotykamy się więc, chcąc nie chcąc, dość regularnie.

– Rozumiem. – Pokiwałam głową. – To dla niego te zmiany?

– I tak, i nie – westchnęła Małgosia. – Przede wszystkim dla siebie. Bo z nas, proszę pani, nic nie będzie, ale ja nawet rozmawiać bym z nim nie potrafiła swobodnie, wiedząc, że robię to, co robię. On jest taki... niewinny!

– Facet? Niewinny? – Roześmiałam się. – Domyślam się, że na pewno ma już co najmniej trzydziestkę. A w tym wieku już każdy z nich z niejednego pieca chleba zakosztował.

– Może i zakosztował, ja mówię o takiej szerszej niewinności, jak na przykład wiara w ludzi, czy we mnie chociażby. – Gosia się wyraźnie zarumieniła.

– I co? Uważasz, że nie jesteś go warta, czy coś w tym rodzaju?

– Nie uważam, po prostu takie są fakty i muszę się z nimi pogodzić. – Gosia wzruszyła ramionami. – No, chyba że kiedyś mu o sobie opowiem, a on zaakceptuje mnie z tym wszystkim. Myśli pani, że coś takiego jest możliwe?

– W każdym razie nie ma rzeczy niemożliwych, to fakt stwierdzony niemalże naukowo. Jeśli zaś chodzi o wasz konkretny przypadek, podobne związki zdarzały się na przestrzeni dziejów całkiem nierzadko i nierzadko należały do zupełnie udanych.

– No właśnie, i ja nieraz tak myślę, ale zaraz potem przywołuję się do porządku. Bo to naprawdę mało prawdo-podobne, żeby facet, który poznał moją przeszłość, zechciał się ze mną związać. Czasu nie cofnę, a nawet gdyby, nie jestem pewna, czy wszystko nie wyglądałoby tak samo. Naprawdę, nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Może powinnam go po prostu unikać?

– Promotora? Możesz go zmienić na innego co najwyżej.

– Owszem, mogę, ale... nie chcę! Rozumie pani? Ja chcę się z nim spotykać, chcę go widywać! Wiem, powinnam się ograniczyć jedynie do rozmów o mojej pracy licencjackiej, nie dawać sobie ani jemu nadziei na nic więcej. Ale tego też nie potrafię: nie odpowiedzieć spojrzeniem na jego spojrzenie, uśmiechem na uśmiech, nie opowiedzieć, jak minął mi dzień, gdy o to spyta... A pani? Jakby postąpiła na moim miejscu? Bo mnie naprawdę od czasu do czasu język świerzbi, żeby wyrzucić z siebie to wszystko i mieć problem z głową, bez względu na finał.

– Jak chcesz. To jest jakieś rozwiązanie. Nawet jeśli on się od ciebie odsunie, skończy się twój dylemat. Zacznie się natomiast inny. Bo ty go kochasz, prawda?

– Prawda – przyznała Gosia, a oczy zaszklily się jej niebezpiecznie. – Wie pani, mnie coś podobnego spotkało po raz pierwszy w życiu, to niewytłumaczalne szczęście, kiedy siedzę naprzeciw niego, łopotanie w sercu, motyle w brzuchu, burza w głowie... I co ja mam z tym wszystkim zrobić?

– Boże mój, Gosiu, ależ ty mi podajesz problemy do rozważenia! Ja też nie mam pojęcia. Może po prostu daj sobie trochę czasu. Jemu też. Obie wierzymy w coś w rodzaju przeznaczenia, więc będzie, jak będzie. Czyli tak, jak ma być.

– To akurat wiem, tylko że w człowieku zawsze jest jakaś głupia niecierpliwość, wątpliwości, niedo-wiarstwo.

– Właściwie – zawahałam się, zanim wypowiedziałam już sformułowaną myśl – w takim razie nie masz innego wyjścia, jak zdać się na los. Nie wrywaj się z niczym na siłę, a wszystko przyjdzie samo. Dobre czy złe – na to już masz niewielki wpływ.

Kilka dni później Małgorzata znów wpadła do mnie o nietypowej porze, tym razem wcześniej rano. Snułam się właśnie po mieszkaniu w piżamie z zamiarem zrobienia sobie kawy, ale wciąż coś staowało mi na przeszkodzie: a to kot, pilnie potrzebujący jedzenia niż ja kofeiny (ja w każdym razie nie wrzeszczałam z tego powodu wniebogłosy), potem jakiś omyłkowy telefon i wreszcie dzwonek do drzwi.

– Powiedziałaś mu! – krzyknęła Gosia, jeszcze zanim weszła, a jej radosne oblicze świadczyło o tym, że wszystko przebiegło pomyślnie.

– Taaak? – Ziewnęłam niechętnie. – Wobec tego zrób dwie kawy, a ja w tym czasie ochlapię twarz i umyję zęby. Bo mam dziś jakiś szlaban na kawę chyba. Może tobie się uda.

Gosi nie tylko udało się zaparzyć kawę, dała również kotu solidną repete jedzenia.

– Zmiłujże się nad nim, dziewczyno – skomentowałam, widząc mlaszczącego nad miską Bu. – On się za chwilę nie będzie mógł ruszać!

– Prosił, więc mu dałam – odparła Gosia. – Niechże wreszcie pani siądzie i skupi się na mojej osobie.

– Skupiam się. I słucham. – Posłodziłam sobie kawę i zamarłam w oczekiwaniu na jej relację.

– Powiedziałaś mu! – powtórzyła Gosia jeszcze raz, ale dobitniej i głośniej.

– Niech zgadnę. – Uśmiechnęłam się. – Przyjął to spokojnie i zostaliście parą?

– Niezupełnie. Bo... ja mu niezupełnie powie-działam.

– To znaczy?

– Poszliśmy do kawiarni wczoraj, późnym wieczorem, po zajęciach. Wiem, nie powinnam, obiecałam sobie, że nie będzie między nami żadnej zażyłości, ale... no nie mogłam. Więc poszłam...

– Poszłaś – powtórzyłam na wypadek, gdyby ona zamierzała zrobić to raz jeszcze.

– Właśnie. W tej kafejce zaraz wyczułam, że on chce ze mną o czymś porozmawiać, zbierał się w sobie, i to było widać: wzdychał, otwierał usta, chrząkał. Siedziałam jak na palenisku. W końcu się otworzył i zaczął mówić, że

bardzo mu się podobam, że zrobiłam na nim duże wrażenie, że czuje w stosunku do mnie jakąś bliskość, więź. I zapytał, czy nie zechciałabym się z nim spotykać bardziej prywatnie. Tak to ujął.

– Hm... Całkiem ładnie. I nienachalnie – skomentowałam.

– Otóż to – podjęła Gosia żarliwie. – Wtedy pomyślałam sobie, że to jest ten moment, i odważyłam się...

– No dobrze, ale mów, co dalej! – ponagliłam, bo dziewczyna jak zwykle utknęła w najważniejszym momencie.

– Odparłam, że owszem, ale to on musi zdecydować, bo jest coś, co powinien o mnie wiedzieć. I wówczas niech mnie jeszcze raz o to zapyta albo wyjdzie, a ja zrobię wszystko, by się już z nim nie zobaczyć. Milczał, a ja czułam, jak mi serce spowalnia i zaczynam tracić oddech. Ale kiedy tylko zaczęłam mówić, złapał mnie za rękę i mi przerwał. Powiedział... Powiedział... że...

Gosia ewidentnie walczyła z płaczem. Teraz nie byłam już pewna, czy wszystko poszło tak dobrze, jak mi się zdawało.

– Powiedział, że nie chce niczego wiedzieć, że cokolwiek to było, zostało w przeszłości i niech już tam zostanie. On chce mnie taką, jaką jestem, a jaka jestem, wie, widzi i czuje. I się nie myli.

Pokręciłam głową w zdumieniu i niedowierzaniu.

– No, to ci się strasznie fajny facet trafił – oceniłam. – I mądry. Chyba niewielu takich matka ziemia nosi.

– Tak. To prawda. – Gosia pociągnęła nosem. – Tylko że ja nie jestem pewna, czy on jest sobie w stanie wyobrazić, o czym chciałam mu powiedzieć.

– Skoro uznał, że to dla niego nie ma znaczenia, to nie ma. Jest chyba na tyle świadomym człowiekiem, że zdaje sobie sprawę z wagi swojej decyzji. I ewentualnej wagi twojego sekretu.

– Ma pani rację. Jak zawsze.

– Nie przesadzaj z tym zawsze, ale tym razem wiem, że mam. A ty ciesz się nim i przestań już kombinować, dobrze?

Gosia posłuchała mojej rady, a może tylko utwierdziła się w tym, co sama uważała za słuszne. Jej życie zatoczyło pełne koło. Znowu pracowała na normalnym etacie i zarabiała na siebie, ledwie wiążąc koniec z końcem. Nie robiła jednak z tego dramatu. Znowu miała u boku faceta, na którym mogła się oprzeć. Uczyła się jak szalona, przypuszczam, że doszła jej dodatkowa motywacja do jeszcze solidniejszego traktowania swoich studiów: Miłosz, bo tak miał na imię jej promotor. Dziewczyna wręcz promieniała, tryskała życiem, humorem i dobrym samopoczuciem. Z czasem pomysł zwierzenia się swojemu nowemu mężczyźnie z grzechów przeszłości wywietrzył jej z głowy. Sumienie bowiem to taki twór,

który można oswoić jak... kota, bo ten przykład jest mi akurat całkiem bliski. Ukształtować według swoich potrzeb, oduczyc drapania mebli czy domagania się wrzaskiem uwagi właściciela.

W przypadku Gosi nie było może zupełnie tak, bo czas od śmierci Jakuba do poznania Miłosza i to wszystko, co się wtedy wydarzyło, nadal tkwiły w niej głęboką zadrą, jednak udało jej się jakoś od tego okresu odciąć. Nie wracać do niego i się nim nie zadreć. Miłosz zaś zaczął coraz intensywniej wkraczać w życie dziewczyny, a uczucia, które w niej wzbudzał, skutecznie przesłaniały jej pamięć o mrocznych, ale już minionych czasach. Może jedyną świadomą, chociaż w pełni zrozumiałą dla mnie konsekwencją tej przeszłości był fakt, że nigdy Miłosza do siebie nie zapraszała. I nie chodziło jej, jak sądzę, o ludzi z kamienicy, będących świadkami jej upadku, ale raczej o mieszkanie, w którym ten upadek miał miejsce. Jej adoratora znałam więc wyłącznie z opowiadań i paru zdjęć w komórce, bo taki stan rzeczy nie dawał okazji poznania go osobiście. Ponadto ani ona, ani on nie obnosili się ze swoim uczuciem ze względu na relacje, jakie łączyły ich na uczelni. Spotykali się w związku z tym albo u niego w kawalerce, albo w mało uczęszczanych kafejkach, późnymi wieczorami.

Miłosz bardzo chciał, żeby zaraz po obronie pracy Małgosi wzięli ślub i zamieszkali razem. Chodziło mu po głowie kupno mieszkania w sąsiednim mieście oraz podjęcie pracy na tamtejszej uczelni. Tam też Gosia mogłaby „zrobić magisterkę” i potem znaleźć posadę dla siebie. Nie chciał pozostawać w dotychczasowym środowisku, by nie narażać siebie i dziewczyny na niezdrowe zainteresowanie. Było to moim zdaniem aż za bardzo asekuranckie, bo przecież od jeszcze jednego związku wykładowcy ze studentką świat by się nie zawalił, ba, pewnie by go nawet i nie zauważył. Małgosi jednak ten plan bardzo odpowiadał z jej własnych powodów. Nie było to niestety takie proste, bo mężczyzna nie zarabiał kokosów, a całym majątkiem, jaki posiadał, była jego kawalerka właśnie i kilkuletni samochód. Małgorzata również nie była w stanie dołożyć się do wspólnej inwestycji. Mieszkania w kamienicy nie zamierzała sprzedawać, nauczona doświadczeniem, że jakkolwiek różowo nie rysowałaby się przyszłość, trzeba mieć swoje własne zaplecze. Utwierdzał ją w tym dodatkowo paniczny strach przed ewentualną koniecznością powrotu na wieś. Termin obrony pracy się zbliżał, a Miłosz z samozaparciem szukał środków na realizację ich marzenia. Kredyt, jaki mógłby dostać przy swoich zarobkach, nawet gdyby dołożyć do niego pieniądze ze sprzedaży kawalerki, nie wystarczyłby na zakup przyzwoitego mieszkania.

– Ślubu nie będzie – oznajmiła któregoś dnia Małgorzata, wpadając do mnie ni stąd, ni zowąd cała ubrana na czarno, z wielkim bukietem róż pod pachą.

Muszę przyznać, że ugięły się pode mną nogi. Niemal do samej ziemi.

– Uuu... umarł ktoś? – zdołałam wyjąkać, zanim podjęłam decyzję, czy mam

zamiar zemdleć, czy nie.

– Nie! Nie, przepraszam, jeśli panią przeraziłam. – Gosia podała mi rękę i dźwignęła do pionu. – Wszystko w porządku. W zasadzie...

Dziewczyna podprowadziła mnie do fotela w salonie i naląła wody do szklanki. Patrzyła w milczeniu, jak piję, a jej oczy napełniały się łzami. Ostatnio dość często zdarzały jej się takie wilgotne momenty.

– Nie wiedziałam, że pani... aż tak na mnie zależy... – Przycupnęła u moich kolan. – Jeszcze raz przepraszam.

– Okej, nie ma sprawy, siadaj wreszcie i wyjaśnij mi, o co chodzi – poprosiłam, nie podtrzymując tematu.

– Obroniłam się. Dzisiaj przed południem, stąd ten strój i kwiaty.

– Gratuluję serdecznie. Gdybym wiedziała, trzymałabym za ciebie kciuki. Ale jak widać, się obeszło...

– Nie uprzedzałam o tym nikogo, żeby nie zapeszyć.

– W porządku, przecież nie mam ci tego za złe – roześmiałam się, w gruncie rzeczy szczęśliwa, że Gosia ma to już za sobą. – A o co chodzi z tym ślubem?

– Przecież pani wie. Mieliśmy się pobrać z Miłozem po mojej obronie, ale warunkiem było mieszkanie, które uparł się kupić. I było już o włos, ale nagle babka wycofała się ze sprzedaży, a na inne nas nie stać. Tamto było wyjątkowo okazyjne i dość duże.

– I w związku z tym musicie odłożyć ślub?

– Tak. – Gosia westchnęła ze smutkiem. – Do czasu, gdy nie nadarzy się nowa okazja.

– Nie możecie na razie zamieszkać u niego? W końcu młodzi, zakochani małżonkowie przez dłuższy czas nie korzystają z metrażu większego niż dwa metry na dwa – zażartowałam.

– Oj, pani Doroto, w naszym przypadku to nie jest takie proste. Miłoz jest bardzo zasadniczy i jak już mówiłam, chce zacząć ze mną nowe życie w nowym miejscu. Dla mnie akurat fakt, że byłam jego studentką, nie ma najmniejszego znaczenia, ale przecież pani wie, że i dla mnie zmiana środowiska jest jak najbardziej na rękę. Sama więc jestem za tym, żeby poczekać na wspólne lokum w innym mieście. Tylko... jak długo?

– No? Jak długo? – zainteresowałam się.

– Aż Miłoz pozbędzie się starych zobowiązań lub jak uda mu się sprzedać domek po dziadkach, na wsi. Na jedno wyjdzie.

– A ten domek po dziadkach? Nie nadaje się do zamieszkania?

– Nie, bo nie ma do końca uregulowanej sytuacji prawnej. Nie należy wyłączać do Miłoz. Najpierw trzeba załatwić wszystko sądownie, a gdyby miał pospłacać pozostałych spadkobierców, wyjdzie dokładnie na to samo. Czasowo, w każdym razie.

– Rozumiem. Co więc w takim razie?

– Nadal będziemy spotykać się ukradkiem. Ja oczywiście nie mam prawa narzekać, bo i tak mam znacznie więcej, niż sobie na to zasłużyłam, ale tak bardzo by mi się chciało być z nim na stałe, zasypiać razem, budzić się, robić mu śniadania... Wziąć pod rękę i pójść na spacer.

– Rozumiem cię, Gosiu, jak najbardziej – westchnęłam razem z nią.

Przecież i ja miałam niegdyś podobne marzenia, wydawało mi się, że nie ma większego szczęścia na świecie, niż móc nie rozstawać się ani na chwilę z uko-chanym.

– Bo myśmy jeszcze ze sobą nie spali – wyznała Gosia desperacko.

– To znaczy? Nie spali czy... nie spali? – próbowałam doprecyzować jej wypowiedź.

– Ani to, ani to – odparła.

– Bardzo romantycznie. Bardzo – powiedziałam z lekkim przekąsem, choć nie miałam takiej intencji.

– Nie chodzi oczywiście o to, że postanowiliśmy czekać do nocy poślubnej. Bo niczego nie planujemy w tej sprawie. Tak wyszło i już. Czasem bywa trudno, ale to tak, jakbyśmy oboje myśleli jednym tokiem, że warto celebrować takie chwile. Nadawać im znaczenie na całe nasze przyszłe życie.

– Gosiu – złapałam ją za rękę – jeśli o mnie chodzi, to mam nadzieję, cholerną nadzieję, że ci się w końcu w życiu poszczęści. Bo wszystko na to wygląda. Koniaczku? Pod obronę pracy na przykład?

– Jasne – zaśmiała się Gosia i dopiero teraz odłożyła wymęczony bukiet na stół. – Ale wie pani, że ja nie lubię koniaczku?

– Wiem. Więc albo ja będę piła wermut, którego nie cierpię, albo ty koniak, do którego masz awersję. Wybieraj, to twój dzień.

– Niech będzie koniak. Jest mocniejszy, prędzej się upijemy.

– Okej. Włóż te kwiaty do czegoś z wodą, bo nie mogę patrzeć, jak cierpią – rzuciłam przez ramię, udając się w stronę barku.

ROZDZIAŁ IX

Jakub, syn Jakuba

Nie wiem, czemu tak jest, ale wszystkie istotniejsze zdarzenia w moim życiu mają swój początek, kiedy akurat jestem na kacu. Być może los chce uśpić moją czujność w chwilach, gdy trzeba podjąć co ważniejsze decyzje, omamić mnie i okpić, ale w moim przypadku to nie działa. W każdym razie w przeważającej większości. Bo wtedy górę nad wszystkimi impulsami bierze raczej świadomość, że trzeba działać o wiele ostrożniej niż zwykle albo nie działać wcale.

Na przykład ślub cywilny z byłym mężem brałam na kacu. Zaplanowany, nawiasem mówiąc, na trzeźwo. Aż dziw bierze, że na zdjęciach z owego ważnego dla każdej kobiety dnia wyglądam promiennie i świeżo. Wiązaliśmy się tymże cywilnym węzłem w jego rodzinnej miejscowości, bo tam mieli w urzędzie stanu cywilnego krótsze terminy, a nam, nie wiadomo czemu, bardzo się śpieszyło. Wieczór i noc poprzedzającą to wydarzenie spędziliśmy w domu jego ojca, który miał piwniczkę sownie zaopatrzoną w trunki własnego wyrobu. Najpierw więc miało być na rozgrzewkę, bo zmarzliśmy w pociągu, potem pod przyszłe pożycie, a kiedy ojciec skapitulował i poszedł spać, nie pamiętam już pod co. To tak na marginesie, więcej przykładów przytaczała nie będę.

W każdym razie zaraz na drugi dzień, po naprawdę godnym uczczeniu piątek na dyplomie Małgosi, ujrzałam przez wizjer w drzwiach obmierzłe oblicze Majcherkowej. Otworzyłam, a jakże, bo kobieta od dłuższego czasu nie napadała już na mój dom w celach awanturniczych.

– To chyba do paninej sąsiadki jest. Do niej nie mogę się dodzwonić. – Zamachała mi przed oczami białą kopertą. – Poda jej pani? Ja nie wiem, co to jest, nie umiem rozoznać.

– W porządku. – Odebrałam od niej list i rzuciłam okiem na adres.

List przyszedł na Zaciszną, do willi Jakuba. Z Ameryki. Oczywiście pamiętałam, że w Stanach Zjednoczonych mieszka jego syn. Być może jego amerykański adres na odwrocie był dla kobiety na tyle nieczytelny, że nie skojarzyła go z nadawcą. Inaczej pewnie aż tak chętnie by go nie oddała... List intrygował mnie i nie dawał spokoju, postanowiłam go więc czym prędzej oddać adresatce. Małgosia albo jeszcze spała, albo po prostu nie otworzyła Majcherkowej drzwi. Chyba w grę wchodziło to drugie, bo na mój dzwonek zareagowała natychmiast. Bez słowa podałam jej kopertę.

– To Jakub. Syn Jakuba. Kuba, znaczy się – powiedziała z przejęciem i stojąc w progu, otworzyła list.

– Przyjeżdża za parę dni. – Rzuciła okiem na stempel. – Kurczę, długo szedł ten list...

– Czego chce od ciebie?

– Nie był na pogrzebie ojca, a teraz ma trochę czasu i zamierza odwiedzić jego grób. Chce, żebyśmy oboje poszli na cmentarz. I w ogóle chciałby o nim porozmawiać. Ale ja... proszę pani, nie mogę się z nim spotkać!

– A to czemu? – spytałam, przeczuwając, że Gosia znów chce się wymiksować z ewentualnych rozmów o spadku.

– Nie i już! – krzyknęła niemal histerycznie. – Wyjadę, schowam się, nie będzie mnie!

– Nie możesz mu tego zrobić – zauważyłam ze spokojem. – To jedyny syn Jakuba, a ty jesteś jedyną osobą, która miała z nim przed śmiercią kontakt. Może winna mu jesteś choć chwilę rozmowy?

– Wobec tego... Wiem! Pani się z nim spotka. Zaprowadzi go pani na cmentarz i z nim pogada. Wie pani dokładnie tyle samo, co ja. Okej? Bardzo, bardzo strasznie panią o to proszę! – Gosia złożyła ręce jak do modlitwy.

Być może miała jeszcze inny powód, by nie chcieć tego spotkania. Może nie chciała po prostu wracać do przeszłości, rozgrzebywać ran, które mogłyby pociągnąć za sobą dyskomfort wspomnień i wyrzutów, z którymi ledwo się uporała. Miała w końcu wreszcie niemal wszystko, o czym marzyła: wykształcenie i miłość swojego życia. To byłam w stanie zrozumieć.

– Dobrze – zgodziłam się. – Zajmę się twoim gościem, ale nie miej mi potem za złe, jeśli coś niechcący schrzanię – dodałam, bo zaświtał mi w głowie pewien karkołomny plan.

Gosia rozpromieniła się w ułamku sekundy.

– Dzięki! Jest pani... pani jest...

– Wiem, że jestem, nie musisz mnie o tym przekonywać – przerwałam, jak zwykle w momentach, gdy Gosi zbierało się na peany na moją cześć.

Na umówione spotkanie z Kubą w restauracji hotelu, w którym się zatrzymał, wybrałam się więc ja. Trochę czułam się nieswojo, ale skoro podjęłam się tego zadania, nie było odwrotu. Poza tym, jak już wspomniałam, miałam zamiar jego wizytę wykorzystać jeszcze w innym celu.

Rozglądałam się dookoła, skupiając swoją uwagę na siedzących przy stoliku samotnych mężczyznach. Takich było dwóch, przy czym jeden z nich absolutnie nie mógł być Kubą, z czego wniosek, że był nim ten drugi. Zwłaszcza że z wyglądu przypominał swojego ojca. Podeszłam więc do niego, przedstawiłam się i wytłumaczyłam z grubsza, dlaczego ja to ja, a nie Małgosia. Wyjaśnienie, aczkolwiek przekonujące i logiczne, nie miało nic wspólnego z prawdą, bo ta była

zbyt zawiła i znacznie mniej przekonująca...

– Jakub Parzycki – przedstawił się młody człowiek. – Kuba, tak będzie prościej.

– Mam panu pokazać grób ojca i jeśli będzie pan miał jakieś pytania, w miarę moich możliwości na nie odpowiedzieć – przekazałam mu zalecenia Małgosi.

– Cieszę się, że pani przyszła, bo szczerze mówiąc, nie liczyłem nawet za bardzo na to, że Małgorzata zechce mi poświęcić trochę czasu. Prawie jej nie znam, spotkaliśmy się tylko raz i spędziliśmy wspólnie raptem kilka godzin – wyjaśnił. – Od śmierci ojca minęło już trochę czasu, dziewczyna jest młoda i pewnie zdążyła na nowo ułożyć sobie życie...

– Niezupełnie – odparłam – ale zmierza ku temu. W każdym razie z pewnością nie zapomniała Jakuba. Wywarł na jej życie ogromny wpływ.

Kuba uśmiechnął się pod nosem.

– Tata taki właśnie był. Robił na ludziach dobre wrażenie, a gdy już jego drogi się z czyimiś skrzyżowały, nigdy nie była to byle jaka znajomość. Jeśli o mnie chodzi, cieszyłem się, że ma kogoś takiego jak Małgorzata. Nie była to może dobrana para w ogólnie przyjętym znaczeniu, ale w tym konkretnym przypadku owszem, nawet bardzo. Na zasadzie uzupełnienia, nie podobieństwa... Napije się pani czegoś? A może chciałaby pani coś zjeść? – spytał, bo do stolika podszedł kelner.

Zamówiłam kawę i wodę mineralną, on wziął dla siebie to samo.

– Wiem, że mój ojciec zmarł nagle. To był zawał, tyle dowiedziałem się od Małgorzaty, gdy do mnie zadzwoniła z informacją o jego śmierci. Była bardzo roztrzęsiona, chaotyczna, nie było wówczas możliwości porozmawiania o szczegółach.

– Tak – przyznałam. – Proszę sobie wyobrazić, że ja nie wiedziałam o niczym. Małgosia przestała racjonalnie myśleć, najpierw skupiła się na formalnościach pogrzebowych, a zaraz potem zamknęła się w czterech ścianach i przepadła dla świata na kilka tygodni.

– Bardzo go kochała, prawda? – spytał Kuba z nadzieją w głosie.

– Był jej jedyną bliską osobą. Z czasem stał się tą najważniejszą – odparłam, bo jakkolwiek Gosia z pewnością darzyła Jakuba pod koniec ich związku jakimś uczuciem, byłam pewna, że nie była to miłość, jaką miał na myśli Kuba.

– To dobrze – westchnął mężczyzna z wyraźną ulgą. – Nie darowałbym sobie, gdyby nie miał obok siebie na koniec żadnej zyczliwej osoby. Wie pani, ja nie zamierzałem zostawać za granicą na zawsze. Wyjechałem tylko na stypendium, nic by mnie tam nie trzymało, gdybym się nie zakochał. Ale gdy poznałem Lisę, wszystko się zmieniło i jeśli chciałem być razem z nią, wyjście było tylko jedno: zostać tam na stałe. Lisa jest rodowitą Amerykanką, łatwiej mnie było

przystosować się do tamtejszych warunków niż jej do naszych. Ja znałem język, miałem perspektywę dobrej pracy, zresztą, co ja będę dużo mówił, pani sama wie, jak tu jest. Nie miałbym sumienia wlec tu jedynaczki pochodzącej z zamożnej amerykańskiej rodziny, w dodatku tuż po ukończeniu z wyróżnieniem jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach. Ona sama nie miała nic przeciwko temu, więc były chwile wahania, ale mój ojciec zdecydował. Uważał, że jeśli postąpię inaczej, zrobię to ze względu na niego, a tego nie chciał. Widywaliśmy się więc raz na dwa, trzy lata, zabierałem wówczas Lisę do Polski, zawsze zimą, bo bardzo podobały się jej nasze ośnieżone góry, Zakopane, góralski folklor. Zresztą tylko w tym okresie mogłem urwać się od obowiązków zawodowych na dłużej.

– Zaraz, ale czemu pan mówi, że ojciec był taki samotny? – Coś mi tu nie pasowało. – Przecież, o ile wiem, ma dwie siostry i siostrzenicę. Jak by nie było, to całkiem bliska rodzina...

Kuba spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi i machnął ręką.

– Nie mówmy może o nich, okej? – skwitował. – Może lepiej, jeśli ma pani jeszcze czas, pojedźmy na cmentarz.

Zapłacił rachunek i wyszliśmy przed hotel w poszukiwaniu taksówki. Pogoda nie była najlepsza, mżyło i wiał wiatr.

Nagrobek Jakuba wyglądał skromnie, ale ewidentnie do tanich nie należał: cały z czarnego, polerowanego marmuru. Na płycie, zwieńczonej trójkątnym przyczółkiem wspartym na dwóch kolumnach, widniało tylko imię, nazwisko i wryty w niej prosty, skromny krzyż. To Małgosia wybierała i opłacała nagrobek. Ona też dbała, by były na nim zawsze zapalone znicze i kwiaty w wazonie. Jeśli siostry w jakiś sposób czciły pamięć brata, robiły to raczej rzadko i zawsze efektem ich wizyty był jakiś plastikowy bukiet lub stroik. Gosia wyrzucała je każdorazowo do kosza. – W końcu były tak piękne, że mógł ktoś ukraść – wyjaśniła, gdy spytałam, czy się nie obawia, że w końcu się o to wkurzą.

Kuba stał w milczeniu ze spuszczoną głową, od czasu do czasu ocierając zbierając się w kącikach oczu łzy.

– Jutro przyniosę świeczki – powiedział w końcu, jakby czuł się winny, że przyszedł tu z pustymi rękami. – Dziś nie miałem głowy do szukania ich w sklepach.

– Przed cmentarzem, przy drugim wejściu jest stragan z takimi rzeczami – podpowiedziała mu. – Szkoda, że o tym nie pomyślałam, mogliśmy przecież wejść tamtędy, to i ja zapaliłabym Jakubowi świeczkę.

– Tak? Wobec tego pójdę tam i kupię kilka. Zaczeka pani tu na mnie?

– Zaczekam – obiecałam i postanowiłam wykorzystać ten czas na telefon do Gosi.

Przyszło mi bowiem do głowy, że przecież, skoro mieszkam raptem kilkaset metrów od cmentarza, mogłabym zaprosić do siebie Kubę na obiad. Jak by nie

było, stał gotowy na kuchni i czekał – wszystko jedno, na jedną czy dwie osoby. Musiałam tylko uprzedzić Gosię, że jeśli nie chce widzieć się z Kubą, nie powinna do mnie przychodzić. Dziewczyna przyjęła to do wiadomości i zapewniła, że nie będzie się również bez potrzeby plątała po klatce schodowej.

Jakub junior przyjął moje zaproszenie bardzo chętnie.

– A co na ten obiad? – spytał z amerykańską swobodą.

– Bigos. Z chlebem lub ziemniakami, do wyboru – odparłam.

Akurat tak się złożyło, że wczoraj ugotowałam cały gar naszej narodowej potrawy, choć sama za nią nie przepadam szczególnie. Zamierzałam nią podjąć Gosię na dzisiejszej kolacji, resztę zaś zawekować w słoiki i wesprzeć ją nimi na kilka dni przed dziesiątym, jakby co. Małgorzata, w przeciwieństwie do mnie, była wielką amatorką bigosu.

– Naprawdę? Niemożliwe! – zachwycił się Kuba. – Nie jadłem czegoś takiego od paru lat. I szczerze mówiąc, nic lepszego nie mógłbym sobie wymarzyć...

– Wobec tego i ja się cieszę – podsumowałam i owinęłam szczelniej szyję szalikiem, bo kiedy wyszliśmy na bardziej płaski teren, wiatr zaczął dawać się mocniej we znaki.

Patrząc na spokojnego i rozluźnionego (a przede wszystkim najedzonego do granic możliwości moim bigosem) Kubę, zastanawiałam się, czy oto nie nadszedł dobry moment, by wrócić do tematu jego ciotek. Bu, który jakoś wyjątkowo nie czuł lęku przed pierwszy raz widzianym człowiekiem, wpakował mu się na kolana i sprawił, że mężczyzna poczuł się jeszcze bardziej swojsko. Lubił koty i adoracja Bu sprawiła mu widoczną przyjemność.

– My niestety nie mamy zwierzaków – oznajmił, gładząc bure futro mojego pupila. – Nie składa się jakoś. – Kiedyś chcieliśmy wziąć psa, ale uznaliśmy, że jeszcze nie pora. Często nie ma nas w domu i skoro nawet na dziecko nie możemy sobie na razie pozwolić, co tu mówić o psie czy kocie?

– Czemu nie możecie sobie pozwolić? – wyrwało mi się, bo Gosia kiedyś wspomniała, że są zamożni, mają duży dom i świetne warunki bytowe.

– Lisa nie jest gotowa, żeby zrezygnować z pracy. Bo my nie chcemy, żeby nasze dziecko chowały niańki, ona sama zamierza się nim zajmować. Ale do tego musiałaby na parę lat wycofać się z życia zawodowego, a tego tymczasem nie chce. Zresztą, mamy czas do trzydziestki. Do jej trzydziestki, bo ja mam już swoją za sobą.

– No tak – westchnęłam. – Ja nie mam wcale dzieci i żyję.

– A chciałaby pani mieć?

– Nie wiem, nigdy nie miałam, więc nie wiem, co straciłam. Ale ze mną jest

inna sprawa, ja nie mam męża. Akurat wtedy się rozstaliśmy, gdy przyszedł dla mnie ostatni moment na zostanie matką. Później już jakoś poleciało... Zresztą, dziecko musi mieć ojca, a mnie się nikt godny tego zaszczytu nie nawinął.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się Kuba. – Odpowiedni partner, miejsce i czas to podstawowe kryteria, by się zdecydować na rodzicielstwo. Jeśli nie jest spełnione choć jedno z nich, zawsze coś w tym rodzicielstwie będzie szwankowało. Tak myślę.

Zastanawiałam się teraz gorączkowo, jak by tu zgrabnie z tych ogólnych dywagacji na temat rodziny przejść na rodzinę jego ojca, a konkretnie na siostry. W końcu postanowiłam nie kombinować i spytać wprost.

– A propos rodziny, ja wiem, że nie chciał pan rozmawiać o swoich ciotkach, ale może... jednak powinniśmy zamienić na ich temat choć parę zdań?

Kuba milczał przez chwilę, ewidentnie bijąc się z myślami.

– Dobrze – zgodził się w końcu. – Skoro już tu jestem, nie chciałbym, by coś ważnego, związanego z tatą mi umknęło. Bo domyślałam się, że pani uważa tę rozmowę za ważną?

– Tak. Ale to już pan sam oceni. Jeśli będzie pan uważał inaczej, proszę powiedzieć, a zamilknę – zaproponowałam uczciwie.

– Słucham wobec tego.

– Chodzi mi... o... Pozwoli pan, że będę mówiła wprost?

– Tego bym właśnie oczekiwał – odparł Kuba i uśmiechnął się, by mnie ośmielić.

– Dobrze. Więc chodzi o spadek po pańskim ojcu – wyrzuciłam z siebie i zrobiłam celową pauzę.

– Z tego, co wiem, tata zapisał większość swojego majątku Małgorzacie – powiedział Kuba powoli, jakby w międzyczasie zastanawiał się nad doborem słów i tonu głosu. – Rozmawiałem z nim o tym podczas ostatniego spotkania, oczywiście w cztery oczy. Ojciec chciał zasięgnąć mojej opinii, a ja, rzecz jasna, nie miałem nic przeciwko temu. Jego majątek – jego decyzja. Ja stąd niczego nie potrzebuję i nie chcę.

– Tyle i ja wiem – przyznałam. – Panie Parzyckie otrzymały w spadku po bracie meble, obrazy i pamiątki rodzinne.

– To całkiem sporo – wtrącił Kuba. – Zważywszy, że w grę wchodziły głównie antyki, srebra i obrazy pędzla znanych malarzy. Naprawdę, nie mają co narzekać, zwłaszcza że tata zamierzał im nie zostawić niczego. To ja go przekonałem do takiego podziału, żeby nie rzuciły się kiedyś na Małgorzatę z pazurami.

– W zasadzie logicznie, ale nie do końca – powiedziałam z przekąsem. – Bo one rzuciły się właśnie. Nie tyle na Małgorzatę, ile na wszystko, co odziedziczyła.

– Jak to? – Kuba nerwowo wprawił w ruch mięśnie twarzy.

– Wszystko zabrały, dziewczynie nie zostawiły nic. Prawie nic. Trochę oszczędności na koncie, ale do tych nie były w stanie się dostać.

Gośka by mnie zabiła – pomyślałam. – Ale niech tam, skoro sama nie potrafi o siebie zadbać. Poza tym – uspokoiliłam nieco sumienie – mogła zająć się Kubą osobiście.

Mężczyzna zdjął kota z kolan i oddał go mnie, sam zaś zaczął przechadzać się po salonie.

– Niemożliwe – mruknął pod nosem. – Przecież tata z pewnością załatwił wszystko, jak należy, zrobił ważny testament! Miał zaufanego notariusza, który, choćby nie wiem co, sam zadbałby o to, by spadek po nim trafił w odpowiednie ręce.

– Z pewnością – przyznałam – ale żadnej sprawy spadkowej nie było. Panie Parzyckie same dokonały między sobą podziału, a Gosia nigdy się o swoje nie upomniała.

– Czemu? Przecież... Przecież to jej się wszystko prawnie należy!

– Owszem, i ona tego nie neguje. Uważa natomiast, że nie ma do spadku prawa m o r a l n e g o.

Kuba przystanął na moment i spojrzał na mnie z góry.

– No, takiego prawa to nie mają akurat one – mruknął przez zęby i zaczął chodzić na nowo.

Po chwili usiadł naprzeciwko mnie, zabrał ode mnie kota i ponownie posadził go sobie na kolanach.

– Ten dom, proszę pani, zapisał tacie mój pradziadek, czyli osoba, która na niego zapracowała i go zbudowała, jak tylko ojciec skończył osiemnaście lat. Pierwsza żona mojego dziadka, ojca taty, zginęła tragicznie, gdy ten miał zaledwie dziewięć lat. Dziadek ożenił się powtórnie i z tego małżeństwa przyszły na świat przyrodnie siostry taty: Marta i Ela. Macocha ojca była całkiem inną kobietą niż jego własna mama: prostytutką bez klasy, chciwą i pazerną. Od razu zaczął się podział na dzieci „moje i twoje”, faworyzowanie córek i rozpuszczanie ich do granic możliwości. Ale dziadek był w niej zakochany po uszy i nie dostrzegał, czy też nie chciał dostrzegać, prawdziwego oblicza swojej małżonki. Dostrzegał je natomiast, i chyba nawet sam dotkliwie odczuwał, żyjący jeszcze wówczas pradziadek. Nadaża pani?

– Tak. Pański pradziadek i dziadek pana taty. Dobrze kombinuję?

– Bardzo dobrze. – Spojrzał na mnie z uznaniem Kuba i podjął przerwany wątek.

– Jak tylko tata skończył osiemnaście lat, zapisał mu wszystko, co posiadał, zaznaczając, że syn z małżonką mają prawo mieszkać w tym domu do końca swojego życia.

– Rozumiem. A czym zasłużyły sobie na wydziedziczenie jego wnuczki?

– Przede wszystkim brakiem szacunku do czegokolwiek i kogokolwiek w tym domu. Egoizmem i pychą, lenistwem i arogancją. To tak pokrótce. Dość powiedzieć, że to moi rodzice musieli opiekować się na starość ich matką, którą zostawiły schorowaną i nie bardzo sprawną na umyśle. Starsza, Marta, jak tylko skończyła studia, przeprowadziła się do ówczesnego chłopaka, potem drugiego, trzeciego i właściwie nie wiadomo, ilu ich w końcu było, dość, że została wreszcie całkiem sama. Młodsza, Ela, nie miała głowy do nauki, więc bardzo wcześnie wyszła za mąż za dobrze ustawionego „badylarza”, jak to się wówczas mówiło. Facet do dziś kręci różne interesy i Ela nie może narzekać na brak czegokolwiek. Chyba tylko... zwykłej empatii i odrobiny ludzkiej przyzwoitości.

Kuba spojrział na mnie oczyma pełnymi wyrzutu, najwyraźniej mając teraz przed nimi jakieś realne zdarzenia z przeszłości swojej rodziny.

– Wie pani, ja pamiętam tę swoją przyszywaną babkę jeszcze z czasów, gdy była w miarę zdrowa. To była naprawdę okropna kobieta, pyskata, kłótniwa, apodyktyczna. Takie też są jej córki, ale owoc swojego wychowania zebrała sobie sama: pannice po prostu uciekły od niej, jak tylko nadarzyła się okazja. I teraz mają czelność upominać się o swoje? Jakie „swoje”? – spytał i zacisnął w pięść wolną od kota rękę.

– Szkoda, że wcześniej nie znałam tej historii – powiedziałam bardziej do siebie niż do niego. – Już ja bym Gosi wyperswadowała skrupuły.

– Lepiej później niż wcale. – Uśmiechnął się Kuba, jakby nieco uspokojony.
– No cóż, wobec tego pora na mnie. – Wstał i ostrożnie i położył śpiącego kota w fotelu. – Dobrze, że mi pani o wszystkim powiedziała. Małgorzata wspominała, że zawsze we wszystkim może liczyć na swoją sąsiadkę... z naprzeciwka? – zawahał się przez chwilę. – To znaczy, że ona tutaj mieszka?

– Tak – odparłam i pomyślałam, że obie miałyśmy więcej szczęścia niż rozumu, wymyślając jej pilny wyjazd do rodziców na wieś. – Ale jej nie ma – dodałam prędko.

– Wiem. Zresztą, może to i lepiej. Proszę jej na razie nie informować o tej naszej rozmowie, dobrze?

– Dobrze – zgodziłam się, bo nie miałam najmniejszego zamiaru się z tym przed nią zdradzić. Nie teraz w każdym razie.

Dalszy ciąg sprawy zagarniętego spadku zaczął w końcu wymagać, żebym i ja sama zaczęła unikać Małgorzaty. Nie poinformowałam jej więc, że Kuba już wyszedł, licząc na to, że już dziś się nie spotkamy. Niestety, późnym wieczorem dostałam od niej skąpego SMS-a o treści: „mogę?”. Odpisałam równie skromnie: „tak”. Nie upłynęło pół minuty, kiedy zjawiła się pod moimi drzwiami i jak dawniej zaczęła atakować namolnie dzwonek.

– Dziewczyno, chcesz, żebyśmy z kotem udaru dostali? – podsumowałam na wstępie jej zachowanie.

– Raczej nie chcę, ale siedzę przez cały dzień w czterech ścianach i aż mnie rozpiera. Miała pani dać znać, jak już pójdzie – powiedziała z wyrzutem.

– Właśnie się do ciebie wybierałam – odparłam niezgodnie z prawdą. – Wchodź i siadaj.

– Niechże pani opowiada! – zażądała dziewczyna, zanim zdążyła porządnie usiąść. – Co pani z nim robiła przez cały boży dzień?

– Jaki cały boży? – obruszyłam się. – Od południa za ledwie.

– Niech będzie. Więc jak spędziliście ten czas? I gdzie?

– Trochę w restauracji, trochę na cmentarzu, a później pasłam go u mnie twoim bigosem.

– Ja nie mam żadnego bigosu – skomentowała Gosia dość nerwowo.

– Ale ja mam. Zrobiłam specjalnie dla ciebie. Chcesz?

– Kuba nie wyżarł całego? W końcu siedział tu ładnych parę godzin – stwierdziła dziewczyna kąśliwie.

– Obroniłam przed nim co nieco dla siebie. Piersią własną.

– Właśnie widzę. – Gosia podeszła do mnie i wzięła w palce kłaczek kapusty, który jakimś cudem znalazł się na moim gorsie. – Ależ pani podsyca moją ciekawość, zaraz pękne, jak Boga Kocham!

– Och, no bo właściwie nie ma o czym opowiadać – zełgałam. – Na cmentarzu zapaliliśmy świece, a potem pomyślałam, że skoro już jestem tak blisko domu i skoro mam ten gar bigosu, miło będzie rodakowi zza oceanu, jak go nim poczęstuję. Trochę się zagadaliśmy, on wspominał Jakuba, ja też, na ile pozwalała mi wiedza, i tak czas nam zleciał.

– Kiedy on wraca do siebie? – spytała Małgosia.

– Nie wiem, może zostanie parę dni, ale bez obawy, ja go tu już nie przyprowadzę.

– Czy to znaczy, że zamierza pani te parę dni spędzić razem z nim? – Gosia spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Zazdrosna jesteś czy co? – spytałam z udawanym oburzeniem. – Nie zapominaj, że to ty mi go zważyłaś na kark. I jeśli będzie sobie mojego towarzystwa życzył, to mu je zapewnię. Chyba że wolisz dotrzymać mu go sama?!

– Przepraszam. – Małgosia spokorniała nagle. – Jasne, że nie wolę. I naprawdę, jestem pani bardzo wdzięczna, że wybawiła mnie pani z tej opresji. Ale proszę zrozumieć moją irytację. Cały dzień siedziałam zamknięta w domu i zamartwiałam się, jak to wyjdzie, czy on nie będzie się upierał przy spotkaniu ze mną osobiście.

– Nie upierał się.

– Świetnie. Wobec tego nie będę się już czepiać ani wtrącać.

– Trzymam cię za słowo. Całościową relację zdam ci już po jego odlocie do Stanów. Okej?

Małgosia zerwała się z krzesła i rzuciła mi się na szyję. Pierwszy raz w życiu widziałam w jej wydaniu tak czuły gest wobec człowieka. Bo mojego kota przytulała całkiem swobodnie i wcale nierzadko.

– Mogę na wynos? Późno już. – Uniosła pokrywkę garnka z bigosem.

– Bierz wszystko. Skoro nie będę już gościła u siebie Kuby, jest mi całkiem zbędny – zachęciłam i zrobiłam unik, bo Gosia znów zamierzała rzucić się na mnie.

Z Kubą umówiona byłam na drugi dzień wczesnym popołudniem, w tej samej restauracji, co poprzednio. Pomyślałam sobie, że dokądkolwiek nie zapuściłaby się Małgorzata, tu nie przyjdzie na pewno. Nawet gdyby udała się z Miłozsem na randkę, hotelowa restauracja była poza wszelkim ryzykiem. Mężczyzna czekał już na mnie, choć byłam na miejscu ciut wcześniej, niż powinnam. Przywitaliśmy się jak starzy znajomi.

– Nie mogę się pani doczekać, pani Doroto. – Kuba podsunął mi krzesło.

– Bo?

– Wszystko idzie ku dobremu i tam też dojdzie. Już ja o to zadbam.

– To znaczy?

– Rozmawiałem dziś z ciotką Elą. Muszę przyznać, że mina, jaką zrobiła na mój widok, była naprawdę bezcenna, szkoda, że nie uwieczniłem jej na pamiątkę – zaśmiał się zadowolony.

– Nie wątpię. Nie pogoniła pana?

– Słabo mnie pani zna, pani Doroto – roześmiał się po raz drugi. – Mnie nie tak łatwo zbyć byle groźbą.

– O? A czymże panu groziła, jeśli można wiedzieć?

– Opowiem po kolei, jeśli ma pani trochę cierpliwości.

Zamiast odpowiedzi wsparłam twarz na dłoni i zamieniłam się w słuch. Do stolika podszedł ten sam kelner, co wczoraj, i spytał sam z siebie:

– Kawę i wodę mineralną dla państwa?

Potwierdziliśmy jednocześnie, by jak najprędzej się go pozbyć. Kubę wyraźnie rozpiełała potrzeba opowiedzenia mi o spotkaniu z ciotką, mnie natomiast chęć jego wysłuchania.

– Kiedy ciotka Ela otworzyła mi drzwi, poprosiłem z głupia frant, by zaprowadziła mnie do Małgorzaty – zaczął wreszcie relację. – Odparła, jak się spodziewałem, że żadna Małgorzata tutaj nie mieszka. Wówczas wyraziłem głębokie zdziwienie, bo przecież według mojej wiedzy ona właśnie powinna zamieszkiwać ten dom. Elżbieta wymądrzała się jeszcze przez jakiś czas, twierdząc, że to jej oraz siostrze należy się spadek i jeśli będzie trzeba, zaskarży

testament ojca. Bo nie może tak być, by jakaś obca kobieta, ot tak, zwinęła im sprzed nosa rodzinny majątek, gdyż one, jak by nie było, są najbliższymi krewnymi. Zapomniała o mnie, nieboraczka...

– A co pan na to, jeśli można spytać? – Wbiłam w niego niecierpliwe spojrzenie.

– Zaproponowałem, że owszem, niech zaskarża, ale wówczas ja uczynię to samo. I zobaczymy, kto jest bliższym krewnym. Wówczas ciotka spuściła z tonu i zaczęła biadolić, że i ja trzymam stronę obcej baby, zamiast działać w interesie rodziny. Nie dyskutowałem z nią na ten temat, dałem jej pięć dni na wyprowadzkę. Akurat tyle, ile zostanę jeszcze w Polsce, żeby móc sprawdzić, czy się z tego wywiązała.

– I ona się na to zgodziła? – spytałam zdumiona.

– Nie pytałem jej o zgodę. Zresztą ciotka wie, że ze mną nie ma żartów. Tak jak nie było z moim ojcem.

– Tylko wie pan, jest jeden mały problem. Gosia nigdy w tej willi nie zamieszka...

– Nieważne. – Kuba wzruszył ramionami. – Może ją sprzedać, jak zechce. Ale najpierw musi dopełnić formalności, czyli stać się jej prawowitą właścicielką.

Czekał mnie kawał ciężkiej, dyplomatycznej roboty. Zaczynałam współczuć sama sobie.

Zjedliśmy na miejscu jeszcze obiad – w ramach rewanżu Kuby za mój bigos, potem mały deser i dopiero wówczas wróciłam do domu. Wzięłam od niego numer telefonu, by móc go poinformować o decyzji Gosi. Dziś to ja szukałam kontaktu z dziewczyną, niecierpliwiąc się i złościąc za każdym razem, gdy nie było odzewu ani na próbę kontaktu telefonicznego, ani też na natarczywe dzwonenie do jej drzwi. Kiedy usłyszałam stukanie szpilek na schodach, wyszłam jej naprzeciw.

– Coś się stało? – spytała z uśmiechem.

Widocznie była w niezłym humorze. Dobra nasza – pomyślałam i bez słowa wciągnęłam ją do swojego mieszkania.

– Nic się nie stało – odpowiedziałam. – Nic złego w każdym razie. Zresztą... zależy, jak na to spojrzeć. Otóż... Kuba postanowił obejrzeć swój dom rodzinny i mocno się zdenerwował, gdy zobaczył jego obecnych lokatorów. Do tego stopnia, że postanowił zrobić z tym porządek.

– Niech robi, co chce. Tylko mnie niech do tego nie miesza. Ja niczego nie chcę, nie powiedziała mu pani?

– Powiedziałam. Ale on uznał, że jego ciotki są ostatnimi osobami w świecie, którym by się cokolwiek w spadku po bracie należało. To... dłuższa historia, opowiem ci kiedyś, jak zechcesz, ale uwierz mi, że Kuba ma rację.

– Więc niech sobie ma. Ja się tam z pewnością nie wprowadzę. Nigdy. – Gosia odwróciła się na pięcie z zamiarem wyjścia z mojego mieszkania.

– Więc się nie wprowadzaj. Ale czy na przykład tobie nie przydałyby się pieniądze ze sprzedaży tego domu na nowe mieszkanie? I... ślubną suknię? – pojechałam po bandzie.

Gosia stanęła w miejscu i jakby się zawahała.

– To ich rodzinny dom, nie mój – powtórzyła.

– Figę prawda! – zaprotestowałam. – Gdybyś wiedziała to, co ja, nie miałabyś takich skrupułów!

Dziewczyna odwróciła się w moją stronę.

– A co pani wie?

– Spotkaj się z Kubą, dobrze? – poprosiłam zamiast odpowiedzi, coraz bardziej zirytowana jej głupim uporem. – On ci wszystko wyjaśni. Dość już pośredników w tej sprawie.

– W porządku. Jeśli ma pani taką możliwość, proszę umówić mnie z nim na jutro – powiedziała i wyszła.

Nie sądziłam, że Małgorzata zaprosi Kubę do swojego mieszkania, ale tak właśnie zrobiła. Zadzwoiłam do niego jeszcze tego samego wieczoru i poinformowałam, że Gosia wraca ze wsi nazajutrz rano i jest gotowa się z nim spotkać. zaproponował jak zwykle hotelową restaurację, ale dziewczyna uznała, że podejmie go u siebie. Być może akurat w tym przypadku restauracja w hotelu była dla niej miejscem bardziej ryzykownym dla ewentualnej konfrontacji z przeszłością. Kuba zjawił się punktualnie, wiem, bo czatowałam przy oknie. Nie muszę chyba opisywać, jak bardzo denerwowałam się podczas ich spotkania i co wyczyniałam, żeby jakoś przetrwać ten czas. Wspomnę tylko, że wypolerowałam każdy sprzęt w mieszkaniu, każdy bibelot, umyłam też, listek po listku, wszystkie doniczkowe kwiaty. Chciałam, żeby Gosia odzyskała wille i za jej pomocą mogła zrealizować swoje plany. To jedno. Inna rzecz, że miałabym ogromną satysfakcję, gdyby pazerne siostry Jakuba musiały zwrócić wszystko, z czym już tak dobrze się poczuły. Byłam również ciekawa, czy uczucie młodego Majcherka do córki jednej z nich przetrwałoby tę próbę...

Akurat stałam na środku przedpokoju, rozważając, czy wziąć się za mycie okien, czy może lepiej za wyprodukowanie kolejnego gara bigosu, gdy usłyszałam na klatce damsko-męskie głosy. Podbiegłam do wizjera i oto ujrzałam tuż pod swoimi drzwiami Gosię z Kubą.

Jak tylko dziewczyna nacisnęła dzwonek (bo przecież nie mogłam pozwolić sobie na falstart), wpuściłam ich do środka. Pierwszy odezwał się Kuba:

– Ja w zasadzie wpadłem się tylko pożegnać, pani Doroto. – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę w moją stronę. – Ostatnie dwa dni pobytu w Polsce spędzę w Zakopanem, nie mogę sobie tego odmówić. A skoro mi się same

wygospodarowały, grzech by było nie wykorzystać ich na relaks. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, ale myślę, że dzisiejszy dzień mi na to wystarczy.

Słuchałam jego słów z uwagą, ale mój wzrok skupiony był raczej na Małgorzacie. Usilnie próbowałam wyczytać z jej twarzy rezultat ich spotkania, ale niestety minę miała taką, która mogła oznaczać zarówno dobre, jak i złe zakończenie.

– Mam nadzieję, że się dogadaliście w sprawie spadku? – spytałam, choć może nie powinnam.

– A to już Gosia pani opowie – odparł Kuba, jeszcze raz uściśnął mi dłoń, podziękował za wszystko i poszedł.

– Też mam nadzieję, że Gosia mi opowie – oznajmiłam i pociągnęłam dziewczynę w głąb mieszkania.

– Dogadaliśmy się, mówię od razu, bo mocno obawiam się o pani zdrowie – rzuciła, jej zdaniem, całkiem dowcipnie. – Zrobić kawę?

– Zrób – odparłam i uniosłam się honorem, nie pytając już o nic.

– No więc... Wyszło z tego coś w rodzaju kompromisu – relacjonowała Gosia, krzątając się po kuchni. – Nie wiem, czy panią to usatysfakcjonuje, bo nikt przy tej okazji nie zginie, nie wylądjuje pod mostem ani też nie zacznie przymierać głodem...

– Chryste, ależ sobie zmiję na piersi wyhodowałam – mruknęłam pod nosem.

– No cóż – zaśmiała się Gosia. – W każdym razie uczeń nie przerósł jeszcze mistrza...

– Doprawdy? A zapomniał już może wół, jak lał po mordach, kogo popadło? Chyba nie powiesz mi, że to była moja szkoła? – zauważyłam rzeczowo.

– Okej, przepraszam, kochana pani Doroto. – Dziewczyna cmoknęła mnie w policzek. – To tylko żarty, bo jestem... w bardzo dobrym humorze!

Posłodziłam swoją kawę i mieszałam ją długo oraz starannie. Obiecałam sobie, że nie będę jej ponaglać, i zamierzałam dotrzymać słowa. Gosia również od dłuższego czasu gmerała w swojej filizance, czekając na pytania. Skapitulowała jako pierwsza.

– Stało na tym, że baba, która zagarnęła willę, zapłaci za nią po prostu. Porobiła już tam jakieś swoje inwestycje, więc niechaj sobie w niej siedzi, jeśli chce. Kuba mówi, że stać ją na to, więc uznałam, że jeśli wypłaci mi połowę jej wartości, będzie w porządku.

– Dlaczego... połowę? A samochody? Ten po Jakubie i ten, który kupił tobie? – oburzyłam się.

– Bo nie chcę więcej, niż jest mi potrzebne. I nie chcę już żadnych zatargów ani z siostrami Jakuba, ani z Majcherkami. Taka kwota wystarczy mi na mój wkład do nowego mieszkania. Może nawet na meble. Ja wiem, że taki obrót sprawy nie zaspokaja pani poczucia sprawiedliwości, ale proszę, niech pani nie krytykuje

mojej decyzji, bo to i tak nic nie da. Zresztą Kuba pobiegł już wszystko załatwić.

– Myślisz, że te zołzy zgodzą się na podobne rozwiązanie? – spytałam, powątpiewając w ich dobrą wolę.

– Chyba nie mają wyjścia. Albo dostaną ten dom za połowę jego wartości i wszystko, co zagarnęły, a nie należało się im, albo nie dostaną nic. I jeszcze mogą odpowiedzieć za swoje czyny przed sądem. To im się nie opłaca.

– Masz rację, Gosiu. Oczywiście, masz rację – przyznałam. – Nie zamierzam krytykować twojej decyzji. To był... impuls jedynie – roześmiałam się, w gruncie rzeczy zadowolona z takiego obrotu sprawy i swojego w nim udziału.

– Jeśli zaś chodzi o sprawiedliwość – Gosia uśmiechnęła się tajemniczo – i tej stanie się zadość. Zobaczysz pani.

– Samo się stanie? – spytałam ciekawa, co też ona wykombinowała.

– No bo proszę zauważyć: starsza z siostr, trochę mniej pazerna i ewidentnie mądrzejsza, wzięła sobie tę mniejszą, ale legalną część spadku. Młodszej natomiast dostało się wszystko, co powinnam dostać ja. Tak się podzieliły. A teraz będą musiały podzielić się jeszcze raz. I chyba nie odbędzie się to zbyt pokojowo. Kuba zwrócił mi na to uwagę.

– Też ładnie – skomentowałam i dopiłam swoją kawę.

ROZDZIAŁ X

Ślub i feralne imieniny

Niestety przyszło na to, że w końcu trzeba było wysterylizować kota. Tu znów aktualna staje się teoria mojej przyjaciółki ze studiów o obiektywizmie sądów i postaw, ponieważ dopóki sama nie miałam kota, byłam zdecydowanie przeciwna takim praktykom – w przypadku kocurów, rzecz jasna. Nie uważałam ich za celowe, ponieważ to nie one rodziły niechciane (przez ludzi) potomstwo na potęgę, co najmniej dwa razy do roku. Ponadto Bu nie wychodził z domu, a jeśli już, to pod moim ścisłym nadzorem, prowadzony na smyczy. Po co więc miałabym go okaleczać? Jednak przeżywszy już czterokrotnie okres jego miłosnych zapałów, postanowiłam, że dość tego. Cierpiał bardzo wskutek niemożliwości realizacji naturalnego popędu, a ja razem z nim. Doszłam więc do prostego wniosku: nie będzie popędu, nie będzie cierpienia. Umówiłam o stosownej porze wizytę u weterynarza, zapakowałam mojego burasa w transportówkę i udaliśmy się za pomocą komunikacji miejskiej do celu. Biedny kot po raz pierwszy znalazł się w gabinecie weterynarza. Bo kontakt z kocim doktorem miał już za sobą, ale w moim domu i co za tym idzie – było mniej stresu.

– Mam nadzieję, że mi to kiedyś wybaczysz – szepnęłam, gdy lekarz wyciągał go z koszyka.

– Pewnie, że wybaczy, choćby nie chciał – zaśmiał się weterynarz. – Koty mają krótką pamięć, proszę pani.

– Ale nie mój – odparłam, mając na uwadze stosunek Bu do sąsiada z dołu. Ilekroć gdzieś natknęliśmy się na niego wspólnie, kot jeżył się, prychał i w ogóle dostawał jakiejś nadzwyczajnej wścieklizny.

– Każdy właściciel kota tak mówi – odparł weterynarz i uśmiechnął się z wyższością.

Jeszcze trochę, a wyrwałabym mu kota z rąk, zważyłam bowiem w jego kompetencje.

Boże, jak dobrze, że nie obdarowałaś mnie dzieckiem – pomyślałam wówczas. – Bo niejeden lekarz zginąłby na pewno z moich rąk. Pediatra czy weterynarz, wszystko jedno. Choć weterynarzowi pewnie mniej groziło z mojej strony.

Asystowałam przy usypianiu kota, przytrzymałam go i dodawałam otuchy w czasie robienia zastrzyku. A potem, gdy zaczął robić się taki wiotki, jakiś taki... zimnawy, byłam gotowa zabrać go pod pachę, odwieźć do domu, ocucić i przeprosić. Powstrzymała mnie od tego asystentka lekarza.

– ...a poza tym właściwie może pani wrócić do siebie, kota można będzie odebrać rano, gdy się już wybudzi – zakończyła uświadamianie mnie w tej kwestii. Powlokłam się więc do domu na piechotę, żeby jakoś zabić choć część czasu oczekiwania do rana.

Bu odebrałam o ósmej (z minutami koniecznymi na formalności), bo o tej porze otwierają lecznicę. Uzbrojono go w kołnierz mający uniemożliwić mu lizanie pooperacyjnej rany. Oczka miał otwarte i patrzył nimi na mnie z... miłością! Obawiałam się wyrzutów z jego strony, on zaś obawiał się pewnie, że już nigdy mnie nie zobaczy. Do domu wróciliśmy taksówką. Kot nie bardzo chciał pogodzić się z kołnierzem, w końcu dał za wygraną. Przez całą najbliższą dobę tylko jadł i spał. Na szczęście nie spełniły się prognozy weterynarza, że mógłby się w sprzyjającym momencie swojego zabezpieczenia pozbyć, a następnie samemu wyjąć szwy. Myślałam, że Bu będzie miał do mnie żal o to, co mu zrobiłam, ale on lgnął do mnie nieustannie, domagając się przytulania i noszenia na rękach. Widać wszystkie swoje pretensje pozostawił w gabinecie weterynarza. I dobrze.

Opieka nad Bu i dbanie o jego wygodę oraz bezpieczeństwo zajęły mi kilka dni. W tym czasie nie miałam żadnego kontaktu z Małgorzatą, może to i dobrze, bo ta znów pewnie zaczęłaby się wymądrzać na temat praw i obowiązków kota, zaobserwowanych u siebie „na wios-ce”. Tak więc świetnie się złożyło, że gdy pojawiła się u mnie, bez zapowiedzi (!), razem z młodym, niezwykle przystojnym mężczyzną, z Bu było już wszystko w porządku.

– Możemy? – spytała dziewczyna zza progu, a jej twarz jaśniała niemal nieziemsko.

– Jasne. – Zaprosiłam oboje do środka wymownym gestem.

– My tylko na chwilkę, pani Doroto. – Gosia podała mi podłużną, białą kopertę.

Otworzyłam ją i od razu odczytałam znajdującą się wewnątrz informację. To było zaproszenie na ślub. A facet obok był niewątpliwie jej przyszłym małżonkiem.

– Nie zapomniałaś o czymś? – spytałam, uśmiechając się szeroko.

– A, tak, oczywiście! – zreflektowała się dziewczyna. – To jest Miłosz, mój narzeczony – dokonała spóźnionej prezentacji.

– Bardzo mi miło – odparłam szablonowo. – Ale wejdźcie może choć na chwilę?

– Nie, nie możemy, pani Doroto, mamy jeszcze trochę zaproszeń do rozniesienia...

– I rozwiezienia – dodał Miłosz.

– Czyżby kroilo się jakieś większe wesele?

– Raczej nie, będą wyłącznie najbliżsi – odparł mężczyzna.

– Moja i jego rodzina, kilku przyjaciół – uzupełniła Gosia. – Pani oczywiście na czołowym miejscu!

– Dziękuję pięknie – odparłam, nie wiedząc, czy aby na pewno na takie miejsce sobie zasłużyłam.

Nie polemizowałam z jej zdaniem na mój temat, choć czasem miałam wrażenie, że Gosia ma o mnie znacznie lepsze mniemanie, niż mi się w istocie należało. Gdyby jednak przyznać słuszność powiedzeniu, że cel uświęca środki, opinia Gosi na mój temat byłaby znacznie bliższa prawdy. Bo czasem te środki były istotniejsze od celu, na przykład mój wkład w sprawę odzyskania przez nią spadku...

– Dziękuję, kochani – odpowiedziałam, zmieszana właśnie odkrytą konkluzją. – Będę na pewno.

Ślub Miłosza i Małgosi zaplanowany był wczesną wiosną, by oboje mogli zacząć kolejny semestr już na nowej uczelni, tu zaś pozamykać wszystkie dotychczasowe sprawy, a przez wakacje urządzić się w nowym mieszkaniu. Miasto, do którego się przeprowadzali, było mniejsze i cichsze, uczelnia mniej prestiżowa, bo prywatna, ale pozwalająca więcej zarobić na etacie wykładowcy. Małgosia natomiast i tam mogła dokończyć swoją edukację na wybranym kierunku.

Narzeczony Gosi działał w tej sprawie prężnie i konsekwentnie. Ona też nie marnowała czasu, uporała się z formalnościami spadkowymi, spłaciła resztę pozostałego kredytu i w sumie pod względem finansowym gotowa była na nowe życie. Młodym się niewątpliwie śpieszyło: mieszkanie, które udało im się znaleźć, z opowiadań Małgosi przestronne i w ładnym miejscu, wymagało jednak pewnej kosmetyki. Na gwałt kładli więc teraz w nim podłogi, instalowali urządzenia sanitarne i kuchenne, tapetowali ściany. I doglądali robotników. Dziewczyna wpadała do mnie od czasu do czasu jak burza, przysiadła na kraju fotela i relacjonowała podniecona wszystko, co się nowego zdarzyło.

– Miłosz jest najwspanialszym facetem na świecie – konkludowała każdorazowo. – Kocham go jak wariatka, pani Doroto!

Najnowszy odcinek opowieści z cyklu „Miłosz jest najfajniejszym facetem na ziemi” mógłby nosić tytuł: „Wszystko przewidzi, o wszystkim pomyśli”.

– Bo wie pani, nasz ślub odbędzie się już tam, w malutkim kościele na peryferiach miasta. Przyjęcie natomiast w domu weselnym, całkiem niedaleko. Miło, cicho i romantycznie. Sama nie mogłabym lepiej tego wymyślić i urządzić – zachwyciła się.

Cieszyłam się, rzecz jasna, jej szczęściem, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że nasze kontakty ulegną teraz znacznemu rozluźnieniu. Przywykłam już do tej dziewczyny i jej nieustających perypetii, wnoszących w moje życie nieco ożywczej energii. Byłam jednak, jak ona, zwolenniczką maksymy: co los da,

człowiek weźmie.

– Wie pani – stwierdziła przy którejś ze swoich szybkich wizyt. – Tak sobie myślę, że wszystko, co mnie w ciągu ostatnich lat spotkało, prowadziło mnie do Miłosza. I że gdybym nawet miała możliwość zmienienia czegokolwiek, nie mogłabym tego zrobić, bo nie znalazłabym się teraz w sytuacji, w której jestem. Naprawdę. Nie mówię tego, żeby się z czegokolwiek tłumaczyć, ale przecież pani zna moje życie, więc niech pani sama powie...

– Nasze losy są niewątpliwie ułożone w jakiś ciąg przyczynowo-skutkowy – potwierdziłam. – I wiesz, też się kiedyś nad tym zastanawiałam: gdyby zmienić choćby jeden najdrobniejszy element w swojej przeszłości, pociągnęłoby to za sobą nieprzewidziane skutki. Nawet gdybyśmy tych zmian dokonywali niezmiernie ostrożnie. Powiedzmy, że nie wyszłabym za mojego męża. Być może w moim życiu zmieniłoby to niewiele, ot, po prostu, nie byłoby w nim faceta, który swego czasu napsuł mi trochę krwi, ale z pewnością jego życie uległoby już sporym przeobrażeniom. I tej, która zamiast mnie wyszłaby za niego. I tego, który obecnie jest jej mężem. Bierz więc, Gosiu, to, co jest, i dziękuj za wszystko Opatrzności – podsumowałam. – I jej też zostaw ocenę swoich poczynań.

Być może mentalność, którą Małgosia miała okazję po wyjeździe ze swojej wioski dopuścić do głosu, to sprawiła, może nasze częste spotkania i rozmowy, a może humanistyczne studia i multum lektur obowiązkowych i nieobowiązkowych – w każdym razie sposób postrzegania ludzkiej egzystencji i wszelkich wpływających na nią uwarunkowań był nam coraz bliższy. I o ile ja w jakiś sposób wpływałam na życie Gosi, o tyle ona wpływała na moje w tym samym stopniu. Z tym że ja bardziej w teorii, ona zaś w praktyce.

Następnym etapem wkraczania Małgorzaty w nowe życie był wybór sukni ślubnej. Beze mnie się nie obeszło, a jakże.

– Myśli pani, że powinnam mieć białą, z welonem? – To był jej pierwszy, aczkolwiek przewidziany przeze mnie dylemat w tym temacie.

– Powinnaś. Pierwszy mąż, pierwszy ślub, taka jest tradycja – odparłam, omijając zgrabnie sedno sprawy.

– Taką... śnieżną? Czy może kremową? – drążyła Gosia.

– A jaką byś chciała? – odpowiedziałam pytaniem.

– Śnieżną...

– No więc taką sobie spraw – odparłam z lekką irytacją.

Takie i im podobne wątpliwości Gosia miewała co jakiś czas. Postanowiłam się z nimi rozprawić raz na zawsze, jednym szybkim cięciem skalpela. Bez znieczulenia...

– Daruj, Gocha, ale czasem mi się zdaje, że te twoje skrupuły są jakieś wybiórcze...

– Bo? – Dziewczyna spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kochasz Miłosza? Kochasz. Przyjęłaś jego oświadczyzny? Przyjęłaś. I jeśli na to pozwoliło ci wrażliwe sumienie, nie masz co robić ceregieli względem rzeczy podrzędnych. A zatem skoro już bierzesz ten ślub, w kościele, z całą paradą i dzwonami, możesz włożyć sobie na głowę wieniec wielkości koła od traktora i uczepić u niego welon jak stąd do Bydgoszczy. Rozumiesz? Bo jeśli już masz się w którymś miejscu wahać, to nie przy takich duperelach jak suknia oraz welon!

Ostatnią sentencję niemal wykrzyczałam. Małgorzata patrzyła na mnie zastygła w żywy kamień i jakby się zastanawiała, czy nie powinna się rozplakać. Nagle w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia czy raczej aprobaty dla moich słów i stan martwoty opuścił ją w jednej chwili.

– Ma pani rację, pani Doroto – powiedziała. – Jak zwykle zresztą. Pewnie, że tak. Suknia to tylko suknia w końcu. Nic zobowiązującego.

– O tym właśnie ci mówię – podsumowałam.

Konsekwencją powyższej rozmowy, a może już wcześniejszego planu Gosi, było naleganie, abym pomogła jej suknię ślubną wybrać. Nie bardzo mi się to uśmiechało, wołałam zobaczyć Gosię już gotową do zamążpójścia, w pełnym rynsztunku. Trochę było mi również nieswojo, że wyřęczałam w tak ważnych czynnościach jej matkę. Szczerze mówiąc, w przeszłości, gdy Małgorzata zdawała się na mnie w różnych sprawach, nie odnosiłam wrażenia, że odbieram coś jej rodzicielce. Teraz jednak przyszło mi to do głowy.

– Małgosiu, nie miej mi za złe, że spytam, ale czy nie sądzisz, że ślubny strój powinna pomóc ci wybrać mama lub któraś z sióstr?

Dziewczyna spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Owszem, i gdybym tylko mogła się na nie zdać, tak by z pewnością było.

– Nie możesz? – spytałam, choć może powinnam zakończyć temat.

– U nas w domu jest suknia ślubna. Haliny, najstarszej siostry. Welon, stroik, rękawiczki, pantofle. W niej wychodziły za mąż wszystkie kolejne siostry i bratowe. Po każdym weselu pakują to wszystko do wora i wieszają na strychu pod powałą. Ja bym się nie mogła nawet wykpić innym rozmiarem, bo wszystko, łącznie z obuwem, pasowałyby na mnie jak ulał. Nawet gdyby nie, to Bogusia, młodsza z sióstr, jest krawcową i jeśli którejś coś nie pasuje, poszerza lub zwęża, wedle potrzeby...

– Ale przecież ta praktyka wynika wyłącznie z oszczędności – zauważyłam.
– Ty sobie możesz pozwolić na nowe rzeczy.

– Co z tego? Na wsi, pani Doroto, nie wiem, czy każdej, ale u nas na pewno, jeśli coś się wydarzy w rodzinie najmniej dwa razy z rzędu, staje się tradycją. Tradycja świętością, a działania wbrew tej świętości herezją. I nieważne, skąd wziął się dany zwyczaj, z biedy, głupoty czy innej siły wyższej – nie ma zmiłuj.

A ja nie chcę brać ślubu w koronkowej galabii ze stójką pod szyją i welonie upiętym na czubku głowy sztuczną chryzantemą...

Nie wytrzymałam w końcu i wybuchnęłam śmiechem.

– W porządku, wybiorę się z tobą do salonu, a nawet kilku, jeśli będzie trzeba – zapewniłam Małgosię, która teraz już razem ze mną chichotała radośnie.

Niestety, nie obeszło się bez pewnych zgrzytów. Wbrew temu, czego można było się spodziewać, na weselu, w którym brać miała udział inteligencka rodzina pana młodego i, delikatnie mówiąc, dość zwyczajni krewni panny młodej, ci drudzy poczuli się urażeni przez tych pierwszych. Przyjęcie w istocie było dość niewielkie i na trzydziestu planowanych gości ze strony panny młodej zostało zaproszonych ośmiu: rodzice, rodzice chrzestni, najstarsza siostra z małżonkiem i młodsza, z chłopakiem. Gdyby Małgorzata chciała zaprosić całe swoje rodzeństwo ze współmałżonkami i potomstwem, liczba gości z jej strony przekroczyłaby znacznie limit wszystkich przewidzianych miejsc. To jedno – drugie zaś, że tylko wyżej wymienione osoby w miarę nadawały się do publicznej prezentacji. Poza rodzicami może, ale tych się nie wybiera. Ja nie wiem, czy Gosia wstydziła się swojej rodziny, czy raczej nie chciała narażać imprezy na nieprzewidziane wydarzenia, mogli przecież z Miłoszem zorganizować wesele na tyle osób, na ile było trzeba. I jakoś to przetrzymać. Widać jednak dziewczyna wolała wziąć po fakcie „na klatę” wszystkie pretensje swojej rodziny, niż psuć sobie ten jedyny w życiu dzień.

A dzień ten, jak na początek kwietnia, był przepiękny: ciepły, słoneczny, pod stopami zieleniła się już młodziutka trawa, drzewa natomiast, w zależności od gatunku, pokryte były wątlym jeszcze listowiem lub choćby pąkami pierwszych listków. Małgorzaty nie prowadził do ołtarza ojciec, przebyła tę drogę od drzwi kościoła z narzeczonym pod rękę. Wyglądała olśniewająco: krucze włosy, uczesane gładko do tyłu i zwieńczone na karku skromnym kokiem, ozdabiał równie skromny welon: długi, zwiewny tiul bez zbędnych ozdób, kończący się przy ziemi wraz z rąbkiem śnieżnobiałej sukni: tradycyjnej bezy. Odślaniający ramiona dekolot uwydatniał zgrabny gors dziewczyny, jej długą, smukłą szyję, misternie zaznaczone po obu jej stronach obojczyki, aksamitną, smagłą skórę. Spośród wszystkich panien młodych, jakie w życiu widziałam, był to jedyny przypadek, gdy to dziewczyna była ozdobą ślubnej kreacji, nie zaś na odwrót.

Stałam w jednej z pierwszych ławek, zwrócona w stronę idących w rytm marsza Mendelssohna młodych, a moje wzruszenie brało górę nad rozsądkiem. Bo przecież – ten podpowiadał mi chłodno – panna młoda nie była dla mnie nikim bliskim, nikim znaczącym. Ale była – polemizowały z nim natychmiast moje uczucia. Tak czy inaczej, ślub Małgorzaty, ślub – nie wesele – był jednym

z piękniejszych obrazków, jakie w życiu widziałam. Bo Miłosz, jej wybranek, równie pięknie się prezentował: wysoki, smukły i zgrabny – jasny szatyn dla kontrastu – w ciemnostalowym, idealnie dopasowanym do sylwetki garniturze i tradycyjnej, białej koszuli, wyglądał raczej jak model ze ślubnego żurnala niż skromny doktor socjologii z państwowego uniwersytetu. Wszystko było na tym ślubie tak zgrane i dopasowane, jakby samo przeznaczenie zadbało o najmniejszy nawet szczegół.

Ale żeby nie było zbyt idealnie, nieco gorzej wypadła weselna zabawa. Nie bardzo i być może nie dla wszystkich zauważalnie, aczkolwiek dla mnie i owszem.

– Myślałam, że już tej chwili się nie doczekam – oznajmiła między rosołem z makaronem a drugim daniem mama Małgosi – a tu masz! Najgłupsze moje dziecko i żeni się! Ostatni już dzwonek na nią, ale dobrze, bo nie ma w rodzinie gorszego nieszczęścia jak stara panna, co nie, Gabryś?

– Może i najgłupsze, ale za to z urody niczego! Po mnie, rzecz oczywista – zaprotestował jej ojciec, Gabryś. – Bo co tam chłopu z babskiej mądrości, aby z kształtu zachęcająca była, cicha, przyjemna w obejściu i robotna. Ty, Wieska, na szczęście rozumem nie grzeszysz, ale resztę masz, dzięki Bogu, na swoim miejscu. I o to się rozchodzi, mam rację, zięciu? – próbował zaangażować Miłosza do dysputy.

– Dla mnie Małgosia cała jest jak wymarzona, i z urody, i z intelektu – odparł Miłosz, zgodnie z własną prawdą i dla świętego spokoju zarazem.

Ojciec Małgosi, niekoniecznie zadowolony z odpowiedzi zięcia, ruszył między innych gości, szukając poparcia dla swych racji. Przysiadł się to tu, to tam, co rusz napełniał zabrany w tournée kieliszek i poklepywał po ramieniu nieodstępującą go na krok małżonkę. Od czasu do czasu do moich uszu docierał jego tubalny głos:

– Z urody po mnie, z mądrości po matce!

– Grunt, Gabryś, że starą panną nie została – dawał się słyszeć za każdym razem komentarz jego małżonki.

Zgrzyt, o którym wspomniałam, polegał na tym, że Gabryś i Wiesława nie znaleźli pośród weselnych gości godnych siebie rozmówców ani też współwyznawców prezentowanych przez siebie poglądów. Obrazili się więc na córkę i na zięcia, bo uznali taki obrót sprawy za ewidentny brak szacunku dla siebie.

Młodzi jednak nie bardzo się tym przejęli. Gosia – bo znając swoją rodzinę, pewnie spodziewała się czegoś podobnego, Miłosz – bo nic poza właśnie poślubioną małżonką go nie interesowało.

– Wyżej toto sra, niż dupę ma – skomentował mocno już podpity ojciec Małgosi, wracając na swoje miejsce przy stole, naprzeciw państwa młodych.

– Nie trap się, Gabryś, w końcu rodziny zięcia się nie wybiera – pocieszyła

go małżonka. – Grunt, że Gośka starą panną nie została...

Zanim młodzi przeprowadzili się do nowego mieszkania, upłynął jeszcze co najmniej miesiąc. Miodowy miesiąc – spędzony w kawalerce Miłosza. Małgorzata wpadała od czasu do czasu po coś do swojego mieszkania, nie było bowiem sensu tachać czegokolwiek do kawalerki małżonka, by w niedługim czasie przewieźć wszystko w jeszcze inne miejsce. Przy tej okazji odwiedzała mnie dość regularnie. Była naprawdę szczęśliwa. Radosna, beztrioska, a przy tym jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj.

– Pani Doroto, czy pani wie o tym, że życie bywa piękne? – pytała od czasu do czasu.

– Pewnie, że bywa. Moje też bywało – odpowiadałam mniej więcej w tym stylu.

– Moje będzie zawsze – śmiała się z mojej niezbyt optymistycznej konkluzji.

– Oby, oby! Ale wiesz, zawsze trzymaj rękę na pulsie i nie puszczaj ani na chwilę!

To były z mojej strony żarty, niewinne przekomarzanie się, jednak kiedy myślę o tym teraz, z perspektywy czasu – zdecydowanie nie na miejscu. Wówczas nic nie było w stanie zachwiać ani mojej, ani Gosinej pewności i wiary w jej nieustające małżeńskie szczęście, i wszelkie „gdybanie” na ten temat miało najwyżej wymiar... swego rodzaju kokieterii. Bo cóż takiego mogło się wydarzyć, by je zburzyć lub choćby zakłócić? Nic. Po prostu nic... Miłość Gosi do męża była z rodzaju tych niezłomnych, багаż jej życiowych doświadczeń i rodzinne wzorce dawały jej siłę i doświadczenie w ewentualnych potyczkach z przeciwnościami losu, a jej uroda, wrażliwość i dobroć (po raz pierwszy używam w stosunku do niej tego określenia) byłyby w tych potyczkach niezwyciężalnym orężem. Jej mąż natomiast świata poza nią nie widział i nic nie rokowało, że w najbliższym czasie go dostrzeże...

– Pani Doroto, czy mogę powiedzieć pani coś osobistego? Ale tak... bardzo osobistego?

– Słucham – odparłam, a ona się zarumieniła.

– Właściwie teraz dopiero wiem, na czym polega miłość fizyczna z mężczyzną, jak ważna i... cudowna jest ta sfera – wyznała. – Nigdy dotąd nie traktowałam tych spraw w kategoriach przyjemności i nawet nie bardzo dowierzałam, że mogą być takie... A są! Jak się kocha, to... jest to taki niesamowity odlot, coś niemal... nadprzyrodzonego. Wie pani?

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Ale nie bardzo pamiętam.

– Dlaczego pani nie chce znów ułożyć sobie życia? – wypaliła nagle. – Przecież coś takiego jak miłość nie jest zarezerwowane wyłącznie dla młodych...

– Dobrze to ujęłaś. Nie chcę – bo nic innego nie stoi mi na przeszkodzie. Głównie z lenistwa i wygody, Małgosiu. Gdybym zdecydowała się na jakiegoś faceta, musiałby być na tyle wyjątkowy, że takich po prostu nie ma.

– Na przykład?

– Musiałby niczego, ale to dosłownie niczego ode mnie nie wymagać. Z pewnością nie chciałabym z nim mieszkać, więc spotykać moglibyśmy się wyłącznie dorywczo i tylko wówczas, gdy ja miałabym na to ochotę. Żadnych wspólnych kolacji ze śniadaniem i w ogóle niczego wspólnego.

– Czyli? – Małgosia spojrzała na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

– Czyli teatr, kino, kawiarnia, intymne chwile, gdyby do takich doszło – bez zostawiania na noc. Tak to widzę. I nie sądzę, żeby znalazł się jakiś mężczyzna, który widziałby rzecz podobnie. I nie zamierzam go szukać, to przede wszystkim.

– Doprawdy? I... nie brakuje pani tego? Wcale a wcale?

– Może gdybym nie przeżyła dotąd swojej porcji tego szaleństwa, mogłoby mi brakować. Ale z wiekiem priorytety się zmieniają. Bez pewnych rzeczy można się obejść.

– Ależ ma pani raptem pięćdziesiąt lat! – oburzyła się Gosia.

– Raptem? – zaśmiałam się, autentycznie rozbawiona. – Nie jestem więc już twoim zdaniem starszą panią?

– Niechże pani mi tego nie wypomina – zmieszała się Gosia. – Poznałam na uczelni studentki w przybliżonym do pani wieku. I szczerze mówiąc, z nimi najlepiej się dogadywałam, były zdecydowanie pilniejsze, a jednocześnie równie rozrywkowe jak te laski, którym, gdy siedziały na wykładach, stringi wylaziły spod spodni. Wcześniej postrzegałam takie babki z perspektywy tych z mojej wioski. A to są rzeczywiście starsze panie. Starsze od samych siebie – podsumowała.

– No i masz, jak to się ludziom punkt widzenia modernizuje – roześmiałam się, mina Gosi natomiast sprawiła, że trudno mi było przestać.

– To chyba dobrze, że modernizuje, a nie uwstecznia – bąknęła zażenowana, jeszcze nie wiedząc, co powinna sądzić o mojej reakcji.

Kiedy młodzi wyprowadzili się „na swoje”, zaczynał się kolejny rok akademicki. Oboje mieli w związku z tym dość sporo pracy, Miłosz wdrażał się w nowe środowisko zawodowe, Gosia zaczynała pisać pracę magisterską. Rozmawiałymy więc już tylko przez telefon, krótko i zdawkowo. Dziewczyna dzwoniła do mnie regularnie i informowała, co słyhać, bez względu na to, czy wydarzyło się coś nowego, czy nie. Za każdym razem obiecywała, że wkrótce mnie odwiedzi, jednak miała tak wiele zajęć, że odkładała swoją wizytę od rozmowy do rozmowy. Koniec końców to ja odwiedziłam ich. Zaprosili mnie do siebie na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, na spóźnioną parapetówkę. Nas

właściwie, bo Bu też został wzięty pod uwagę. Upięklam więc kilka rodzajów ciasteczek i zrobiłam sernik na zimno – ulubione ciasto Gosi, spakowałam kota w transportówkę i objuczona dwoma sporymi kosztami pojechałam w odwiedziny taksówką.

Mieszkanie Gosi i Miłosza było rzeczywiście przestronne i bardzo nowoczesnie urządzone. Prostota i minimalizm umeblowania sprawiały, że wydawało się jeszcze większe. W doborze kolorów, sprzętów i ozdób znać było gust pani domu: wszystko było wysmakowane i współgrające ze sobą. Jednym słowem: bardzo ładne, chociaż ja osobiście gustuję w stylowych wnętrzach, pozornie chaotycznych, ale przytulnych i ciepłych. Tak nie mogłabym mieszkać, ale też nie wyobrażałam sobie, by Gosia i jej mąż zaaranżowali swój dom w inny sposób.

Miło było mi oglądać dziewczynę w roli radosnej gospodyni i żony krzątającej się w swoim wymarzonym „królestwie”, co chwilę odpowiadającej spojrzeniem na czułe spojrzenie małżonka. Dlatego między innymi przyjął ich zaproszenie, by móc stać się dziś widownią dla jej szczęścia. Miłość bywa bowiem ekshibicjonistyczna i poza chwilami uniesień spędzonymi we dwoje lubi czasem pokazać się światu, poobnosić dumnie ze swoim istnieniem.

Małgorzata przygotowała się do naszej wizyty bardzo solidnie i, rzec by można, po staropolsku. Co chwilę serwowała coś do jedzenia, to na ciepło, to na zimno, to znów na słodko. Jeden ze swoich designerskich foteli przystosowała specjalnie dla Bu: okryła go miękkim, puszystym kocem i wymościła kilkoma niewielkimi poduszeczkami w różnych kształtach. Z jego poręczy zwisała sztuczna, fioletowa mysz. Bu miał również własną zastawę: miskę z ulubioną karmą oraz miskę z... mlekiem. Nie skomentowałam tego faktu. W końcu – uznałam – w czasie świąt każdy ma prawo odżywiać się niezdrowo. Kot natychmiast skorzystał z tej możliwości, najadł się i resztę wizyty przekimał w fotelu. Miał już w końcu ponad cztery lata i coraz częściej przedkładał zdrowy, mocny sen nad płoche harce.

Wieczór zahaczający o noc spędziłam z młodymi bardzo miło, na rozmowach, żartach i wygłupach, a nawet wspólnym kolędowaniu. Jedyne dyskomfort, jaki odczułam w czasie tej wizyty, był związany z nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu. Trudno było jednak o umiarkowanie, gdy gospodarze na zmianę podsuwali mi własnoręcznie sporządzone potrawy. Już samo próbowanie każdej z nich napełniło mój żołądek po brzegi.

Wbrew naleganiom Gosi nie zostałam u nich na noc. Nie ma bowiem jak własne łóżko i – w razie czego – własna łazienka. Tak zdecydowałam, uparłam się i wprowadziłam swoją decyzję w czyn. Miałam nadzieję, że drogę powrotną będę miała lżejszą o wałówkę, którą dla nich wiozłam, niestety, wyprowiantowana zostałam jeszcze sówiciej: w żarełko dla siebie i dla kota.

Moje ostatnie spotkanie z Małgorzatą miało miejsce w lutym, dokładnie w moje imieniny. Zadzwoiła do mnie tego dnia i spytała, czy może wpaść na chwilę. Ucieszyłam się oczywiście i natychmiast zabrałam się za przygotowania. Szczerze mówiąc, raczej nie obchodzę imienin i nawet nie zawsze o nich pamiętam, chyba że akurat mam w tym dniu świadomość aktualnej daty albo powiedzą coś na ten temat w radiu czy telewizji. Kiedy więc zadzwoniła Gosia i oznajmiła, że chce złożyć mi życzenia osobiście, aż spojrzałam w kalendarz. Wszystko się zgadzało: dziś było święto Doroty, a Dorota to ja. Nie mając zbyt wiele czasu, poszłam na łatwiznę: w cukierni nabyłam gotowy tort, w hipermarkecie sałatki, wędliny i butelkę wermutu.

Małgosia przysłała, jak uprzedziła, punktualnie o osiem-nastej.

– A gdzie małżonek? – spytałam, gdyż liczyłam się z taką ewentualnością.

– Oj tam, oj tam. – Uśmiechnęła się Małgosia. – Bywają takie chwile, kiedy najwspanialszego nawet małżonka należy zostawić w domu.

– W sumie co racja, to racja. Wchodź zatem, rozbieraj się i zapraszam na salony.

Na zewnątrz panował dość znaczny mróz, Małgosia miała na sobie gustowne, łaciate futerko, ciepłe rękawiczki i botki obszyte kozuszką.

– Chyba nie przyjechałaś motorem? – spytałam, wiedząc, że do niej wszystko podobne.

– Ależ skąd. Autobusem, a nawet dwoma. Ale wrócę taksówką, jeśli będzie taka potrzeba. – Spojrzała wymownie na butelkę wermutu.

– Super. Mam nadzieję, że ci się tym razem nie śpieszy?

– Niezbyt drastycznie w każdym razie. Chciałabym jednak wrócić, zanim Miłosz zacznie się martwić.

– A o której zazwyczaj zaczyna?

– Nie wiem, nie miał jeszcze okazji – odparła Gosia i udała się do mojej sypialni, skąd wróciła z kotem w ramionach.

– Twoja pańcia ma dziś imieniny, wiesz, grubasie? – spytała, wtulając twarz w jego gęste futro. – Nie wiesz, oczywiście, bo takie osoby jak ty niezbyt się tym interesują, prawda?

– Nie róbże mu wyrzutów – zaśmiałam się. – Skąd on ma o tym wiedzieć, nieborak, skoro ja sama, gdyby nie ty, bym nie pamiętała...

– Wobec tego pamiętaj, kocie: szósty lutego, imieniny Doroty. To na wypadek, gdybym w przyszłym roku nie mogła ci przypomnieć...

Dziś, gdy wspominam tamten dzień, znajduję o wiele więcej podobnych, czynionych przez Gosię aluzji. I inaczej interpretuję sobie jej wygląd, jakże inny od tego, którym olśniewała w czasie świąt. Małgorzata, gdy już wreszcie usiadła przy stole i mogłam jej się przyjrzeć dokładniej, sprawiała wrażenie jakby chorej. Była blada, miała podkrążone oczy i smutny wzrok. Mimo iż jej usta często się śmiały,

spojrzenie dziewczyny kompletnie z nimi nie współgrało.

– Co z tobą, Gosiu? – spytałam po kilku toastach na moją cześć. – Zmizerniałaś jakby. A może... ty jesteś w ciąży, co?

– Nie, skąd. Gdybym była, pani byłaby drugą osobą, która by się o tym dowiedziała – zapewniła. – Mam mnóstwo nauki ostatnio. Poza tym pracuję na pół etatu, w redakcji lokalnej gazety jako sekretarka samego naczelnego – pochwaliła się.

– O? Wobec tego spełniło ci się kolejne życzenie – ucieszyłam się.

– To tymczasowa praca, taka po prostu, aby była. Nie szukam na razie niczego na poważnie. Odbieram telefony, mejle, umawiam spotkania...

– ...i parzysz kawę – zażartowałam.

– I parzę kawę – potwierdziła Gosia. – Jest całkiem sympatycznie, można się też czegoś nauczyć czy choćby dowiedzieć z pierwszej ręki. Pani Doroto...

– Tak?

– Bardzo się cieszę, że panią widzę. I w ogóle, że panią spotkałam w swoim życiu. Naprawdę.

Gosia ni stąd, ni zowąd poderwała się z krzesła i zawisła mi na szyi.

– Jeszcze raz wszystkiego, ale to wszystkiego najlepszego!

– No masz, upiła mi się dziewczucha – skomentowałam te jej czułości.

– Owszem, ale niewystarczająco – powiedziała Gosia jakoś dziwnie.

– Niewystarczająco do czego?

– Do uczczenia dzisiejszego dnia w takim stopniu, jak na to zasługuje. Chyba po powrocie do domu czymś poprawię.

– Daruj, ale moje imieniny niekoniecznie wymagają opilstwa do utraty przytomności – skomentowałam.

– Opilstwa niekoniecznie – odparła Gosia i napełniła nasze kieliszki resztką wermutu. – Pani zdrowie!

Dochodziła dziesiąta, gdy Gosia zadzwoniła po taksówkę. Gdy była już całkiem ubrana, tuż przed wyjściem, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej niewielki pakunek w ozdobnym papierze.

– A to mój prezent dla pani. Książka. Z pewnością pani czytała, ale chcę, żeby ją pani miała ode mnie. Proszę nie wrzucać jej między inne książki w swojej bibliotece. Niech będzie po prostu pod ręką, gdyby chciała pani kiedyś do niej wrócić. Proszę obiecać!

Miałam zamiar odwinąć książkę z papieru, ale Małgosia mnie powstrzymała.

– Nie, nie teraz. Jak wyjdę. Niedawno trafiłam na tę pozycję i przeczytałam dwa razy, jeden po drugim – oznajmiła, po czym odprowadziłam ją do taksówki.

Zaraz po powrocie na górę odpakowałam prezent, zaintrygowana słowami Małgosi. Moim oczom ukazało się piękne, najnowsze chyba wydanie „Damy kameliowej” Aleksandra Dumasa w twardej okładce. Ozdabiał ją portret pięknej

młodej dziewczyny z białą kamelią wpiętą w krucze włosy. Sama okładka była biała, obwiedziona misternym złotym ornamentem. Mogła, jak na ironię, wyglądać z daleka jak... modlitewnik. W każdym razie raczej nie jak biografia dziewiętnastowiecznej kurtyzany...

– A to ci dopiero – westchnęłam zaskoczona i zgodnie z prośbą Małgosi odłożyłam książkę na półkę biblioteczki, w widoczne miejsce.

Oczywiście znałam doskonale tę lekturę, toteż nie zamierzałam teraz do niej wracać. Tym bardziej że byłam obecnie dość mocno skupiona na własnej twórczości. Lubiłam jednak powieści obyczajowe z tego okresu i od czasu do czasu wracałam do którejś z nich. Po „Dame kameliową” postanowiłam sięgnąć zaraz po wywiązaniu się ze swoich literackich zobowiązań.

ROZDZIAŁ XI

Co się stało, Małgosiu?!

Nazajutrz, jak tylko uporałam się z efektami, jakie pozostawiła w moim organizmie wypita na spółkę z Małgosią flaszka wermutu, zasiadłam do pracy. Na zmianę kończyłam ostatni rozdział powieści i szlifowałam artykuł dla „Horizontu”. W międzyczasie sprawdzałam skrzynkę mejlową, na wypadek gdyby jeszcze wpadło mi coś do artykułu od moich czytelników. Nic na aktualny temat w nich nie było, otrzymałam natomiast wiadomość od osoby, która powoływała się na moje osobiste śledztwo dotyczące ducha Mai z Oławy. List był ciekawy i intrygujący, nie mogąc sobie jednak w tej chwili pozwolić na jeszcze większą dekoncentrację uwagi, postanowiłam odłożyć go sobie na później. W pamięci utkwiła mi jednak nazwa miejscowości, z której wywodziła się jego autorka: wieś Liche na Dolnym Śląsku.

Artykuł dotyczył tym razem proroczych snów i sprawdzających się przeczuć. Nazbierało mi się trochę listów na ten temat, postanowiłam zebrać je w całość, usystematyzować i opatrzyć własnym komentarzem. I mnie czasem zdarzały się podobne rzeczy, jednak moje sny sprawdzały się dopiero po bardzo długim czasie. Na przykład śniło mi się, że przeprowadzę się do mamy i kiedyś zostanę sama jak palec w jej mieszkaniu – już na kilka lat przedtem, ale za to kilka razy z rzędu.

Podobnie było w przypadku mojego wyjazdu nad morze, najkoszmarniejszych wakacji w moim życiu. Nie umiem pływać i nigdy do wody mnie nie ciągnęło, raz jedyny coś mi strzeliło do głowy, żeby zanurzyć się w morzu po pas. Nadpływająca fala pozbawiła mnie gruntu pod nogami, a gdy już się cofnęła, byłam na tyle daleko od brzegu, że tego gruntu już po prostu nie było. Doskonale pamiętam wszystkie myśli, jakie przebiegły mi wówczas przez głowę: lęk trwał zaledwie chwilę, potem nastąpiło zdziwienie, a następnie całkowite pogodzenie z sytuacją. Wiedziałam, że nie ma dla mnie ratunku. W zasięgu wzroku nikogo dookoła nie było i nie było również najmniejszej szansy na wydanie z siebie okrzyku. Dzięki tamtemu zdarzeniu wiem, że utonięcie to całkiem przyjemna śmierć: szłam sobie powoli na dno, okręcając się wokół własnej osi, i widziałam na zmianę zmacone tafle wody niebo bądź piaszczyste, nierówne dno. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, a ja skupiona byłam wyłącznie na widokach, jakie temu zdarzeniu towarzyszyły. Nie czułam żadnego dyskomfortu, bólu, paniki, duszności. Naprawdę okropnie poczułam się dopiero potem, gdy już leżałam na plaży i ktoś uciskał moją klatkę piersiową, a dookoła nade mną gromadzili się gapie. Pierwszy oddech był cholernie bolesny. I kilka kolejnych

również. Płuca paliły mnie żywym ogniem, wymiotowałam i plułam wodą, długo nie mogąc dojść do siebie. Jak tylko mi się polepszyło, a trwało to ze trzy dni, spakowałam się i wróciłam do domu. Wówczas z pełną jasnością przypomniał mi się sen sprzed paru lat, w którym odbywało się wszystko dokładnie tak samo. Miał on miejsce na tyle wcześniej, że zdażyłam o nim zupełnie zapomnieć. Jakie więc miał mieć znaczenie, skoro ze względu na odległość w czasie nie mógł mnie ostrzec przed wchodzeniem do wody? Nie wiem. Ale był, i podobnych snów miałam jeszcze kilka. W związku z tym pokusiłam się o podsumowanie mojego artykułu, że prorocze sny niekoniecznie mają aspekt ostrzegawczy, a skoro tak, nie wiadomo, czemu służą. Choć służą czemuś na pewno...

Inaczej bywa z intuicją, gdy coś nagle mówi człowiekowi, żeby na przykład nie szedł daną drogą czy nie leciał tym samolotem, a potem okazuje się, że posłuchanie jej uratowało nam życie. Albo z nieoczekiwanym wydarzeniem, które nagle stanęło nam na przeszkodzie, opóźniając czy wręcz uniemożliwiając jakiś zamysł. Coś takiego również mi się przydarzyło. Jechaliśmy kiedyś z byłym mężem na stację kolejową odebrać moją mamę z pociągu, trzeba było jednak po drodze zatankować samochód. Tuż przed nami stację chwilowo zamknięto i trzeba było poczekać, aż cysterna uzupełni paliwo w zbiornikach. Wkurzałam się wówczas serdecznie, głównie na byłego, rzecz jasna, że nigdy nie załatwi podobnych rzeczy odpowiednio wcześniej. Mama była zmuszona czekać na nas przy nie najlepszej pogodzie. Jak tylko włączyliśmy się z powrotem do ruchu, okazało się, że na drodze prowadzącej na dworzec doszło do potwornej kraksy z udziałem tira z naczepą i kilku aut osobowych. Zginęły wówczas cztery osoby, dwie zabrano śmigłowcem do szpitala. Gdyby nie cysterna z paliwem, moglibyśmy być pośród nich...

Opisałam oba te wydarzenia jako mój wkład do tematu i wysłałam artykuł do redakcji.

Mogłam wreszcie skupić się na zakończeniu książki, które zazwyczaj przysparzało mi najwięcej problemów. Lubiałam, gdy puenta satysfakcjonowała moje czytelniczki, musiałam też zadbać, by każdy wątek został zakończony, dobrzy nagrodzeni, a źli ukarani. Taka była moim zdaniem idea literatury kobiecej, oprócz tego, że lekka i nieobowiązująca, powinna tchnąć optymizmem i nie pozostawiać uczucia niedosytu ani irytacji.

Szło mi całkiem nieźle, więc korzystając z weny, waliłam paznokciami w klawiaturę jak oszalała. Pisałam i rozkręcałam się coraz bardziej, spoglądając od czasu do czasu na zegar w komputerze, by nie stracić kontroli nad rzeczywistością. Choćby dla takich spraw jak pożywienie dla mnie i kota. Jak na ironię, nie miałam wówczas żadnych przeczuć, moja intuicja natomiast, jeśli nawet działała, przeniesiona została przeze mnie w świat fantazji.

Około godziny szesnastej, wiem, bo tyle, co spojrzałam na zegar, ktoś

gwałtownie zaczął wydzwaniać do moich drzwi. Powtarzając sobie w myśli nie do końca zanotowane zdanie, poszłam otworzyć, mocno niezadowolona z gościa, kimkolwiek by był. A był nim... Miłosz! Bez słowa wtargnął do mojego salonu, kompletnie nie zważając na odpryski błota i śniegu zostawiane po drodze. Nieproszony usiadł w fotelu, po czym ukrył twarz w dłoniach.

– Gosia nie żyje – powiedział na tyle cicho, że byłam pewna, iż się przestyszałam.

– Co?... Co?... – Siłą odjęłam mu dłonie od twarzy, by mógł powtórzyć raz jeszcze, ale wyraźniej.

– Moja żona... nie żyje. Umarła – powiedział i zastygł bez ruchu.

Jego oblicze nie wyrażało żadnych emocji, pustym wzrokiem patrzył przed siebie, tylko dłonie, zaciśnięte w pięści, bieleły mu się nienaturalnie na oparciach fotela. Mimo wszystko nadal nie wierzyłam w to, co usłyszałam. Usiadłam naprzeciwko Miłosza, nie miałam zresztą wyjścia, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

– Na miłość boską, Miłosz, co ty mówisz? – wyszeptałam, czując, jak oblewam się zimnym potem.

– Nie wiem. Sam nic nie wiem. Pojęcia nie mam... – odparł. – Wróciła wieczorem od pani, pokręciła się jeszcze po kuchni i położyliśmy się spać. A rano... rano obudziłem się tylko ja. Gosia była bielutka jak pościel, w której się kładła, i taka... bezwładna. Zadzwoniłem po pogotowie, zabrali ją ze sobą, więc myślałem, że coś zrobią... Że się uda... Ale godzinę temu stwierdzili zgon. Koniec, pani Doroto. Jej już nie ma.

– Nie wierzę!

– Ja też nie wierzę...

– Ale co się, u jasnej cholery, stało?! – wrzasnęłam, żeby obudzić siebie i jego z tego koszmarnego snu.

– Nie mam pojęcia. To znaczy wiem, że zażyła masę jakichś silnych leków, ale nie wiem dlaczego. Pani jest pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiam, i pani widziała ją ostatnia...

– U mnie było wszystko jak najbardziej w porządku! Wypiłyśmy wino, pogadałyśmy sobie, ot, taka miła babska posiadówka. Nie, Miłosz. To niemożliwe. Nieprawda. Ja... ja się nie zgadzam!

– Ja też się nie zgadzam. – Łzy poleciały mu po policzkach. – Mógłbym... zostać dziś na noc u pani? Ona jest tu, niedaleko, w szpitalu miejskim...

– Ależ jasne, nie ma problemu – zgodziłam się, bo i ja nie chciałam zostać z tym sama.

Tej nocy budziłam się najmniej kilkanaście razy. Miłosz wciąż siedział

w fotelu w salonie, w płaszczu i butach. Nie byłam w stanie nakłonić go, by wreszcie położył się spać. Zasnął około szóstej nad ranem, tak jak siedział. Dwie godziny później przemknęłam cicho do kuchni i zabrałam się za robienie śniadania. Zaparzyłam mocnej kawy i usmażyłam jajecznicę.

– Czy mógłbym wziąć kąpiel? – spytał Miłosz, który pod koniec tych czynności zjawił się w kuchni.

– Oczywiście. Ale pośpiesz się, zanim jedzenie wystygnie.

Niecały kwadrans później mężczyzna usiadł ze mną przy stole, wypił kawę, ale odmówił zjedzenia czegokolwiek. Nie zmuszałam go do tego. Siedzieliśmy przez dłuższy czas w milczeniu, każde zajęte swoimi myślami. W którymś momencie Miłosz spojrzął na zegarek i oznajmił:

– Na mnie już pora. Muszę tam pojechać, pani Doroto. Sporo różnych formalności przede mną.

– Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć – zaofiarowałam się.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić siedzenia w czterech ścianach i powolnego przyjmowania do wiadomości tego, co się stało.

– Naprawdę? – ożywił się na moment Miłosz.

– Naprawdę. Zaczekaj tylko, aż nakarmię kota i wrzucę coś na siebie. Weźmiemy taksówkę, tak będzie poręczniej.

W kieszeni kurtki, której bardzo dawno nie miałam na sobie, pomiędzy chusteczkami higienicznymi, paragonami i innym śmieciem, które zamierzałam wyrzucić do kosza, znalazłam akurat wizytówkę „Taxi na telefon”. Niewiele myśląc, zadzwoniłam na podany na niej numer i dziesięć minut później samochód był już na dole.

– Najpierw musimy pojechać do domu po jakiejś jej rzeczy – zwrócił się do mnie Miłosz. – Gosia ma na sobie tylko koszulkę...

– A, witam serdecznie. – Taksówkarz odwrócił się w moją stronę i ucieszył się, zupełnie niestosownie do sytuacji.

Był to ten sam chłopak, który kiedyś wiozł mnie do Oławy i pilotował jadącą na motorze Małgosię. Faktycznie – przypominałam sobie. – Dał mi wtenczas wizytówkę i polecał się na podobne akcje. Nie chciałam, żeby wyrwał się teraz ze wspomnieniami z tamtej podróży.

– Witam, panie Januszu. – Cudem przypominałam sobie jego imię. – Dziś również mamy parę kursów, ale sprawa jest całkiem inna. Wolalabym nie mówić na ten temat, jeśli można.

Pan Janusz skinął głową i poprosił o adres, pod który ma się udać. W czasie, gdy Miłosz pobiegł na górę, by wybrać dla Gosi sukienkę i buty na ostatnią drogę, nakreśliłam mu z grubsza sytuację i poprosiłam, by zarezerwował sobie całe przedpołudnie wyłącznie dla nas. Widać było, że moja informacja mocno nim wstrząsnęła, starał się więc spełniać nasze polecenia jak najsumienniejszy i z należytą

powagą. A na koniec z wielkimi oporami pozwolił sobie zapłacić za kurs.

– Mam wrażenie, że ten taksówkarz znał moją Gosię – zauważył Miłosz, gdy wysiedliśmy pod moją kamienicą.

– Owszem. Znał nas obie – odparłam krótko i moim zdaniem wyczerpująco. Zaproponowałam mu, żeby został u mnie do pogrzebu, i on tę propozycję przyjął.

Na pogrzebie Małgorzaty spośród członków jej rodziny zjawiała się tylko matka. Cicha i milcząca, z kamienną twarzą. Właściwie było na nim niewiele osób: rodzice Miłosza i jego bliżsi krewni, koledzy z nowej pracy, kilku sąsiadów z kamienicy.

Usiadłam w ostatniej ławce kaplicy, nawet na moment nie podchodząc do trumny. Nie potrafiłam. Dla mnie w dalszym ciągu cała ta historia była snem jedynie, moja podświadomość się uparła, że jeśli nie zobaczę Małgosi martwej, nie przyjmę tego faktu do wiadomości, może wybudzę się z tego koszmaru i wszystko wróci do normy. Z drugiej zaś strony przejmująca pustka i straszne, niewyobrażalne poczucie niesprawiedliwości, jakie ogarniało stopniowo całą moją jaźń, nie pozwalały opanować mi narastającego wewnątrz szłochu.

Co ty, Gocha, zrobiłaś najlepszego! – wyrzucałam jej w myślach. – Jakim prawem, czemu? Co takiego się stało?!

Nie mogłam darować tego postępuku i jej, i sobie. Bo jeśli ona już w dniu, kiedy mnie odwiedziła, podjęła taki zamiar? Dlaczego nic nie dostrzegłam? Nie przeczulałam? Czemu o niczym mi nie powiedziała?

Moje myśli zataczały błędne koło i wciąż wracały w to samo miejsce. Żal mieszał się z wściekłością i bezsilnością. Lecące już zupełnie bez kontroli łzy zamazały mi kompletnie rzeczywistość dookoła. I dobrze, bo nie chciałam widzieć niczego i nikogo. A zwłaszcza Miłosza i jej matki, by ich ból nie zmieszał się z moim bólem i nie wybuchnął tu i teraz z potrójną siłą. Wyszłam z kaplicy przed końcem ceremonii. Usiadłam na murku, licząc, że siarczysty mróz, jaki panował na zewnątrz, zamrozi mój smutek i osuszy łzy...

Kiedy było już po wszystkim i usypany przez grabarza kopczyk zwieńczyło kilka bukietów z czarnymi bądź fioletowymi szarfami, podeszła do mnie mama Miłosza i zaprosiła na skromną stypę, u nich w domu. Odmówiłam. Nie byłam w stanie dzielić z nikim tego, co czułam. Musiałam wreszcie zostać sama.

Jeśli człowiek bardzo chce w stanie wyższej konieczności ujarzmić swoje myśli, jedynym sposobem jest skierowanie ich na inne tory. Poddanie ich czemuś w miarę neutralnemu, a jednocześnie na tyle absorbującemu, by dać sobie choć na chwilę odpocząć od dręczącej rzeczywistości. Jedyną rzeczą, jaka więc przyszła mi do głowy, było otwarcie skrzynki mejlowej i zagłębienie się w lekturze listów od

czytelników „Horizontu”. Przebiegłam wzrokiem tytuły najnowszych wiadomości i na początek wróciłam do listu od czytelniczki ze wsi o intrygującej mnie już przedtem nazwie: Liche. Gdzieś błąkała mi się ta nazwa w pamięci, jednak do niczego nie byłam w stanie jej przypasować. Czytałam list od początku po raz kolejny i kolejny. I nagle: eureka! Tam przecież właśnie mieszkała najstarsza siostra Gosi z rodziną, ta, która była na jej weselu. Przeczytałam więc list jeszcze raz, już pod innym kątem skupiając się na zawartym w nim problemie.

Pani Ala, bo tak miała na imię jego autorka, opisywała historię sprzed paru lat. Wówczas to zgodzili się razem z mężem przyjąć do siebie na miesiąc wakacji syna dalszej krewnej z Warszawy. Nie chodziło bynajmniej o to, że chłopak czy też jego rodzice byli miłośnikami ekologii i wypoczynku na wsi. Przeciwnie, byli raczej dobrze sytuowanymi mieszczuchami niepotrafiącymi obejść się bez cywilizacji i wygod. Stąd też poniekąd wziął się ich problem: podczas gdy oboje ciężko pracowali, by jedynakowi nie zabrakło ptasiego mleka, on nieco inaczej zaczął postrzegać owo źródło wszelkiej szczęśliwości. Mówiąc kolokwialnie, zaczął ćpać. Miał na to i warunki, i środki. Gdy rodzice zorientowali się w problemie, chłopak był w drugiej klasie gimnazjum, jego „hobby” natomiast osiągnęło już takie stadium, że kwalifikował się jedynie na odwyk. Trochę niezręcznie było dwojgu szanowanym w środowisku inteligentom przyznać się do porażki wychowawczej, a jeszcze niezręczniej ponieść jej jawne konsekwencje. Uradzili więc, że wyślą „dzieciaka” na zapadłą wieś, opłacą sownie krewnych, ci zaś będą mieli za zadanie wyłącznie nie spuszczać go z oka. I tyle. Umyślili sobie bowiem, że po miesiącu spędzonym z dala od deprawującego towarzystwa i dostępu do śmiertcionośnych używek syn wróci do domu jak nowy. Pani Ala i jej mąż akurat remontowali dom, choć to chyba za dużo powiedziane. Raczej przystosowywali do użytku i starali się w miarę dopasować do dzisiejszych czasów niewielki murowany domek, jeszcze z tych „poniemieckich”, w które dopiero obecne pokolenie odważyło się cokolwiek zainwestować. Pani Ala spodziewała się dziecka, czas naglił i taki przyptyw świeżego grosza był dla nich jak znalazł. Z powierzonego im zadania wywiązywali się bardzo solennie, chłopak był nieustannie pilnowany, a gdy zaszła potrzeba i oboje musieli opuścić dom na kilka godzin, zamykano gągatka na strychu. W owym czasie nie było tam nawet okien, jedynie niewielki lufcik w dachu, do którego można było się dostać wyłącznie z pomocą drabiny, a tej na strychu nie było. Ot, po prostu cztery ściany, strop i podłoga. Zapobiegliwi gospodarze zostawiali chłopakowi jedzenie i picie rozłożone bezpośrednio na plastikowym obrusie: gotowe kanapki i wodę w plastikowej butelce. Przewidzieli wszystko na wypadek, gdyby umęczony narkotykowym głodem gimnazjalista postanowił ukrócić swoje cierpienie.

Któregoś jednak razu po powrocie z takiej właśnie niezbędnej wyprawy do miasta okazało się, że chłopak... zniknął. Sprawa zakrawała na cud, bo nie mógł

w żaden sposób się stamtąd wydostać. Nie trzeba chyba w tym miejscu dodawać, jak wielkie było przerażenie gospodarzy: oto powierzony im jedynak, spadkobierca nazwiska i nadzieja na przyszłość ustosunkowanych krewnych – przepadł bez śladu. Zanim nieszczęśnicy powiadomili o sprawie policję, przeszukali dom i okolice metr po metrze, choć były to działania raczej irracjonalne: młodzieniec nie mógł bowiem sforsować jedynych prowadzących na strych drzwi, zwłaszcza że sprytny pan domu wzmocnił je wcześniej bardzo starannie. Gdy ich zabiegi nie przyniosły rezultatu, powiadomiono odpowiednie organa. Ale i wówczas nic się nie wyjaśniło. W końcu pozostało im tylko powiadomienie rodziców i wówczas rozpętało się piekło. Pani Ala z małżonkiem najpierw zostali posądzeni przez nich o zamordowanie potomka, potem zaś o wywiezienie za granicę celem sprzedaży jego organów. Nie pomogło nic, zrozpaczeni rodzice gimnazjalisty nie byli skłonni myśleć racjonalnie. Dochodzenie w tej sprawie zostało po pewnym czasie umorzone.

Ale nie to dziś stanowiło problem dla pani Alicji. Chociaż tamto zdarzenie wywarło na jej życie ogromny wpływ i w jego konsekwencji kobieta została kompletnie sama, jakoś do tej pory dźwigała swój krzyż, nie upadając pod jego ciężarem częściej, niż można się było spodziewać. Jej własne dziecko zmarło na miesiąc przed planowanym porodem. Stres i nagonka bliższego i dalszego środowiska zrobiły swoje. Wiejska mentalność jest jednak w takich przypadkach dość, że tak powiem, pierwotna: Bóg dał, Bóg wziął. Da jeszcze nieraz, o czym można było się przekonać na cudzych losach. Nie paliło im się zresztą do tego, jeszcze nie skończyli remontu ani nie uporali się z problemem młodego krewniaka. Kolejny cios przyszedł jednak całkiem niespodziewanie: mąż pani Ali podczas zakładania tak zwanej „wiechy” na kominie, zwiastującej zakończenie prac murarskich, spadł i zabił się „na śmierć”. Wówczas trochę ulżyło jej krewnym z Warszawy, a i na wsi jakby przestano roztrząsać temat. Nie skończył się jednak dramat pani Ali – od tego czasu nieboszczyk systematycznie zaczął nachodzić ją we śnie z poleceniem, które brzmiało dość dosadnie: „szukaj skurwysyna”. Kobieta zrozumiała to przesłanie jednoznacznie. Uznała mianowicie, że tak właśnie nazwany został przez jej małżonka ten, który stał się przyczyną jej wszystkich późniejszych nieszczęść, młody krewniak z Warszawy. Zawierzyła mu do tego stopnia, że nie mając już lepszego pomysłu na rozwiązanie tajemnicy, postanowiła wesprzeć się fachową siłą. Czyli mną.

Szczerze mówiąc, moja motywacja do podjęcia się tego zadania była dość egoistyczna: ot, nawinęła mi się okazja do oderwania się od własnej, przykrej rzeczywistości i możliwości wyrwania się z otoczenia, które mi ją nieustannie przypominało. Pani Ala bowiem oferowała mi dach nad głową i wikt do chwili ewentualnego wyjaśnienia sprawy. Mnie i kotu, rzecz jasna. Może się komuś moje postępowanie wydawać w tym miejscu zbyt samolubne, ale niechby ten ktoś

postawił się na moim miejscu: oto moje życie w pewnym sensie utraciło stały grunt. Utknęłam w miejscu, w którym nie wiedziałam, czy powinnam być winowajcą, czy ofiarą. Bo jak by nie było, do mnie przyszła Gosia ze swoim ostatnim życiowym dylematem, zostawiając go w końcu jedynie domysłem. Te jednak łatwe nie były, a w szczególności odpowiedź na pytanie, czemu odebrała sobie życie właśnie wtedy, gdy zaczęło się jej układać dokładnie w sposób, w jaki sobie je wymarzyła. To było za wiele jak dla mnie. Jakkolwiek by to wyglądało, musiałam się zdystansować.

Był jeszcze inny powód: Liche sąsiadowało z rodzinną miejscowością Małgorzaty, wsią o nazwie Strupień. Możliwość poznania miejsc i ludzi, wśród których się wychowała, przyjrzenie się jej tamtejszym losom było dla mnie kuszącą perspektywą. Chciałam zobaczyć na własne oczy i usłyszeć na własne uszy wszystko, co było z nią związane. I być może zrozumieć lepiej motywy jej postępowania.

Pani Ala czekała na mnie na przystanku. Ostatnim z wielu, bo wycieczka do Lichego wymagała kilku przesiadek i postojów. Jak na kobietę steraną życiem wyglądała nieźle, okazała się dość energiczna i zwawa. Później przekonałam się, że jest to postawa wszystkich kobiet w tej wsi, bez względu na przejścia. Bo o ile mężczyzna, ugiąwszy się pod ciężarem życia, mógł uciec w alkoholizm, kobieta takiej alternatywy nie miała. Jedyne, co jej pozostało, to rosnąć w siłę i przejmować z czasem obowiązki obojga. Właściwie nie wiadomo, po co był w takiej sytuacji kobiecie mężczyzna, w praktyce, bo de facto stanowił jedynie wyznacznik statusu. Statusu mężatki. Ten zaś był na tyle istotny, że kobiety pchały bez sprzeciwu swój żywot naprzód, będąc niejednokrotnie matką, ojcem i jedynym żywicielem rodziny.

Zima miała się już ku końcowi, ale nad ranem zdarzały się jeszcze przymrozki. Pani Ala każdego dnia, zanim zabrała się za „opatrzenie gadziny”, paliła w piecach i stawiała na kuchni gary ze śniadaniem dla nas. Nieodmiennie takim samym: zacierkami na mleku, kawą zbożową i jajami na twardo. Chleb na cały tydzień piekła zawsze w soboty i przechowywała go w piwnicy. By dłużej zachowywał świeżość, dodawała do ciasta gotowanych ziemniaków. Nawiasem mówiąc, moja gospodyni była jednak na tyle wyjątkowa, że miała komputer i potrafiła się nim posługiwać. Niewiele pań we wsi mogło poszczycić się podobnym udogodnieniem i umiejętnością. Był też Internet, co dla mnie osobiście było niezwykle cenne.

Poza tym kobieta hodowała wieprzka, króliki, kaczki i kury, dwa razy dziennie doiła krowy, a miała ich dwie. Nie protestowałam, gdy poiła mlekiem Bu, ponieważ w tutejszym sklepie nie można było dostać dla niego żadnej karmy, tu

zwierzaki żywiły się tym, co zostało ze stołu gospodarzy. Mój kot musiał się więc tymczasowo przestawić na kielbasę, drób i mleko. Nie krzywdował sobie specjalnie, ja zaś uznałam, że taki tryb życia, o ile nie potrwa zbyt długo, na pewno mu nie zaszkodzi.

Oczywiście, zanim miałam możliwość rozeznania się w tym wszystkim, najpierw szczegółowo obejrzałam ów tajemniczy strych. Dziś już nie taki pusty jak wówczas, stała tu jakaś stara szafa, beczki, kosze, wisiały sznury z praniem. Poza tym, jak zapewniała mnie właścicielka, wszystko było dokładnie takie samo. Chodziłam od ściany do ściany, oglądałam podłogę, wspierałam się nawet pod sam strop, by obejrzeć małe dachowe okienko. Bez drabiny, do której wtenczas chłopak nie miał dostępu, nie było możliwości się tam wdrapać.

Ja niestety nie miałam żadnych nadnaturalnych zdolności, jedyne więc, co mogłam zrobić, to przeprowadzić standardowe śledztwo z użyciem dostępnych zmysłów i być może czulej intuicji. Poinformowałam o tym uczciwie panią Alę, ona jednak i tak była z mojej chęci pomocy zadowolona. Stanowiłam dla niej niekłamaną autorytet w „swojej dziedzinie”.

Staralam się wywiązywać z mojej misji najrzetelniej, jak tylko potrafiłam. Na początek razem z panią Alą wypchnęliśmy wszystkie znajdujące się na strychu rzeczy na środek. Sfotografowałam kawałek po kawałku wszystkie ściany i wrzuciłam do swojego laptopa, by móc się im przyglądać się w dowolnej chwili. Poprosiłam panią Alę o projekt przebudowy domu i ślęczałam nad nim godzinami. Przeszukiwałam Internet w poszukiwaniu jakiejś analogicznej historii. Ale przede wszystkim zaleciłam gospodyni dokładne zapamiętywanie kolejnych snów i szczegółowe zrelacjonowanie poprzednich.

– No... każdorazowo, kiedy śnił mi się Broniś, to kazał tak właśnie, jak już mówiłam: „szukaj, Ala, skurwysyna”... – Pani Ala przytknęła oczy, by móc lepiej sobie wszystko przypomnieć.

– A okoliczności tego snu? Gdzie się znajdowaliście, gdy on to pani mówił? Jakim tonem? Robił coś przy tym? Stał? Siedział? – dopytywałam.

– Stał. Zawsze to na strychu się działo. Z twarzy raczej taki zły był, z głosu także.

– W którym miejscu stał? Pamięta pani?

– No właśnie, że to jedynie dziwne było. Bo to był jeszcze ten stary strych, sprzed zmiany dachu. Ciemnowy taki, ponury... I nic Broniś więcej nie robił, tylko szukać nakazywał. Ot, tyle. Jak pani tu przyjechała, już więcej mi się nie przyśnił.

– Może uznał, że już załatwił sprawę – podsumowałam cierpko. – No nic, zrobię, co będę mogła.

W ramach podjętych zobowiązań wybrałam się nawet na tutejszy komisariat. Odnalazłam dwóch młodych policjantów, którzy zajmowali się sprawą, dokonywali oględzin strychu, całego domu i okolic. Liche nie obfitowało

specjalnie w kryminalne przypadki ani jakieś nadzwyczajne wykroczenia, mężczyźni znaleźli więc dla mnie czas i nawet chętnie wdali się w pogawędkę.

– A pani szanowna na jaką okoliczność sprawą się zajmuje? – spytali tylko na wstępie.

– Jestem z gazety – odpowiedziałam, niemal zgodnie z prawdą.

Na komisariacie natychmiast zrobił się ruch, znalazła się kawa i ciastka, co rusz ktoś zaglądał z pytaniem, czy czegoś mi nie trzeba. Było to niewątpliwie spore wydarzenie, które natychmiast lotem ptaka obiegło całą wioskę.

– Ja to dokładnie wszystko pamiętam – stwierdził jeden z policjantów, a drugi gorliwie przytaknął. – Po mojemu, ale tak względem dyskrecji, Stryczuki musieli bachora same unieszkodliwić. Może nie żeby specjalnie, ale w nerwach. Bo to niemożliwie przykry chłopiec był. Awanturny, zaczepny, nawet do bitki skory. Nie ma jednak na to żadnego dowodu.

– Skąd pan to wie? Wzywali was może na jakąś interwencję?

– Ale gdzieżby! Tu nikt nawet nie wiedział, że oni takiego krewniaka przechowują. Stryczuk na przesłuchaniu opowiadał.

– Dobrze, ale czemu pan sądzi, że to oni go... tego...

– A jak inaczej? – odezwał się drugi policjant. – Pod ziemię się nie zapadł ani w powietrzu nie rozplynał. Tam, jak sama pani pewnie widziała, nie miał się gdzie schować.

– No dobrze, ale nawet jeśli to oni się go pozbyli, po co zawiadamialiby policję? Skoro nikt nie wiedział o jego pobycie, nikt też nie wiedziałby o jego zniknięciu – pozwoliłam sobie zwątpić w ich tok rozumowania.

– Niby tak... – Pierwszy z policjantów pogładził się po szczęce. – Może jako alibi dla ojca i matki chłopaka?

– Tak, to mógł być powód... – zastanowiłam się. – Proszę mi jednak opowiedzieć o waszych poszukiwaniach, dobrze?

– Najpierw sprawdzili strych, opukali, ostukali, a nawet zmierzili ściany, czy jakiej ukrytej wnęki w nich nie ma. Ale nic! Caluśki dom obeszlیم, do samych piwnic, później jeszcze dalej, szambo, ogród, chlewik, szopkę na węgiel.

– Przesłuchaliście sąsiadów?

– A jakże – obruszył się mężczyzna. – To my zrobili najsampierw! I rodziców, i gospodarzów oboje.

– Nie, to niemożliwe – podsumowałam zniechęcona. – A może ktoś mu pomógł w ucieczce? Na przykład jacyś kumple z Warszawy?

– I to bralim pod uwagę. Ale żaden z nich nie wiedział, gdzie rodzice chłopaka wywieźli, jego pozbawili telefonu, więc nie miał im jak dać znać. Nawet jakby jakimś cudem go odbili, działałoby się to w samo południe, w czas żniw, ktoś musiałby coś widzieć. U nas na wsi nie ma mocnych, żeby coś takiego uszło ludzkiej uwadze...

Podziękowałam uprzejmym policjantom i wyszłam. Jednak już po drodze zostałam kilka razy zaczepiona przez mieszkańców Lichego.

– Pani szanowna, ta Stryczukowa Alicja wcale taka niewinna nie jest, jaką udaje – poinformowała mnie babina pod siedemdziesiątkę, która jako pierwsza zastąpiła mi drogę. – Ten młody żyje i to ona go gdzieś ukrywa.

Przystanąłam, początkowo zainteresowana jej słowami.

– Kochanka z niego zrobiła sobie, jak się o tym Broniś dowiedział, z dachu się rzucił. Dzieciak, ten, co im pomarł, też prawdopodobnie nie jego był... Ją niech pani dobrze dociśnie, oto droga do prawdy – spuenteowała kobieta i splunawszy mi pod nogi, odeszła.

Zupełnie inną wersję wydarzeń podał mi lekko podpity mężczyzna, który na mój widok oderwał się od kompanów spod sklepu i postanowił mnie uraczyć swoimi domysłami.

– Ciekawe, czy Stryczukowa pani opowiedziała, jak przeszłego roku wiosną oracz wyorał u niej czaszkę ludzką na kartoflisku. Opowiedziała? – zarechotał ucieszenie.

– Nie, ale zapytam ją o to – obiecałam.

– Tylko jakby co, to ja nic... Rozumie pani? – zastrzegł od razu.

– Ma się rozumieć.

Ostatnią osobą, która bardzo pragnęła mnie uświadomić, była dość elegancka kobieta, różniąca się również od moich poprzednich rozmówców sposobem wypowiedzi.

– Pani redaktor, czy tak? – spytała, podając mi rękę.

– Tak – potwierdziłam, by sama sobie teraz nie zaprzeczać.

– Eleonora Mięksiszewska – przedstawiła się. – Dobrze, że wreszcie zajęły się tą sprawą media, bo policjanci u nas, jak pani pewnie zauważyła, do rozgarniętych nie należą...

– Przeciwnie – zaprotestowałam. – Moim zdaniem zrobili w tej sprawie, co się dało.

– Tak czy inaczej – skrzywiła się nieznacznie kobieta – nie może tak być, by winni tej zbrodni nadal chodzili bezkarni.

– Zbrodni? – spytałam, licząc na to, że tym razem może dowiem się czegoś sensownego.

– Owszem. Ale niech pani nie słucha bajdurzeń starych bab i urojeń przepitych męskich mózgów. Chłopaka wywieziono za granicę i sprzedano jako dawcę organów – oznajmiła z całkowitą pewnością w głosie.

Tę hipotezę słyszałam wówczas po raz pierwszy.

– Na jakiej podstawie pani tak uważa? – spytałam zaciekawiona.

– Po jego zniknięciu Stryczukowie otrzymali skądś znaczną gotówkę. Szastali pieniędzmi na prawo i lewo, kupili telewizor, komputer, że już o remoncie

domu nie wspomnę.

Podziękowałam kulturalnie za wszystkie informacje i pośpieszyłam do domu pani Ali. Ciekawa jej reakcji, zrelacjonowałam jej moje rozmowy z mieszkańcami wioski.

– Tak właśnie tu jest, proszę pani – wyraziła swoje zdanie na ten temat nawet nie bardzo zbulwersowana kobieta. – Z tym że każdy z nich opowiadał pani o sobie, a nie o mnie. Stara Kulikowa, pół życia bez chłopa, sama złapałaby się, za co by mogła. Nawet za chłoptasia nieletniego, gdyby ją taki chciał. Nic dziwnego, że tylko takie wytłumaczenie widzi. Miękiszewska, dama od siedmiu boleści, za forszę pokroić by się dała, a może i nerkę sobie albo komu wyciąć... Jak zaś chodzi o moje kartoflisko, w tym jedynie ciut prawdy jest. Wyorano na nim czaszkę, ale nie jedną, tylko cztery. W tych rejonach to żadne mecyje, jeszcze od wojny czasem, a to jaką puszczel, to znów niewypał się znajdzie. Albo lufa od czołgu nawet, jak raz kiedyś...

ROZDZIAŁ XII

Podróż w przestrzeni i czasie

Po kilku dniach pobytu w Lichem miałam wrażenie, jakbym nagle znalazła się w zupełnie innym świecie. Przestały mnie dziwić opowieści Małgosi o takich miejscach, a towarzyszące im niedowierzenie znikło bez śladu. Choć muszę przyznać, że jako osobie niezmuszonej żyć na stałe w tutejszych warunkach podobała mi się taka odmiana. Wszystko, co mnie spotykało i otaczało, traktowałam w kategoriach folkloru. U pani Alicji mieliśmy z kotem jak u pana Boga za piecem. Nie wspomniałam dotąd, że gospodyni miała kotkę z małymi kociętami, z którymi Bu natychmiast wszedł w komitywę. Kotka biegała wolno, gdzie chciała, jej potomstwo jednak wciąż nie wychodziło na zewnątrz. Kociaki „mieszkały” w szufladzie kuchennego pieca, gdzie gospodyni trzymała drewno na rozpałkę. Jeśli akurat nie spały, rozpierzchały się dookoła, bawiąc się i figlując. A Bu razem z nimi. Jeśli udało mu się któregoś na chwilę ujarzmić, lizał go tak długo i starannie, aż stał się calutki mokry, od ogona po pyszczek. Mój wysterylizowany pupil był dla swoich towarzyszy łagodny i opiekuńczy, ich matka natomiast nie wzbudzała w nim żadnych erotycznych zapałów.

Mimo tych wywczasów nie zaprzestałam poszukiwania rozwiązania zaserwowanej mi zagadki. Broniś zaś najwyraźniej oswoił się z moją obecnością, bo znów zaczął śnić się pani Ali niemal co noc. Za każdym razem wyciągałam z niej szczegół po szczególe, ta upierała się jednak, że każdy ze snów był identyczny. I w tym właśnie zaczęłam w końcu upatrywać jakiegoś znaku.

– Niech mi pani pokaże dokładnie, ale tak naprawdę, co do metra, gdzie stoi pani mąż podczas tych snów – zażądałam.

– A tam, trochę w kącie, po prawej stronie – odparła kobieta bez wahania.

Zaprosiłam ją przed ekran mojego laptopa i pokazując zdjęcie po zdjęciu, zaleciłam sprecyzowanie owego miejsca.

– Tu. – Wskazała na kąt między frontową i boczną ścianą.

Przyjrzałam się uważniej temu miejscu.

– A to co jest? Komin czy szyb wentylacyjny? – spytałam, wskazując na prostokątny wypust w samym rogu.

Widziałam go już wcześniej „na żywo”, jednak zanim pani Ala wskazała to miejsce jako tło dla swoich snów, nie poświęciłam mu więcej uwagi niż pozostałym ścianom.

– Ani to, ani to właściwie – odparła. – Miał być komin do wędzarni, ale urząd budowlany nie zezwolił. Choć wcześniej wędzarnia w tym samym miejscu

była.

– Czyli gdzie?

– Poniżej strychu, przy domu.

– Więc czemu nie zezwolił?

Pani Ala wzruszyła ramionami.

– Przepisy jakieś zmienili się i trzeba by było wszyściutko przebudować. To machnęlim ręką, ot co. Pieniądzy na tyle nie było.

– A w tym... kominie nie szukaliście?

– No pewnie, że my szukali. Zresztą wleźć do niego młody nie miał sposobu. Kratka była w nim jedynie taka, dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetry.

– Nie jestem pewna, pani Alu. W Alcatraz przez nie takie otwory próbowano uciec. Kwestia determinacji. A tej młodemu chyba nie brakowało?

– Że jak?

– Nie, nic, tak sobie gadam. Ale teraz nie ma tej kratki?

– Nie ma, mój замуrował. Skoro wędzarni miało nie być, to na co ona...

– Kiedy... замуrował? – spytałam, czując, jak mi się przysłowiowy nóż w kieszeni otwiera.

– No... zanim policja przyszła. Bo jak ja mam być szczerą, pani Dorotko, to my tą wędzarnię i tak zaczęlim po swojemu przerabiać, tylko jak teraz mieli wszystko oglądać na strychu, wystraszylim się, że karę płacić każą...

– Chryste Panie – jęknęłam ze zgrozą. – Więc najprawdopodobniej замуrowaliście chłopaka...

– Ale skąd! – oburzyła się pani Ala. – Broniś najsampierw wszystko dokładnie sprawdził! Nawet włazić tamtędy próbował, ale ledwo mu jedna noga i jedno ramię weszło do środka. A postury, powiem pani, takiej samej jak on był.

– To raczej nie jest argument. Co innego dojrzały facet, co innego młody wysportowany chłopak.

– Później jeszcze cały komin spenetrował od środka! – zaperzyła się pani Ala. – Od samiuśkiego dołu!

– Do samiuśkiej góry? – spytałam.

– A po co? Przecie jakby spadł i się gdzie powiesił, toby leciał na dół, nie do góry! – Zaprezentowała swoją logikę.

Spokój, Dorota, spokój – szepnęłam do siebie.

– Po zniknięciu chłopaka, w jakim czasie Broniś замуrował otwór? – spytałam.

– A z tydzień potrwało. Wcześniej szukalim go wszędzie.

Przyznam, że trochę mi ulżyło. To by oznaczało przynajmniej, że nie замуrowali chłopaka żywcem.

– On tam jest, pani Alicjo – poinformowałam ją, całkiem przekonana o swojej racji.

– Nie ma – zaprzeczyła kobieta, blednąc gwałtownie.
– Niestety jest.
– No to... co teraz?
– Trzeba będzie powiadomić policję.
– Zamkną mnie! Przecie my tą kratkę замуrowali!
– Ona tam nadal jest?
– Jest.
– To niech pani wydłubie ten cement i wtedy dopiero zgłosi. Nie wy go zamordowaliście, więc gwoli sprawiedliwości wszystko jedno.

Alicja, niewiele myśląc, przytaskała młot, dłuto i oznajmiła:

– Idę na górę.

– Ja też idę – postanowiłam dotrzymać jej towarzystwa.

Otwór w istocie był na tyle niewielki, że mało kto mógłby wpaść na to, że zmieścił się w nim niemal dorosły mężczyzna. Do замуrowania go wystarczyły dwie ułożone pionowo cegły, które następnie zostały otynkowane jak reszta komina. Uprzątnęliśmy je natychmiast i zamiotliśmy powstały przy tym działaniu gruz.

– Trzeba będzie coś wymyślić, żeby jakoś uzasadnić te pani nagłe podejrzenia – zasugerowałam.

– Powiem, że smród stamtąd zalata – oznajmiła pani Ala.

– A zalata? – spytałam i pociągnęłam nosem w pobliżu otworu. – Nie zalata...

– Ano właśnie! Jakby tam chłopiec był, to by zalatał. Przynajmniej przez pierwsze dni, zanim Broniś dziurę zatkał. Mięso wędzili dopiero później!

– Coście... robili? – Poczułam, że uginają się pode mną nogi.

– No... Jak się okazało, że trzeba będzie wędzarni się pozbyć, szkoda nam się zrobiło... Wieprzek akurat na zaszlachtowaniu był, to my skorzystali przedziuchno...

– Kiedy, rany boskie święte?!

– Tak jak mówię, parę dni potem, jak gówniarz zniknął.

– No dobra, niech się pani jakoś ogarnie i idzie na tę policję. Wyjścia nie ma.

– Może by jednak nie iść, co? – spietrała się nagle gospodyni.

– A Broniś? Będzie się pani tak śnił i śnił do końca życia? – złapałam się najsensowniejszego argumentu.

– Nie, jak tak, to idę. – Pani Ala przeżegnała się i pobiegła.

Kwadrans później pod dom zajechał radiowóz na sygnale. Policjanci z pewnością zrobili sporo zamieszania we wsi, ale może taki właśnie był ich zamysł. Pani Ala wymyśliła w końcu, że to nieboszczyk mąż kazał im w tym miejscu szukać. Dziś policja traktowała takie przesłanki zupełnie poważnie, więc i oni nie zwlekali z podjęciem nowego tropu w sprawie.

Właścicielka nieszczęsnej wędzarni wyraziła zgodę na poszukiwanie domniemanych zwłok, wezwano więc pomoc siłową i, jak przypuszczałam, skutek ich działań dość szybko przyniósł efekt. Nie będę wdawała się w szczegóły, powiem tylko, że ciało chłopaka zawisło na jakimś elemencie konstrukcyjnym tuż u wylotu komina, czyli o wiele wyżej, niż Stryczukowie szukali. Zwłoki „nie zalatały”, ponieważ dzięki specyficznej wentylacji oraz pewnie późniejszemu wędzeniu zostały zmumifikowane. Przy chłopaku znaleziono kilka drobiazgów należących do gospodarzy, męski zegarek, złoty łańcuszek z medalikiem Matki Boskiej i dwa tombakowe pierścionki. Pani Ala nigdy nie robiła problemu z zaginięcia owych przedmiotów, nie chciała zaostrzać i tak już napiętych stosunków z jego rodziną. Na wieść o wyjaśnieniu sprawy mieszkańcy Lichego od razu zaczęli głośnić, że przecież niemal każdy z nich domyślał się takiego finału. Kobieta w oczach mieszkańców wioski została natychmiast oczyszczona z wszelkich zarzutów. Tylko rodzina chłopaka nadal miała do niej niejasne pretensje, jednak znalezione przy nim „fanty” nie pozwalały im się już tak jawnie rozwodzić nad jej winą.

– Jak ja się pani teraz odwdzięczę – biadała pani Ala, gdy pakowałam się przed zakończeniem mojej eskapady. – Nawet zapłacić nie mam czym za bardzo, chyba że kuraka pani weźmie albo króliczka. Zarznę zaraz i oprawię...

– A niech panią ręka boska broni! – wykrzyknęłam. – Zwierzęta niczemu niewinne! Ale gdyby mogła mi pani poradzić, gdzie można wynająć pokój w Strupniu, odwdzięczyłaby się pani akurat w sam raz.

Od początku miałam zamiar zrobić tam sobie przystanek i poszukać jakiegoś lokum po prostu w ciemno.

– W Strupniu? – zdziwiła się kobieta. – Tam też będzie pani nieboszczyków szukać?

– Nie. – Zawahałam się, czy powiedzieć prawdę. – Mam tam znajomych, ale nie chcę im się zwałać na głowę.

– Kogo, jeśli można się zapytać?

– Państwa Piątków. – Dość niechętnie podałam rodowe nazwisko Małgosi.

– Oj, toż ja Piątków znam! – ucieszyła się pani Ala. – Piątkowa Halinka za syna brata mojego stryjecznego wyszła. Mieszka przy samym kościele. Zaprowadzić panią?

– Nie, dziękuję, mnie raczej chodzi o rodziców pani Halinki.

– Tamtych? – Kobieta spojrzała na mnie jakoś dziwnie. – A, to rzeczywiście, u nich pani się nie pomieści. Ale zaraz, zadzwonię ja do mojej bratowej, u niej na stryszku pokoik wolny stoi, na pewno przyjmie gościa z otwartymi rękami. Tylko że u niej psy... na łańcuchu, Bubek stresować się może.

– Jeśli na łańcuchu, to damy radę – odparłam ze śmiechem. – Bu już nie jest takim tchórzem jak dawniej.

- No to dzwonię.
- Pani bratowa mieszka w Strupniu? – upewniłam się.
- Niby nie, w Lichem jeszcze, ale na samym końcu. A to raptem pół kilometra od Piątków. Na długo zapowiedzieć?
- Czy ja wiem? – zawałam się. – Może na tydzień, ale ja oczywiście za wszystko zapłacę, za pobyt i je-dzenie.
- To już pani sobie z Barbarą ustali – powiedziała gospodyni i poszła na dwór szukać zasięgu w komórce.

Bratowa pani Ali była kobietą mniej więcej w jej wieku, ale o wiele bardziej potężną pod względem wzrostu i tuszy. Prowadząc mnie do przeznaczonego dla mnie pokoiku na poddaszu, zasapała się nieboraczka i spociała.

– Dawno tu nie zachodziłam, bo i nie było po co – poinformowała mnie urywanym głosem. – Syn mój najstarszy urządził tu sobie lokum, ale do miasta wyjechał po szkołach i od tej pory stoi puste. Ogrzewać szkoda dodatkowe metry, podczas gdy my całą resztą na dole świetnie się mieścimy. Znaczący ja, mój chłop i córki dwie małeletnie.

Rozejrzałam się po pokoju, bo nic, co służyłoby do jego ogrzania, nie rzuciło mi się w oczy.

– O, tu ma pani takie urządzenie. – Wskazała gospodyni na niewielką „farelkę” stojącą w kącie na podłodze. – Jak tylko Ala zadzwoniła, ogarnęłam tu nieco i zaraz zaczęłam grzać. Co do opłaty, za prąd jedynie pani uści i jeśli zechce, u mnie kupi mleko, jaja, ser. Chleba darmo dam. Sklep jest jakieś dwieście metry stąd, gdyby co jeszcze chciała.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam. – Za pokój też proszę doliczyć, ja zapłacę.

Pani Barbara spojrzała na mnie zgorazona.

– Ja nie żydowa, proszę pani. Krewniaczka prosiła o gościnę dla znajomej, a to jak mus i obowiązek. Nie zarobek żaden.

– W porządku. – Uśmiechnęłam się, postanawiając sobie, że w jakiś inny sposób jej się odwdzięczę.

Po wyjściu gospodyni rozpakowałam z grubsza swoje rzeczy, wypuściłam kota z transportówki i ustawiłam na stoliku laptop. Tu niestety Internetu nie było. Mogłam go jednak używać do pisania, a pocztę mejlową odbierać w komórce, jeśli znajdę miejsce, w którym będzie zasięg. A propos zasięgu, jak tylko położyłam telefon na parapecie, wyświetliło mi się kilka nieodebranych telefonów i jeden SMS. Pisał Miłoz, który kilkakrotnie usiłował odwiedzić mnie w moim mieszkaniu i pytał, gdzie się podziewam. Dzwonił również on. Nie uprzedziłam go o moim wyjeździe, ale nie spodziewałam się, że będzie szukał ze mną kontaktu.

Nie wiem, skąd wziął mój numer, może z komórki Małgosi. Próbowałam do niego oddzwonić, ale jak tylko ruszyłam telefonem, zasięg zniknął. Postanowiłam zejść na dół. Założyłam Bu smycz i na wszelki wypadek przywiązałam jej drugi koniec do nogi od stołu. Była na tyle długa, że mógł się dość swobodnie przemieszczać, mógł też wejść na łóżko i rozgościć się w nowym miejscu. Myślę, że przywykł już na tyle do zmiany miejsc pobytu, że nie stresował się teraz zanadto. W każdym razie na zestresowanego nie wyglądał. Żeby poczuł się jak u siebie, rozłożyłam na podłodze jego miski i jedną z nich napelniłam mlekiem, w które zaopatrzyła nas pani Ala, drugą zaś gotowaną wątróbką.

Panią Barbarę znalazłam w kuchni.

– Kapuśniak na łopatkę gotuję – oznajmiła, choć zapach mówił sam za siebie. – Skosztuje pani?

– Nie, dziękuję, przejdę się trochę po okolicy – odparłam, nie chcąc, by gospodyni angażowała się dodatkowo w częstowanie mnie obiadami.

Właściwie wyszłam z domu po to, by znaleźć zasięg w komórce, ale teraz rzeczywiście postanowiłam się rozejrzeć w terenie. Punktem docelowym był sklep, o którym wiedziałam tyle, że „trzeba cały czas na prawo iść”. Jak tylko na ekranie telefonu pojawiły się dwie kreski, wybrałam numer Miłosza. Okazało się, że szukał ze mną kontaktu już od drugiego dnia po moim wyjeździe, a znał tylko mój adres. Nachodził się więc nieborak w tę i nazad, zanim skombinował mój numer telefonu. Wyzebrał go od tak zwanego „gospodarza domu”, który na wypadek rozmaitych awarii był w posiadaniu kontaktów do wszystkich mieszkańców kamienicy. Miłosz miał do mnie jakąś ważną, ale niezbyt pilną sprawę, więc mogłam sobie nadal spokojnie przebywać w Strupniu. Nie powiedziałam mu, gdzie jestem ani co mnie tu sprowadziło. Temat Gosi ominęliśmy szerokim łukiem, był zbyt trudny dla nas obojga. A przecież to z jej powodu zamierzałam przedłużyć sobie pobyt w tych stronach. Umówiliśmy się więc, że się do niego odezwę natychmiast po powrocie.

Kiedy doszłam do sklepu, niemal zapomniałam ułożonej w głowie listy zakupów. Wewnątrz było kilka osób, ale żadna z nich nie stała w kolejce przy ladzie. Była to raczej grupka rozmówców niż klientów. Na mój widok wszyscy zamilkli, a w chwilach, gdy im się zdawało, że nie patrzę, wymieniali się szeptem komentarzami na mój temat.

Kociego żarcia oczywiście nie było w żadnej formie, ani „suchej”, ani „mokrej”. Zaopatrzyłam więc Bu w konserwę mięsną dla ludzi i kawałek szynki drobiowej, siebie natomiast w „chińskie” zupki, na wypadek gdyby mi się zachciało czegoś na ciepło, pieczywo i trochę słodczy. A co? Jeśli on miał się odżywiać nieodpowiednio, mogłam i ja.

– Pani jest ta babka z gazety? – spytała mnie jedna z kobiet stojących dotąd w kącie sklepu, najwyraźniej wytypowana przez resztę do zadania mi tego pytania.

– Owszem – potwierdziłam, skoro już ta niekoniecznie szczerą prawdą

dotarła aż tutaj.

W sumie nie powinnam się dziwić, pani Ala rekomendując mnie bratowej, z pewnością tak mnie przedstawiła, a dalej poleciało z wiatrem.

– Przyjechała pani nas opisywać?

– Nie, jestem tu prywatnie. Na wczasach, można powiedzieć.

– Akurat – podrzucił jedyny w tej grupie facet. – Na takim zadupiu? Tu na wczasy się nie przyjeżdża, proszę pani.

Ludzie zaczęli powoli zbliżać się do mnie i, ośmieleni już teraz, zadawali mi pytania we własnym imieniu.

– Niech pani powie od razu, że sprawę Bednarczuków wyświecić przyjechała. Przecie wszyscy już wiedzą...

– Jakich... Bednarczuków? – spytałam zaskoczona.

– Ano tych, co przeszłego miesiąca siekierą pozabijały się – odparła kolejna z niewiast, patrząc mi przenikliwie w oczy. – Że niby nie wie?

– Nie wie... – szłam nadal w zaparte, bo w istocie o niczym takim nie słyszałam.

– A u Ali Stryczukowej kto sprawę narkomańca z Warszawy wyświecił, a? – spytał mężczyzna.

– Ja nie jestem z policji, proszę państwa – próbowałam się tłumaczyć. – Nie prowadzę śledztw ani niczego w tym rodzaju.

– Że nie z policji, to wiadomo – zgodziła się jedna z kobiet. – Ale teraz dziennikarze za takie rzeczy biorą się, jak ta... e... ze sprawy dla portera!

– Reportera – poprawiła ją inna. – I co racja, to racja.

Postanowiłam skapitulować i ciut odkryć przed nimi swoje zamiary. Mętnie i niekonkretnie, jak w dyplomacji.

– Niestety, moi państwo, o sprawie Bednarczuków nic mi nie wiadomo, ale skoroście mnie już sami przejrżeli, chętnie poznałabym historię kobiety, która ileś lat temu utopiła się w studni. W waszej wiosce.

Była to jedyna rzecz, jaka mi przyszła do głowy i która mogłaby powiązać moją dziennikarską „misję” w ich stronach z rodziną Małgosi. I pociągnąć ich trochę za języki.

– W studni? – odezwała się jedna z kobiet po dłuższym milczeniu całej grupy. – U nas nikt w studni się nie utopił. Nigdy, a już za mojego żywota na pewno.

Moja rozmówczyni mogła mieć na oko z sześćdziesiąt lat i skoro babka Małgosi utopiła się w takim czasie, że dziewczyna mogła to pamiętać, z pewnością pamiętałaby i ona.

– Jak chodzi o studnię, proszę pani, to tak: utopiła się kura u Staniszów, pies u Antośki Kawalców i wieprzek Alojza Męki, w takiej niczyjej, na zapłociu. Między chałupami, znaczy się – wyliczał mężczyzna z przejęciem. – Ale żeby

człowiek jaki, nawet niechby i kobita, to nie.

– Mowy nie ma, to nie u nas być musiało – potwierdziła inna z kobiet. – Wioski się pani pomylić musiały. Może w Strupinie? Ale to z pięćdziesiąt kilometrów od nas będzie.

– W Strupniu, na pewno w Strupniu – upierałam się jeszcze, choć już sama nie wiedziałam, co o tym sądzić.

Postanowiłam pójść o krok dalej i wyjawic im jeszcze jeden detal.

– A znacie państwo rodzinę Piątków? – spytałam, nie będąc pewna, czy dobrze robię.

– Pewnie, że tak! – uradowali się wszyscy naraz. – Bezdzielnie u nas nazywają ich.

– Więc to nie oni. Ci, o których mi chodzi, mają jedenaścioro dzieci.

– Ale to te samiutki Piątki są. Tylko że im nie dzieci się rodzą, a bachory. Ani Piątek, ani Piątkowa nie powie o nich inaczej. Dlatego tak ktoś nazwał ich i przylgnęło.

– Podobno w ich rodzinie było to utonięcie – oznajmiłam.

Ludzie zaczęli kręcić głowami i spoglądać po sobie autentycznie zdziwieni.

– Nie może być – powiedział wreszcie mężczyzna. – U nich także samo nikt się nie utopił. Ani w studni, ani gdzie indziej.

Poczułam się mocno skonsternowana tą informacją. Bo przecież... Gosia nieraz wspominała mi o babce, która się utopiła w studni. Co więc jest grane? – zastanawiałam się gorączkowo.

– To ja już... sama nie wiem – tylko na taką odpowiedź było mnie w tym momencie stać. – Może rzeczywiście się myślę.

Pożegnałam się ze swoimi rozmówcami i zamierzałam jak najszybciej wyjść ze sklepu, ale tym razem dołączyła do nas sama sklepowa, dziewczyna zdecydowanie przed trzydziestką, uczesana i umalowana jak na karnawał, a nie za ladę wiejskiego sklepu.

– Zaraz, ale kto pani coś takiego powiedział? No bo skądś te informacje posiąść musiała, no nie?

Zawahałam się, zanim udzieliłam jej odpowiedzi. Zaraz z pewnością gruchnie po wsi kolejna wieść, że przyjechałam „przeświecić” Bogu ducha winną rodzinę Małgorzaty. Ale co tam – zdecydowałam prędko. – I tak kogoś w końcu o nią zapytam i, tak czy inaczej, się to rozniesie.

– Małgorzata Piątek – odparłam zgodnie z prawdą. – Ona mi o tym powiedziała.

– Phi! – Wydęła usta sklepowa. – To już wszystko jasne się zrobiło. Gośka Piątkowa zawsze nierówno pod sufitem miała.

Ludziom wyraźnie jakby ulżyło.

– Nie ma pani czego wyjaśniać. Niepotrzebnie pani tyle kilometrów się

fatygowała – podsumowała któraś z kobiet.

– Ale! To może, skoro już jest, sprawą Bednarczuków się zajmie? – podrzuciła druga.

– Dziękuję państwu za zaufanie, ale to nie leży ani w moich kompetencjach, ani w zasięgu zainteresowań. A skoro już jestem, pobędę tu kilka dni dla odpoczynku – odpowiedziałam.

– A to szkoda – westchnął rozczarowany mężczyzna. – Wszystkiego dobrego w takim bądź razie.

– I niech wypoczywa, na zdrowie.

– Na zdrowie – dodały jedna po drugiej kobiety.

Muszę przyznać, że byłam w lekkim szoku. Czyżby Gosia fantazjowała na temat swojej babki, czy to ludzie we wsi z jakiegoś powodu nabrali wody w usta? W takich środowiskach wszystko jest możliwe... A jeśli dziewczyna zmyśliła to wydarzenie, czy i w pozostałych opowieściach o sobie mijała się z prawdą? O ile wcześniej też byłam zainteresowana jej tutejszym życiem, teraz już byłam nim zaintrygowana w największym stopniu. Skoro już się zdradziłam, kto spośród miejscowych leży w centrum mojego zainteresowania, postanowiłam podpytać o to i owo moją gospodynię. Okazja pojawiła się pod wieczór, kiedy to pani Barbara uznała, że nie po chrześcijańsku będzie, gdy przyjdzie mi zjeść kolację w samotności, i zaprosiła mnie na dół.

– Weźmie sobie, czym chata bogata. – Wskazała na stół zastawiony wiejskimi przysmakami.

Był tam i nabiał, i ryby w zalewie, kiszzone ogórki, grzyby marynowane, wędzony boczek, racuchy oraz konfitury.

– Wszystko nasze, gospodarskie – zachęcał pan domu, nadspodziewanie drobny mężczyzna na tak „okazałą” małżonkę. – Rybki ja sam łowił, jesienią jeszcze, Basia w słoiki pokładła, tyle tego było.

Pani Barbara, wciąż jeszcze rumiana od stania przy kuchni, zdjęła fartuch i usiadła do stołu.

– A wy, dziewczynki, przedstawcie się pani ładnie – zwróciła się do córek.

– Katarzyna. – Dygnęła pierwsza z nich.

– Bernadka. – Poszła w ślad za nią druga.

Dziewczynki, bliźniaczki, były tak na oko w wieku którejś z klas starszych szkoły podstawowej.

– Późno nieco nam one się trafiły – objaśniła gospodyni – ale i dobrze, bo jak syn do miasta wyjechał, zostalibym sami całkiem.

– Spadkobierca do gospodarstwa z żadnej z nich nie będzie, ale może zięcie godne trafią się chociaż – dodał gospodarz.

– Nie gadaj, Rychu, bo dziś i dziewczuchy do wszystkiego zdadne. Niech tylko wyuczą się, co trzeba, a sam się zadziwisz.

– Tak... Jak się Zenek wyuczył. Nauka dzieci tylko z domu w świat wyciąga, tyle z niej dobrego – mruknął Rychu.

– A dajże ty spokój! Przy gościu swoje bolączki wywlekał będzie! – ofuknęła go małżonka. – Pani je, na zdrowie. – Podsunęła mi talerz z boczkiem i chleb.

– Dziękuję, ale ja może... jajeczko na twardo...

Dziewczynki trącały się łokciami i szeptały coś sobie do ucha.

– Czy my byśmy mogły pobawić się z kotem? – zwróciła się do mnie w końcu jedna z nich.

– Oczywiście, jeśli tylko on sam nie będzie miał nic przeciwko temu – odparłam. – Ale jego nie należy wypuszczać z domu, nie zna terenu, mógłby się zgubić.

– No pewnie, albo nasze psy by go zżarły.

– Bo one zjeją koty – dodała druga.

Aż mnie ciarki obleciały na te ich rewelacje.

– Co wy za durnoty pani opowiadacie – skarciła je matka.

– A przeszłego roku to co było? Kota od sąsiadki naszej pożarły przecież.

– Nie pożarły, tylko rozszarpały – sprostował ojciec. – Kot nie królik, pies się go nie chwyci.

– Ale bez obawy, proszę pani. One cały czas na łańcuchu przy budzie, nie ma siły, ażeby zerwali się – starała się uspokoić mnie gospodyni.

– Kot głupi był. Na co do nich laź! – skomentował gospodarz.

Bardzo chciałam zmienić temat i choć na pytania o rodzinę Małgosi jeszcze nie było moim zdaniem klimatu, postanowiłam zaryzykować.

– Znacie może państwo niejakich Piątków? – spytałam.

– Co mamy nie znać. – Pani Barbara wzruszyła ramionami. – Ich wszyscy znają. Ala mówiła mi, że się pani do nich wybiera z wizytą, prawdaż to?

– Sama nie wiem. Może się i wybiorę, choć nie są to moi osobiści znajomi. Mieszkałam po sąsiedzku z ich córką.

Małżeństwo spojrzęło po sobie jakoś dziwnie.

– A, no tak. Gośka przecież do miasta karierę robić pojechała. O nią pani chodzi?

– Tak, o Małgorzatę – westchnęłam.

– Ale ona podobno się zabiła.

– Z nieszczęśliwej miłości – dodała jedna z dziewczynek.

– Do królewicza z bajki – zachichotała druga.

– Cicho, dziewczuchy! – upomniała je matka. – Zjeść raz-dwa i do pokoju! Nie wasza to rzecz.

– Po prawdzie nikt niczego lepszego dla niej się nie spodziewał – skomentował ojciec i zgromiony wzrokiem przez żonę, umilkł.

– Bo to widzi pani – podjęła temat gospodyni po wyjściu córek. – Tak to jest, jak się człowiekowi zachce Bóg wie czego i okoniem do losu stawał co rusz będzie. Co komu pisane, to pisane, a wojny z przeznaczeniem swoim nikt nie wygrał jeszcze.

– Nasz Zenek też do miasta wyjechał – stwierdził z pretensją w głosie gospodarz.

– Ale to chłopak jest, mężczyzna, a to całkiem inna sprawa – odburknęła jego żona. – I ty mi go do Gośczyńskiego przypadku nie porównuj.

– Dlaczego inna? – zdziwiłam się. – Przecież sama pani mówiła, że dziewczyny dzisiejsze są mądre i mogą wiele osiągnąć...

– Jak są mądre, to mogą. Gośka natomiast mocno na umyśle szurnięta była. Wszyscy ją tu znali i wszyscy o tym wiedzą. Nawet rodzona matka i ojciec jej.

– Ja też ją znałam i odniosłam zupełnie inne wrażenie – postanowiłam zaprotestować. – W mieście Gosia zdała maturę i poszła na studia. Gdyby żyła, za rok miałaby tytuł magistra.

– A co ma piernik do wiatraka? Mało to magistrów szurniętych po świecie chodzi? – włączył się znów do rozmowy gospodarz.

Wszystko to zaczęło się robić na tyle niejasne, że teraz już za wszelką cenę chciałam dowiedzieć się jak najwięcej.

– Czy jej babka utopiła się w studni? – spytałam, prowokując kolejny temat.

– Czemu niby miała się topić? – Pani Barbara uniosła w zdziwieniu brwi.

– Tak mi się coś... o ucho obilo – odparłam.

– Żadna babka się jej nie utopiła. Jedna, ze strony matki, cały czas z nimi mieszka i dobrze się miewa. A ta od strony ojca też się dobrze miewa, ale z nimi nie mieszka. Do drugiego syna do Katowic wyjechała i tam siedzi do dziś. Jakby jej co było, to byśmy wiedzieli na pewno.

– A jakaś... prababka czy coś takiego?

– Pomarły na długo przed narodzeniem Gośki. Sama pani widzi, że nikt się nie utopił. Ona pani naopowiadała tych głupot?

– Nie wiem, może to ja coś źle zrozumiałam. – Nie chciałam jeszcze bardziej pogrążyć Małgorzaty w ich oczach. – Tak, na pewno mi się coś pokręciło.

Małżonkowie spojrzeli na mnie podejrzliwie. Może dla nich też byłam już teraz szurnięta. Postanowiłam więc być z nimi odrobinę bardziej szczerą.

– Muszę się państwu przyznać, że po to właśnie chciałam zatrzymać się w Strupniu, by się czegoś o przeszłości Małgosi dowiedzieć. Ale nie chciałam rozpytywać o nią wprost, myślałam, że jakoś tak... przy okazji coś ktoś powie, to tu, to tam...

– Po co to pani? Opisywać pani będzie czy co? – spytał pan domu.

– Ależ skąd. Mieszkałyśmy w jednej kamienicy drzwi w drzwi i przyjaźniłyśmy się nawet, można powiedzieć.

– Z ciekawości, znaczy się? – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem pani Barbara. – To już rzecz inna jest, każdy przecież ciekawość w sobie ma i lubi wiedzieć, co i jak. No nie, Rychu?

– A jakże, w końcu między ludźmi żyjem, to i nasze prawo wiedzieć, z kim przestajem. Jakie ten czy tamten zwyczaj posiada, narowy, a nawet może i zalety. Ano więc niech pani się pyta, co wiemy, to powiemy – zapewnił pan Rychu.

W obliczu takiej otwartości prawie straciłam język w gębie i nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Jacy są ci Piątkowie? – spytałam, może nieco zbyt ogólnie.

– Dziwne. Milkliwe, pozamykane w tej swojej chałupie, właściwie mało kto tam do nich zachodzi.

– Co ma zachodzić, jak z nimi ani pogadać o czym, ani kawy napić się czy wódeczki choćby – uzupełnił pan Rychu. – I nie dlatego, że one niepijące. Ot, nietowarzystkie takie. Mruki jedne w drugich. A nawet usiąść tam za bardzo nie ma gdzie.

– Bieda taka?

– I bieda, i ciasnota. Stary Piątek, jak jeszcze zwawszy był, to na zmianę albo kradł, albo w pace siedział. A co wrócił, bachora swojej kobiecie przymajstrował. Jak go dom zmierzył, szedł w Polskę, nie wiadomo gdzie i po co.

– Jak nie wiadomo? Kraść, kombinować, kontrabandę uprawiać – zaprzeczył słowom żony pan Rychu.

– Ale tak się mówi, no nie? – zgromiła go żona.

– Mówi się albo jak jest, albo się milczy – zaprotestował mąż. – Nie po to pani pyta, ażeby ją półsłówkami raczyć.

– Niech ci będzie. A jak mu się udało czasem tak nakraść, że go nie przyskrzynili, Piątkom się w domu poprawiało na jakiś czas...

– A pani Piątkowa? Jak znosi taki los? – zmieniłam nieco kierunek rozmowy.

– Jaka ona tam pani. – Gospodyni machnęła ręką. – Toż ona, pożał się Boże, jak własny cień snuje się po świecie. Pięć groszy nikt by za nią nie dał. Choć niegdyś była całkiem niczego...

– Miałam okazję widzieć ich oboje na weselu Gosi. Nie było aż tak źle... – weszłam jej w słowo.

– No pewnie, bo się musieli z tej okazji ubrać i poczesać. Normalnie to jakby Wieśka w domu grzebienia nie miała. Ani włożyć co na grzbiet do sensu. Nawet jak do kościoła idzie, to nie znać po niej, że święta niedziela.

– Czasu nie ma pindrzyć się – wytłumaczył ją pan Rychu. – A jak niedziela nadejdzie, to i siły już pewnie...

– A ileż to czasu trzeba, żeby świąteczną suknię wdziać i włosy uładzić? – zniesmaczyła się jego żona. – Widziałeś kiedy, żebym ja się pindrzyła? Nie. A jak fleja między ludzi nie chodzę. Co innego po domu, jak nikt człowieka nie widzi – dodała, spoglądając na swoją poplamioną i miejscami popuszczaną w szwach sukienkę.

Jako „nikt” nie skomentowałam jej słów.

– Czym dziś się zajmuje mąż pa... Piątkowej? – poprawiłam się, nie chcąc użyć słowa „pani”. – Pewnie jest na rencie lub emeryturze?

– A kto by mu dał! – prychnęła pani Barbara. – A przede wszystkim: za co? Ot, kręci się w obejściu, jak ma polot, to nawet i w czym pomoże. Jak nie ma, to leży i w telewizor się gapi.

– To z czego żyje?

– Z czego? Z pracy rąk – zarechotał pan Rychu. – Tyle że nie swoich.

– Wieśka na dom zarabia, do miasta, do przetwórni dojeżdża dwadzieścia kilometrów dziennie – dodała pani Barbara.

– I cały dom z tej pensji utrzyma? I chłopa, i dzieciaki? A z tego, co wiem, najmniej szóstka jeszcze z nimi mieszka – zdziwiłam się.

– No nie. Żarcie sami uhodują sobie, jak wszyscy tu. I z pomocy społecznej co nieco dostaje na bachory. Same tak o dzieciakach własnych mówią.

– Dlaczego więc tak państwa dziwi czy też gorszy, że Małgosia chciała zmienić swoje życie i odejść z takiego domu? – spytałam.

– Nie to dziwi. Jakby wyjechała, normalną robotę podłapała, czy w sklepie, czy gdzieś w fabryce, chłopa zwyczajnego, takiego na swoją miarę, znalazła, dziś by na pewno w grobie nie leżała. Jej się po prostu we łbie przewróciło. Że niby ładna taka, że zdolna... Dobrze zawsze się uczyła, to fakt, ale jak człowiek od korzeni swoich odstawał będzie, uschnie i szejnie. A ona od małego we łbie przewrócone miała. Jak jej matka kazała gęsi na łące dopilnować, kładła się w trawę i poezje czytała. A gęsi nie raz, nie dwa same bez niej do domu wróciły. Albo malować obrazy zachciało się jej, siadała na zydelku przy drodze, zagapiła się hen, gdzieś tam i dawaj na kartce smarować, co tam uwidziała. Zamiast rękawy zakasać i przy sianokosach pomóc. A to znów pieniądze ściubiła, jaja od kur podbierała i sprzedawała pokątnie, by gitarę za nie kupić. I kupiła! Grać się chodziła uczyć do organisty. Mówię pani, może i Piątki nie są takie, jak należy, ale z tą dziewczuchą prawdziwe urwanie głowy mieli. Co jedna książka poszła w piec, albo bazgroły jakieś, następną przynosiła i jak ją tylko z oka spuścić, już nos między kartki wkładała. Dopiero jak Piątek gitarę na opał przeznaczył, nieco się uspokoiła. Ale do roboty nadal dziewczuchę zaganiać wołami trzeba było.

– Ona taka po babce ze strony ojca, proszę pani, stuknięta była – podsumował ten temat mąż pani Barbary.

– Tej, która do syna do Katowic wyjechała? – spytałam gwoli uściślenia

informacji.

– Też samej – odparł. – Ona też do życia niezdatna była za bardzo. A Gośka jej ulubiona wnusia przecież, jak mała była, obie wędrowały hen po polach, lasach, bez żadnego powodu. Tak im się podobało. Ona z babką w jednym łóżku spała, z jednej miski z nią jadła. A raz kaczkę, proszę pani, tak jedną przystosowała, że jak pies za nią chodziła. I gdy przyszła jej pora na rosół iść, takie larum dziewczucha podniosła na całą wieś, że nie było chałupy, w której jej wrzasków nie słyszano.

– Ale przecież tak było zawsze, nie pamiętasz? – spytała męża pani Barbara. – Jak wieprzka szlachtować trzeba było, Gośkę pod kluczem trzymali. Gdy cielaka sprzedali na rzeź do sąsiedniej wsi, pieniądze rodzicom ukradła, oddała temu, co kupił jego, i z cielakiem do domu wróciła. Ile ona manta za te głupoty zebrała, to tylko sama oraz dupa jej własna wie, proszę pani. I co, nauczyło ją to czego?

– Niczego, proszę pani. Naszemu Zenkowi, jak coś zbroił, raz tylko przyrznać starczyło i już więcej tej samej głupoty się nie imał. A Gośka jakby się sama prosiła o kłopoty. Żadnego wyczucia życiowego, posłuszeństwa ani szacunku względem rodziców w niej nie było. Rodzic to rodzic i jaki by nie był, słuchać się go w każdej sprawie należy, jak pan Bóg przykazał.

– To znaczy, uważają państwo, że gdyby Małgorzata była posłuszną córką, lepiej by na tym wyszła? Posłuszną... czyli jaką?

– Czyli jakby robiła tak, jak ojciec z matką przykazali. A czego nie kazali – nie robiła. Niech pani sama popatrzy, rodzeństwo Gośki, tak siostry, jak i bracia, wszystkie na wsi pozostali, większość pożeniła się, dzieci dochowała i żyją. Ona jedna, co wbrew wszystkiemu karierę zrobić w mieście uplanowała sobie – ziemię gryzie. A to chyba samo za siebie mówi.

Gospodarz aż poczerwieniał na twarzy od tej oracji.

– Tak czy inaczej, proszę pani, dziewczucha zawsze miała coś z deklek... Tyle wiadomo nam i tyle każdy jeden we wsi pani powie – spuentowała pani Barbara. – A jak pani chce więcej czegoś się dowiedzieć, niech pani idzie do jej chrzestnej, Wołek Regina się nazywa. Ta też na nią swój wpływ miała.

ROZDZIAŁ XIII

Tam, gdzie wszystko miało swój początek

Nazajutrz znów miałam zamiar prowadzić swoje dochodzenie, ale tym razem chciałam lepiej się do niego przygotować. Przemyśleć i uszeregować pytania, które zamierzałam zadać pani Barbarze i jej małżonkowi, a przede wszystkim sformułować je tak, by ich odpowiedzi musiały być jak najbardziej konkretne. Musiałam jednak wytrzymać z tym do wieczora, bo zarówno ona, jak i on mieli w ciągu dnia wiele gospodarskich zajęć. Śniadanie zjadłam u siebie, ale gdy zeszłam na dół po ser i jajka, bliźniaczki zadeklarowały, że przyjdą odwiedzić kota. Nie bardzo było mi to na rękę, bo zamierzałam zasiąść do laptopa i zrobić choćby szkic artykułu dla „Horizontu”, ale skoro im obiecałam, nie mogłam się wycofać. Miałam tylko nadzieję, że ich harce z Bu nie będą na tyle absorbujące, by zaburzyć mój plan.

Gdy dziewczynki weszły do mojego pokoju, były o wiele mniej śmiałe niż przy wczorajszej kolacji. A w każdym razie o wiele cichsze. Najpierw głaskały i przytulały kota, a następnie usiadły grzecznie na łóżku, układając go między sobą. Bu, który ostatnio nie mógł w ciągu dnia liczyć na tyle pieszczot z mojej strony, ile by chciał, przyjął towarzystwo bliźniaczek z zadowoleniem. Kiedy uznałam, że nic złego kotu z ich strony nie grozi, poinformowałam dziewczynki, że zamierzam zająć się swoją pracą, one natomiast mogą zajmować się Bu.

Otworzyłam w laptopie nowy dokument tekstowy i wystukałam raptem parę zdań, gdy jedna z dziewczynek odezwała się półgłosem:

- Proszę pani, a czy my możemy o coś się zapytać?
- Słucham. – Odwróciłam się w ich stronę.
- Ale nie powie pani mamusi? – zastrzegła dziewczynka, drapiąc za uchem szczęśliwego Bu.
- No... To zależy, o co chcecie pytać – odparłam ostrożnie.
- O tę... Piątkową Małgoškę – powiedziała szeptem druga.
- Pytajcie – odparłam, raczej z ulgą. – Jeśli będę mogła, odpowiem.
- A... a to prawda, że ona czarownicą była? – spytała natychmiast z wypiekami na twarzy.
- Tak u nas mówią – dodała druga.
- Kto tak mówi? Wasi rodzice? – zdziwiłam się.
- E, nie... Od nich to właśnie niczego dowiedzieć się nie da. Za smarkate nas mają. Inni mówią...
- No dobrze, ale kto? – chciałam wiedzieć na początek.

– A to różnie, proszę pani. Czasem słyszy się tu czy tam. Nawet w szkole u nas. Woźna na ten przykład...

– Dlaczego miałyby być czarownicą? – zamiast odpowiedzieć, sama zaczęłam je odpytywać.

– Podobno z umarlakami gadała. Po polach chodziła, żabów i pajaków szukała.

– No ale... po co?

– Jak to po co! – niemal oburzyła się jedna z bliźniaczek. – To pani nie wie, że czarownice nimi się żywią?

– I koty wyłapywała na wsi bezpieczeństwa. Może też do zjedzenia. – Wzdrygnęła się druga.

– Urok na Karola Sitniaków rzuciła podobno...

– Przez Goškę ojciec jej matkę swoją rodzoną z domu wygonił!

– A jak ją jedna kobieta za podbieranie jabłek z ogrodu sprąła, trzy jabłonki natychmiast jej uschły...

– I psa od Kawalców w studni utopiła...

– Zaraz, zaraz – przerwałam im tę licytację. – Może po kolei, dobrze?

Dziewczynki równocześnie skinęły głowami.

– Jaki urok, na jakiego Karola? – spytałam, bo o ile dobrze pamiętam, tak nazywał się mężczyzna, za którego chciano wydać ją tu za mąż.

– A jest taki jeden, bardzo przystojny nawet z urody, taki... – zawahała się dziewczynka, ale od czego ma się siostrę bliźniaczkę.

– ...do aktora jednego podobny, tylko że stary, będzie miał już ze dwadzieścia pięć lat – dodała jej siostra. – Jak on się nazywa?

– Sitnik. Zgłupiałaś czy co?

– Ten aktor!

– Pattinson. „Zmierzch” pani widziała?

– Nie, ale mniej więcej wiem, o czym jest ten film – odparłam. – I wiem, jak wygląda Pattinson.

– Ładny, nie?

– Dlaczego Małgorzata miałyby rzucić na niego urok? To znaczy na Karola Sitnika – doprecyzowałam.

– Bo czarownice tak lubią. Na złość robić. Cierpienie zadawać – powiedziała jedna z sióstr z błyskiem w oku.

– Najpierw go omamiła i on w niej się zakochał na bój-zabój, a potem go nie chciała. Ale, proszę pani, jak sobie wiedźma kogoś upatrzy, to on podobno po grób do niej należeć musi. Nie ma uprosić!

– A tak! Bo kiedy Karol w końcu z inną się ożenił, ta żona zaraz jemu zmarła. Rok nie utrwało!

– Rok? – spytałam, bo z tego, co mówiła Gosia, zostało mu na wychowanie

troje dzieci.

– No dobra. Trzy z okładem. Ale to i tak prędko, nie? – poprawiła się dziewczynka.

– Rozumiem. A pies? Czemu miałby się utopić przez Małgosię? – przeszłam do kolejnego, interesującego mnie wątku.

– To nie był JEJ pies, ale jego zmamiła i tak samo jak Sitników Karol za nią łąził wszędzie. Na zapłociu do studni wpadł.

– Jak to się mogło stać? – zdziwiłam się, mając przed oczami własne wyobrażenie studni, nawet jeśli niczym nie nakrytej, to z w miarę wysoką cembrowiną.

– Normalnie. Poleciał za nią i wpadł. – Dziewczynka wzruszyła ramionami.

Nie zamierzałam drążyć więcej tego tematu, a w każdym razie nie tu i teraz, choć motyw owej studni pojawiał się na tyle często, że postanowiłam przynajmniej zobaczyć ją na własne oczy. I w ogóle robiło się coraz ciekawiej, z elementami horroru i kryminału. Choćbym miała przedłużyć swój pobyt w Strupniu na czas bliżej nieokreślony, teraz już musiałam wyjaśnić rzecz do samego końca, a w każdym razie wykorzystać w tym celu wszystkie możliwe środki.

– Posłuchajcie, dziewczynki. – Uznałam, że już najwyższa pora, by odpowiedzieć na ich pytanie. – Znałam Małgorzatę blisko pięć lat. I nie uważam, żeby była czarownicą ani też żeby... miała jakoś nie po kolei w głowie. To była całkiem normalna dziewczyna, której największym marzeniem było przeprowadzenie się do miasta, zdobycie wykształcenia, znalezienie dobrej pracy i założenie rodziny. Nie powiodło jej się, niestety, bo i tak bywa. Zaręczam wam jednak, że Małgorzata nie zrobiła nikomu niczego złego. Wszystko, co się o niej mówi, to plotki. Bujdy, a nawet oszczerstwa.

Dziewczynki patrzyły na mnie, wyraźnie rozczarowane.

– Zresztą czarownice, wampiry, upiory – takie rzeczy nie istnieją. Przynajmniej w realnym życiu, co innego film czy powieść. Tam może się wydarzyć wszystko.

– To... czemu Sitnik się tak w niej beznadziejnie zabujał?

– Bo była piękną dziewczyną. Nie musiała stosować czarów, by się ktoś w niej zakochał.

– A czemu w takim razie umarła jego żona? – próbowały jeszcze negocjować dziewczynki.

– To już wy mi powiedzcie, bo ja nie wiem. Chorowała na coś?

– Nie. Umarła, jak rodziła trzecie dziecko. Coś tam... jej pękło czy jakoś tak.

– Wobec tego już mogę wam powiedzieć, czemu umarła.

Dziewczynki jak na komendę pochyliły się w moją stronę.

– Bo coś tam jej pękło przy porodzie – odparłam, patrząc na nie z powagą.

– Wcale nie przez Małgośkę? – spytała z zawodem jedna z dziewczynek.

– Wcale nie. Prosiłyście mnie, żeby nie mówić o tej rozmowie waszej mamusi, więc nie powiem. Ale wy wobec tego również skończcie już ten temat, bo nie ma w nim żadnej sensacji. Naprawdę.

Miałam nadzieję, że chociaż te dwie młode osobki udało mi się przekonać, że Gosia była zwyczajną (choć niezwykłą) dziewczyną, która nie zasłużyła sobie na podobne opinie.

Nic nie wyszło z moich pisarskich planów, ale to miał być tylko projekt, który pozwoliłby mi zabić czas do wieczora, to znaczy do chwili, gdy będę mogła znów wrócić do rozmowy z gospodarzami o Małgosi. Temat ten jednak powracał sam z siebie, moi rozmówcy natomiast byli coraz bardziej zaskakujący. Najpierw kilkunastoletnie panienki, a potem... zostałam zaproszona na obiad przez rodziców Małgosi. Wszystkiego bym się spodziewała, ale to akurat przerosło moją wyobraźnię.

Wczesnym popołudniem ponowiły u mnie swoją wizytę dziewczynki, tym razem z krótką informacją, że ktoś do mnie przyszedł. Zeszłam zdziwiona na dół i zobaczyłam małego, najwyżej dziesięcioletniego chłopca.

– To jest ta pani. No, gadaj, co miałaś mówić – zachęciła go pani Barbara.

– A... bo to... Bo... matula kazali mi zawołać panią do nas na obiad – powiedział, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Czyli kto? – spytałam, spoglądając na gospodynię.

– Czyli Piątkowa Wieśka. Bo to jest Kacper, jej najmłodszy – wyjaśniła kobieta.

Poczułam się nieswojo, bo pewnie Piątkowie już się dowiedzieli, że się nimi interesuję, i mogli poczuć się tym urażeni. Trudno – pomyślałam. – Będę się jakoś tłumaczyć.

– No to niech pani idzie – dodał cicho chłopiec.

– Teraz?

Kacper skinął głową.

– Poczekaj wobec tego, muszę się ubrać – poprosiłam.

– My się kotem zajmujemy, niech się pani nie martwi – wyrwały się bliźniaczki. – Nie będziemy go wypuszczały z pokoju – dodały, widząc moje wahanie.

– Okej – zgodziłam się i pobiegłam na górę po kurtkę i botki.

Chłopczyk dreptał obok mnie w milczeniu, co jakiś czas wycierając dłonią nos. Miał na sobie zdecydowanie za duże buty i... zdecydowanie dziewczęce. Rozchylna kurtka odsłaniała jego gołą szyję.

– Nie masz szalika? – spytałam, bo pogoda zdecydowanie nie sprzyjała chodzeniu z takim dekoltem.

– Mam, ale śpieszyłem się – odparł chłopczyk, pociągając nosem.
– Chcesz chustkę?
– Nie – odparł i na dowód tego, że świetnie sobie bez niej radzi, wytarł nos rękawem.

– Może zapnij się chociaż – zaproponowałam.
– Zamka nie ma. Popsuł się – odparł mały, a ja nie spytałam już o nic.
– Zaczekaj tu chwilę – poprosiłam, gdy przechodziliśmy obok sklepu.

Chłopczyk skinął głową, a ja weszłam do środka. Kupiłam parę czekolad, trochę cukierków na wagę i kilka paczek ciastek.

– Możemy iść – oznajmiłam drepcącemu pod drzwiami chłopcu i Kacper ruszył przed siebie, pilnie bacząc, czy aby dotrzymuję mu kroku.

Dom państwa Piątków stał na uboczu i był na tyle oddalony od głównej drogi, że prawie nie było go z niej widać. Gdyby pora roku była inna i okalające go drzewa miałyby liście, nie byłby widoczny w ogóle. Budynek był niski, długi, kryty starą, czerwoną dachówką. Niewiele pozostało z pokrywającego go niegdyś tynku, w wielu miejscach widoczne były gołe cegły, a niewielkie drewniane okna z pewnością dawno nie były malowane.

– Pani wchodzi. – Kacper otworzył przede mną drzwi.

– Wejdzie, ale śmiało! – dał się słyszeć z wnętrza ciemnej sieni damski głos. – Przepychów u nas nie ma, jak to na wiosce, ale radzi ugościć!

Piątkowa, która po chwili wyłoniła się z półmroku, wskazała mi ręką kierunek, w którym powinnam się udać. Za stołem w dość sporej, ale z uwagi na ilość nagromadzonych w niej sprzętów mało przestronnej kuchni siedziało kilka osób płci obojga: dwie młode kobiety i chłopak w przybliżonym do nich wieku, dwie dziewczyny w wieku chyba gimnazjalnym i jedna, wyglądająca na rówieśnicę bliźniaczek pani Barbary. Teraz dołączył do nich jeszcze Kacper. Wszyscy siedzieli w milczeniu i patrzyli na mnie.

– Pani szanowna siada. – Gospodyni podsunęła mi krzesło, ale zanim usiadłam, omiotła je trzymaną w dłoni ścierką.

– Proszę. – Podałam jej trzymaną w dłoniach siatkę. – Przyniosłam trochę słodczy dla dzieci...

Kobieta wzięła ją ode mnie bez słowa i schowała do szafki.

– Może da im pani na deser, po obiedzie – zasugerowałam.

– Dostaną, jak grzeczne będą. Na razie żadne niczym się nie zasłużyło. Gabryś, ano chodźże wreszcie, gościa mamy! – wrzasnęła w stronę sieni.

Posadzono mnie z honorami, u szczytu stołu.

Pan domu, świeżuchno wygolony i pachnący, wszedł wolno i majestatycznie, żeby nie zrobić wrażenia, iż się do czegoś spieszy.

– Gabryjel – przedstawił się i cmoknął mnie w rękę.

– Wiem, mieliśmy się już okazję poznać – powiedziałam z uśmiechem.

– A i owszem – potwierdził mężczyzna. – Aczkolwiek jakby pani nie pamiętała, raz jeszcze prezentuję się.

– Dorota – i ja zaprezentowałam się po raz drugi.

– Miło mnie jest niezmiernie – odparł pan Gabrys i zasiadł naprzeciw mnie, po drugiej stronie stołu.

W ten sposób zajęte zostały wszystkie krzesła. Spojrzałam na panią Wiesławę pytająco, ale ta pod wpływem mojego wzroku podbiegła do rozgrzanej, murowanej kuchni i wyjęła z piekarnika sporych rozmiarów blachę.

– A i ot, u nas kartoflaczek na obiad. Z boczusiem i skwareczkami – zarekomendowała swoje kulinarne dzieło.

– Mniam, pychota! – odezwał się Kacperek, który widocznie śmieiej czuł się w moim towarzystwie.

– A ty czego, smarku! Masz, wyrwał się! Oj... czekaj ty swego na dzisiejszy wieczór – zgromił go ojciec.

– Przecież nic złego nie powiedział. – Spojrzałam na mężczyznę zdziwiona.

– W tym domu, proszę pani, bachory niepytane nie odzywają się – wyjaśnił.

– Jeszcze czego, żeby tyle mord nie dość, że do nakarmienia, to jeszcze do kłapania się zabrało. Toż jak w ulu byłoby! A człowiek spracowany wytchnienia przecież potrzebuje.

Gospodyni nakładała na talerze jedzenie i podawała każdemu po kolei, zaczawszy od małżonka. Potrawa zaserwowana przez nią wyglądała jak kawałek wielkiego placka ziemniaczanego, ale nie usmażonego na patelni, tylko upieczonego w piecu, jak ciasto. I tak też pachniało, nawet apetycznie, jednak by skorzystać z poczęstunku, musiałam zebrać w sobie całą siłę woli. W kuchni panował bowiem okropny zaduch, jakby nigdy tego pomieszczenia nie wietrzono. W ciężkim od wilgoci powietrzu mieszały się zapachy jedzenia, stęchlizny, tytoniu i teraz jeszcze wody kolońskiej pana domu. Domownicy wcinali, aż im się uszy trzęsły, ja natomiast, tłumacząc, że gorące, jadłam powoli, starając się bez gryzienia połykać małe kawałeczki.

– A teraz won, menażeria – rozkazał gospodarz, gdy wszyscy już zjedli. – Bo my napijemy się kawusi na ten przykład.

Gabrys puścił do mnie oko i klepnął w tyłek małżonkę, zbierającą ze stołu naczynia. Ta natychmiast zwiększyła tempo wykonywanego zajęcia, po czym postawiła na stole butelkę kolorowej wódki i trzy kieliszki.

– A na kawę już wstawiam – dodała i przesunęła czajnik w miejsce, gdzie blacha na kuchni była czerwona.

– Przepitki pani chyba nie potrzebuje? – zatroszczył się gospodarz. – Wszak to taka babska wódeczka jest, na pani cześć specjalna.

– Nie, dziękuję – powiedziałam i z wielką przyjemnością wypiłam do końca pierwszy kieliszek.

Zdecydowanie potrzebowałam czegoś mocniejszego.

– I widzisz, Wiesława, a mówiłaś, że miastowe panie wódki nie piją – ucieszył się Gabryś. – Winko mnie moja kupić kazała.

– Winko też dobre – odparłam dyszkantem, bo normalnie nie zwykłam wychylać na raz takich luf.

– To i ja rację wobec tego miałam – wtrąciła pani Wiesława.

– A od kiedy to baby rację miewają? – roześmiał się Gabryś hałaśliwie.

Aż mnie język świerzbiał, aby mu od czasu do czasu wyprostować poglądy, wolałam jednak najpierw się dowiedzieć, czemu zawdzięczam to zaproszenie. Państwo Piątkowie jednak się z tym nie kwapili. Słuchając jednym uchem ich naprzemiennej paplaniny na całkiem nieistotne dla mnie tematy, rozglądałam się ukradkiem po kuchni. Jej umeblowanie stanowił sprzęt w pełni zasługujący na miano eklektycznego: od typowego dla czasów socjalizmu kredensu, krzeseł – każdego z innego kompletu, po paździerzowe stojące szafki i ciemną politurowaną witrynę na wysoki połysk. Niemal jedną czwartą pomieszczenia zajmowała kuchnia na opał, z wysokim przypieckiem, na którym leżały jabłka, dynie i wielki słój z zakiszonym czerwonym barszczem. Na ścianach wisiały obrazy: dwa „święte” i martwa natura z owocami, fotografie i fajansowe talerze. Jedna z fotografii przedstawiała młodą kobietę, druga zaś równie młodego mężczyznę.

– To ja i moja Wieśka za młodu – objaśnił Gabryś, widząc, że przyglądam się portretom. – A tamte gruszki Gośka wymalowała. – Wskazał na martwą naturę. – Nie lubiałem, jak czas marnowała na durnoty, ale ten mi się jakoś uzdał, to oprawiłem i wisi.

Dobra nasza – pomyślałam. – Skoro doszło już do tematu Gosi, może się jakoś rozwinie. Wówczas jednak do kuchni weszła z wyglądu najstarsza spośród pozostających w domu córek.

– Babka jeść woła – oznajmiła.

Ojciec spojrział na dziewczynę złym wzrokiem, ale matka poderwała się z miejsca, ukroiła pajdę chleba, posmarowała ją masłem i podała dziewczynie.

– Masz. Herbata jest w garnku na piecu, więcej jej zanieś, niech nie woła co chwila.

– Ma twoja matka spust do jedzenia, niedawno temu taką samą pajdę Mirka zaniósł jej – skomentował ojciec, wyraźnie niezadowolony.

– Rentę co do grosza oddaje, należy jej się – odburknęła mu żona. – A bo to, proszę pani, matka moja jeszcze z nami mieszka – rzuciła w moim kierunku.

– Pytał się ciebie ktoś o to? Tyle razy tłukę wam do łbów: niepytane – milczeć. Pytane, odpowiadać z umiarem! – zezłościł się na żonę Gabryś.

– Cóżem ja takiego powiedziała? – złękła się Wiesława.

– Życie! Życie mnie, proszę pani, nauczyło, że jęzorem prędzej można grób wykopać sobie jak łopatą! – Z odpowiedzią zwrócił się do mnie. – A co, nie jest

tak?

Skinęłam głową w milczeniu, sama już nie wiedząc, jaką postawę powinnam przyjąć w tym dziwnym domu.

– Mówił pan, zdaje się, że Małgosia namalowała te owoce? – spróbowałam zawrócić temat na właściwe tory.

– Ona sama – potwierdził Gabryś.

– To bardzo smutne, że... odeszła w tak młodym wieku – weszłam na jeszcze delikatniejsze tory.

– Ano, proszę pani, jak kto sobie pościeli, tak i się wyśpi – odparł filozoficznie jej ojciec. – Tak miało być i tak się stało, z Opatrznością wojny nie wygrasz.

– Pewnie, że smutne, dziecko to w końcu dziecko, jakie by nie było – dodała pani Wiesława. – Choć łudziłam się nawet trochę, że co innego z tego wyjdzie...

– To była bardzo zdolna i pracowita dziewczyna – powiedziałam dla podtrzymania rozmowy.

– Phi! – prychnął pan Gabryś. – Jakby była pracowita, toby na wsi została, a nie szukała w mieście łatwego chleba. Że zdolna? A na cholere to komu? Tylko kłopot z tego był. Ja, niech pani sobie nie myśli, dla zdolnych kobit wyrozumienie mam: ot, uszyć, udziergać, w ogródku uhodować coś, a niechby i kwiatki! To są zdolności. Gośka nasza, proszę pani, fanaberie miała, nie zdolności. Jednego tylko dziś żałuję, żem z niej w porę ich nie wytłukł.

Mężczyzna wyraźnie zirytował się na wspomnienie Małgosinych talentów.

– Na to chyba nie ma sposobu – odezwałam się nieśmiało.

– Bić trza porządniej było, w chałupie od czasu do czasu na dłużej przymknąć, a niechby i w piwnicy ciemnej. O głodzie przetrzymać raz i drugi! Wtenczas by jej wszystko przeszło jak ręką odjął! Tu! – wskazał palcem na żonę – tu masz pani winowajcę. Ona rozpuściła dziewczuchę jak dziadowski bicz!

– Nieprawda! – Oburzona kobieta aż zerwała się z krzesła. – Matka twoja z niej takie dziwadło zrobiła!

– Matka matką – sarknął mężczyzna – ale kto stawał za nią murem, jak już matki mojej nie było? Nie ty czasem?

– Ja, i owszem, ale raz tylko. Jakeś się na nią z tłuczkiem do świńskich kartofli zamierzył. Do lania pasem nie wtrącałam się nigdy, bo rodzicielska to rzecz!

Kłótnia małżeńska rozgorzała na dobre, ja zaś dowiedziałam się, kto, kiedy, za co i czym tłukł w tym domu Małgosię. Moja wyobraźnia poszła w ruch i z trudem powstrzymywałam łzy. Bardzo chciałam, żeby przestali, z drugiej zaś strony chciałam wiedzieć o losie Małgorzaty wszystko, czego dowiedzieć się mogłam.

– Wypuszczając ją, jak pod klucz zamknąłem! – kontynuował zarzuty pod

adresem małżonki pan Gabryś.

– A tak! – wrzeszczała pani Wiesława. – Ale też raz jeden, gdy pierwszy raz kobiecej sprawy dostała. Miała się tam do cna wyświnić?

– Gdzie ją państwo zamykaliście? – wyrwało mi się mimo woli.

– W chlewiku. Jak taka koleżanka była dla kur i świń, krzywda się jej nie działa żadna – odpowiedział pan Gabryś. – Tylko że nic nigdy nie pomogło. Wprost jakby diabła za skórą miała! Jeszcze gorsza się robiła po każdym ukaraniu.

Wiśniówki ubywało z butelki w szybkim tempie. Gdy pan domu napełnił ostatnią kolejkę, postanowiłam się pożegnać.

– Wobec tego... państwa zdrowie. – Uniosłam w górę kieliszek. – Na mnie już najwyższa pora.

– Drugą przynieś – wydał polecenie małżonce gospodarz.

– Jeśli o mnie chodzi, naprawdę dziękuję – zaprotestowałam gwałtownie. – Muszę wracać, nie chcę, żeby pani Barbara się o mnie martwiła.

– Co się martwić ma? Lecz jeżeli pani to spokoju nie daje, trudno. Kacpra wyśle się, żeby odprowadził. Kaaaaacper!!!! Tu mi zaraz, do tatusia!

– Nie trzeba, naprawdę, bardzo miło mi się z wami siedziało, obiad był pyszny, wiśniówka wyśmienita, ale na mnie naprawdę już czas najwyższy...

Do kuchni wbiegł zaspany i wystraszony Kacperek. Spojrzałam na zegarek, okazało się, że zasiedziałam się u Piątków do dwudziestej drugiej.

– Proszę chłopaka nigdzie nie posyłać, ciemno, zimno, a ja i tak muszę już iść.

– Czego stoisz, durniu?! – Pan Gabryś, najwyraźniej potrzebując ujścia dla swojej złości, rzucił w synka stojącym nieopodal kaloszem, trafiając go w buzię. – Won, jak dorośli rozmawiają!

Chłopczyk nie zdążył się uchylić. Nie zapłakał. Nawet się nie skrzywił, po prostu odwrócił się i wyszedł.

– No! Spokoju trochę od tej szarańczy – oznajmił pan Gabryś. – Ale co ja to miałem... a, właśnie! Całkiem bym zapomniał, po co chcieliśmy z panią się widzieć...

– Słucham więc. – Spojrzałam na niego zaniepokojona, czego też ten przykry typ może ode mnie chcieć.

– No właśnie. Rozchodzi się o to, że pani naszą Gośkę dobrze znała, wiedziała pani, co, gdzie, jak i z czym... – zaczął mętnie.

– Owszem, myślę, że znałam państwa córkę całkiem dobrze – odparłam, nie doczekawszy się rozwinięcia zdania.

– W takim razie pani wie na pewno, co tam... po niej zostało... No nie?

Poczułam, że jeśli facet zmierza w przewidzianym przeze mnie kierunku, trudno będzie mi się opanować.

– Mieszkanie jakieś kupiła, zdaje się? Może auto miała, meble pewnie

niezgorsze, telewizor i takie tam... – badał.

– Trudno mi powiedzieć, co należało do Gosi, a co było wzięte na kredyt czy na raty – zaczęłam ostrożnie. – W każdym razie, nawet jeśli istnieje jakiś spadek, zgodnie z prawem wszystko należy do jej męża – skończyłam z wyraźną satysfakcją.

– Jak to do męża?! – oburzył się mężczyzna. – A my? Nie rodzina? Kto ją wychował i utrzymywał? Żywił? Opiekę zapewniał?

– Musiałby pan popytać prawnika – odparłam i pożałowałam, że od razu nie odpowiedziałam w ten sposób. – Ja się na prawie nie znam za bardzo.

– A pewnie, pewnie, że popytam! W końcu kto do spadku po dziecku prawa mieć powinien, jak nie rodzice? Ten obcy chłystek, co pięć minut małżonkiem jej był? Taka sprawiedliwość, proszę pani, być nie może!

Korzystając z okazji, że gospodarz popadł w jakiś amok i w koło Macieju powtarzał już to samo, pożegnałam się z jego żoną i wstałam od stołu.

– Pani zaczeka chwilę – powiedziała gospodyni, gdy już ubrana zmierzałam do wyjścia. – Mirka panią odprowadzi.

Zanim zdążyłam zaprotestować, kobieta przyprowadziła jedną ze starszych córek i poleciła mnie jej opiece. Dziewczyna wrzuciła na koszulę nocną długi, męski kożuch, bose stopy obuła w tak zwane gumofilce i wyszła razem ze mną.

– Nie musi pani ze mną iść, sama trafię. – Żal mi się zrobiło zaspanej dziewczyny, choć oczywiście z „obstawą” kogoś miejscowego byłoby mi różniej.

– Muszę, proszę pani – odparła. – Ale niech się pani tym nie trapi, bo i ja sama też chcę.

Wyszliśmy na główną drogę, skąpo oświetloną rzadkimi latarniami.

– Pani naprawdę tak dobrze znała naszą Gośkę? – spytała dziewczyna po jakimś czasie.

– Tak uważam – odparłam. – O ile jeden człowiek może znać dobrze drugiego.

– Ciężki żywot miała. Żadne z nas lekko nie ma, ale jej było najgorzej...

– To znaczy? – Wyczułam, że dziewczyna chce ze mną o swojej siostrze porozmawiać, ale że muszę ją do tego zachęcić.

– Widzi pani, ona jedna zbuntować się potrafiła, robić to, co chciała, nawet jak ją ojciec z matką lali jak tego psa, nie odpuściła nigdy. Ja... chciałabym być taka jak ona...

– I jak ona skończyć? – wymusnęło mi się.

– A niechby! – zaperzyła się Mirka. – Ja bym swoje całe życie zamieniła na te pięć lat, jakie ona spędziła daleko stąd! Ale nie mam na tyle odwagi, proszę pani... Ani siły.

– Byłyście z sobą blisko?

– Gośka nie była blisko z żadnym z nas. Swoją świat miała i w nim żyła. A ja

podziwiałam ją bardzo i modliłam się po nocach, żeby się jej udało. Marzyłam, że kiedyś mnie do siebie ściągnie. Teraz już nie mam o czym marzyć. Będzie, co ma być, ale jak o tym myślę, rozpacz mnie ogarnia...

– Tak bardzo pani nie chce mieszkać w tej wsi?

– Wsi? Nie, to nie o to chodzi. Tu nikt kokosów nie ma, ale ludzie żyją jakoś. My, proszę pani, rodzina cała, jesteśmy zakałą, popychadłem, pośmiewiskiem. Bez czci i poważania najmniejszego. Nikt tu tak nie żyje jak my. Czemu tak jest, ja sama nie wiem. Żadne z nas źle się w szkole nie uczyło i nie uczy, żadne nie lumpi się, na złą drogę nie zeszło, choć prawdę powiedziawszy, z takiej rodziny jak nasza każdy jeden miałby prawo do tego. No to czemu? Za co, proszę pani? Gosia jedyna chciała żyć inaczej i jak skończyła? Klątwa to jakaś? Czy kara?

Dziewczyna przystanęła na środku drogi i zakryła twarz dłońmi. Stary, obszarpany kozuch rozchylił się na boki, ukazując przykrótką nocną koszulinę z częściowo odprutą falbanką. Usłyszałam jej stłumiony szloch. Poczułam, że i mnie spływają po policzkach łzy. Kierowana odruchem, złapałam ją w ramiona i przytuliłam do siebie tak mocno, jak tylko zdołałam.

– Wracaj, bo zmarzniesz – szepnęłam. – Ja mam już niedaleko...

Mirka odwzajemniła mój uścisk i stałyśmy tak bez ruchu i bez słowa przez dłuższą chwilę.

– Dobrze, pójdę wobec tego – odpowiedziała w końcu, znacznie spokojniejszym głosem.

– Zaczekaj chwilę... – Wyjęłam z portmonetki stużłotowy banknot. – Weź, proszę, kup sobie coś ładnego.

– Co to da, proszę pani? Co by mi z tego przyszło? – Dziewczyna wcisnęła z powrotem mi pieniądze w rękę. – To mojego życia nie odmieni. A już z pewnością nie na lepsze...

Zostałam sama na drodze, w miejscu oświetlonym uliczną lampą. Zrobiło mi się wstyd. Bo cóż ja chciałam osiągnąć w ten sposób poza uspieniem własnego sumienia? Gdybym pomyślała choć przez chwilę, pewnie sama doszłabym do wniosku, że mój gest był nie tyle daremny, co zdecydowanie nie na miejscu. Poczułam, jak ogarnia mnie bezdena i beznadziejna rozpacz. I poczucie winy. Z powodu mojego życia, spokojnego, przewidywalnego i dostatniego. A także za sprawą dotychczasowego pojmowania nieszczęścia, porażki, upokorzenia. Bo to, czego do tej pory doświadczyłam, nie miało się nijak do rzeczywistości, którą odkryłam, przyjeżdżając tutaj. Co mogłam z tym zrobić? Jak pomóc? – myślałam gorączkowo. – Co mogłabym zaoferować tej młodej dziewczynie, poza ewentualnym dachem nad głową i ryzykiem, że powieli los Małgorzaty?

Wróciłam do domu pani Barbary, korzystając z klucza, który dała mi w dniu przyjazdu. Po cichutku wspięłam się na górę, przebrałam w piżamę i nie myjąc się,

padłam na łóżko. Bu, choć mocno już zaspany, wdrapał się na mnie i mrucząc z zadowolenia, zasnął ponownie.

ROZDZIAŁ XIV

O babce, co się w studni utopiła

Chrzestna matka Małgosi, ta, o której pani wspominała, gdzie mieszka? – zapytałam panią Barbarę, gdy zesłam na dół po coś do chleba na śniadanie.

– Jajecznica może być? Czy sadzone woli pani? – spytała kobieta, kładąc na rozgrzaną patelnię odrobinę smalcu.

– Może... jajecznica – odparłam z roztargnieniem.

– Z boczkiem?

– Nie, dziękuję, ale może być z cebulką.

Gospodyni sprawnie obrała cebulę i trzymając ją nad patelnią, bez użycia deski pokroiła w plasterki.

– Stara Wołkowa mieszka w takim murowanym domu, zaraz przy drodze, ale iść trzeba nie jak do sklepu, tylko w przeciwną stronę – odpowiedziała w końcu na moje pytanie. – Osiemdziesiąt dziewięć numer, zdaje się. Albo dziewięćdziesiąt osiem... A co? U Piątków mało o Goście pani wywiedziała się?

– Dużo. Aż za dużo... Ale chciałabym poznać sprawę z jeszcze innej strony.

– To śmiało. Z panią ona na pewno chętnie pogada. Dla nas, tutejszych, to za wysokie progi – stwierdziła kwaśno.

– Czemu?

– Wołkowa Regina za młodu sekretarką w podstawówce była. Inteligentka, znaczy się.

– O której godzinie najlepiej się tam wybrać?

– O której bądź, Wołkowa z domu prawie nie wychodzi. Sama mieszka, lubi, jak do niej zajść.

Zabrałam jedzenie na górę i gdy się okazało, że Bu również gustuje w jajecznicę, podzieliłam się z nim niemal po połowie. Niemal, bo całą cebulę zostawiłam sobie. Potem uczesałam się nieco staranniej niż zazwyczaj tutaj, nieco mocniej spryskałam perfumami i wyszłam, zawiadamiając dziewczynki, że jeśli zechcą, będą mogły pobawić się z kotem. Były akurat ferie zimowe, więc bliźniaczki niemal cały dzień przebywały w domu.

W Strupniu nie było ulic z nazwami, tylko same numery domów. Niekoniecznie szły po kolei, dlatego gdy już zdawało mi się, że zbliżam się do celu, nagle okazywało się, że po numerze sześćdziesiątym odliczanie rozpoczyna się od stu czterdziestu wzwyż. Interesujący mnie budynek usytuowany był pomiędzy numerem osiemdziesiątym drugim a sto dwudziestym czwartym. Furтка nie była zamknięta na klucz, ale zanim weszłam na posesję pani Reginy,

przemaszerowałam wzdłuż ogrodzenia, by sprawdzić, czy nie biega po niej luzem jakiś „zły pies”. Nie usłyszałam szczenia, uchyliłam więc furtkę i na wszelki wypadek nie zamykając jej za sobą, weszłam na ganek.

– Kto tam? – usłyszałam zza drzwi po dłuższej chwili.

No właśnie, kto? – pomyślałam, bo jak tu przedstawić się całkiem obcej kobiecie na tyle przekonująco, by wpuściła mnie do środka?

– Ja mieszkam u Barbary Lewczuk, pani mnie nie zna, ale... ale... jestem znajomą Małgosi Piątek! – olśniło mnie wreszcie.

Na to hasło otworzyły się przede mną drzwi i ukazała się w nich drobna, wsparta na lasce staruszka.

– Proszę wejść – zaprosiła mnie do środka.

Staruszka zaprowadziła mnie do pokoju, zupełnie innego niż te, które widziałam tu do tej pory. Były w nim wielka, pluszowa kanapa i fotel z tego samego kompletu, obszerna biblioteka z mnóstwem książek, stół, krzesła i pianino – prawdziwe antyki. Dom natomiast nie wyglądał na tak stary jak jego wyposażenie.

– Proszę, niech pani usiądzie. O, tu może będzie wygodnie. – Kobieta wskazała na fotel i zabrała leżącą na nim otwartą książkę. – Co mogę zaproponować? Kawę? Herbatę?

– Dziękuję, nie chcę sprawiać kłopotu...

– Herbatkę mam akurat zaparzoną, są i ciasteczka, więc to żaden kłopot. – Pani Regina z uśmiechem postawiła na stole porcelanowy imbryk, dwie filiżanki i talerzyk herbatników.

Przyniosła również konfitury na spodeczku i pokrojoną w plasterki cytrynę.

– Może z mleczkiem pani woli? – spytała. – A cukier mam tylko w kostkach...

– Dziękuję, konfitury wystarczą, herbaty nie słodzę. Może ja się przedstawię na początek. – Wyciągnęłam rękę w jej stronę.

Kobieta uściśniła ją swoją drobną dłonią i przytrzymała chwilę.

– Wiem, kim pani jest. Dziewczyna, która robi dla mnie zakupy, mi o pani opowiadała.

– Tak? Cóż takiego mówiła, jeśli można wiedzieć? – spytałam ciekawa, czy aby informacje na mój temat nie zaczęły już żyć własnym życiem.

– Jest pani redaktorką z Warszawy? Czy tak?

– Nie z Warszawy i nie redaktorką – roześmiałam się. – Współpracuję z pewnym miesięcznikiem, ale dość... luźno, powiedziałabym. Coś jeszcze?

– Podobno przyjechała pani szukać spadkobierców po Małgosi?

– Też nie.

– I przy okazji opisać mord u Bednarczuków?

– Również nie...

Staruszka spojrzała na mnie ciekawie, a po chwili sama się roześmiała.

– Wie pani, ja już od dawna nie wychodzę z domu, jeśli już, to w ciepłe dni i tylko do ogrodu. Moje wiadomości o życiu wsi pochodzą wyłącznie od odwiedzających mnie czasem ludzi. Ale chyba nie bardzo mogę na ich relacjach polegać...

– Może w sprawach wsi owszem?

– Chyba tylko tych najprostszych: kto umarł, kto się ożenił, komu narodziło się dziecko. Wydarzenia wykraczające poza, że tak powiem... rubrykę towarzyską narażone są na wypaczenia i deformacje – znowu zaśmiała się kobieta. – Co więc panią do nas sprowadziło?

– Właściwie celem mojego przyjazdu w te strony była sąsiednia wioska, w Strupniu zatrzymałam się tylko po to, by dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Gosi. Wie pani, od czasu, gdy zamieszkała po sąsiedzku, stałyśmy się sobie całkiem bliskie, choć może i różnica wieku między nami i wiele innych mogłyby sugerować, że taka przyjaźń nie jest możliwa... Ale była. Nie tylko możliwa, była naprawdę.

– Poznała się pani na niej po prostu. – Staruszka westchnęła ze smutkiem. – To była zawsze bardzo dojrzała dziewczyna. Za dojrzała jak na tutejsze warunki. Romantyczka i marzycielka. Dziś myślę, że i ja miałam niestety swój udział w jej nieszczęściach.

– Jak to? – Spojrzałam na kobietę zdziwiona.

– Może... gdybym nie podsycala tych jej marzeń, nie rozbudzała pasji, nauczyłaby się w końcu żyć jak wszyscy. Ona jednak z różnymi swoimi pomysłami przybiegała do mnie, a ja utwierdzałam ją w przekonaniu, że warto walczyć o swoje. Że nasz los leży w naszych rękach i nie powinniśmy pozwalać innym nim zawładnąć. Pożyczałam jej książki: „Alicję w Krainie Czarów”, „Księcia i żebraka”, „Małego Księcia”... Proszę mi wierzyć, pojęcia nie miałam, że ją w ten sposób krzywdzę. Nie przypuszczałam, że między jej światem a tym, co znajduje się za horyzontem, istnieje aż tak gruby mur. I że jest dla niej nie do przebycia... Powie mi pani, co się stało? Dlaczego się zabiła?

– Nie wiem, dlatego tu jestem – odparłam, bo w istocie, poza pewnymi domysłami, nie wiedziałam niczego na pewno. – Liczę na to, że pani mi coś o niej opowie.

– Jestem... byłam chrzestną matką Małgosi. Tak jakoś wyszło, bo ani jej rodziców zbyt dobrze nie znałam, ani nie żywiłam do nich sympatii. Jednak, jak to się mówi, dziecku się nie odmawia, więc nie odmówiłam. Muszę przyznać, że poczuwałam się do swojej funkcji, pamiętałam o urodzinach dziewczynki, imieninach, komunii, dniu dziecka – i zawsze starałam się czymś ją obdarować z tych okazji. A gdy się zorientowałam, że sprawiam jej w ten sposób raczej dodatkowe problemy domowe niż radość, zaczęłam po prostu w te dni wrzucać do

specjalnej skarbonki pewną kwotę pieniędzy. Dostała je ode mnie w dniu osiemnastych urodzin. Kupiła sobie za nie taki mały motorower.

– Motorynkę? – spytałam, bo Gosia wspomniała mi chyba coś na ten temat.

– Tak, motorynkę. Sprzedała ją, gdy postanowiła wyjechać ze wsi.

– Rozumiem. Niech mi pani wobec tego opowie o Małgosi, tak z własnego punktu widzenia. Jeśli pani zechce, oczywiście.

– To była bardzo biedna dziewczynka, od zawsze, od najmłodszych lat. Głównie dlatego, że miała większą od innych świadomość otaczającej ją rzeczywistości, zdolność dostrzegania i rozumienia swoich nieszczęść. To z kolei sprawiało, że próbowała się buntować, bunt zaś przysparzał jej kolejnych kłopotów. Właściwie jedyną osobą w jej rodzinie, która jako tako ją rozumiała, była babcia Frania. Taka trochę zdziwaczała kobiecina. Zdaniem ludzi we wsi „szurnięta”, rzecz jasna...

– Na czym to jej dziwactwo polegało?

– Była bardzo małomówna. Właściwie mówiła tylko wtedy i tylko to, co musiała. Za to przez cały czas nuciła coś pod nosem, w wolnych chwilach chodziła na spacer, zbierała zioła, polne kwiatki i suszyła na przypiecku w kuchni. Gosi takie towarzystwo bardzo odpowiadało, towarzyszyła więc babce, gdy tylko mogła. Przynajmniej było pewne, że nie usłyszy od niej połajanek i wyzwisk, nie oberwie zniecka, czym popadnie. Tak wyglądała ich „podejrzana” komitywa.

– Czemu więc babka zostawiła ją i ni stąd, ni zowąd wyjechała w siną dal? Dlaczego nie zabrała jej z sobą?

– I ja się nieraz nad tym zastanawiałam – przyznała pani Regina. – Ale podobno babcia Frania wyjechała dość nagle, po jakiejś wielkiej domowej awanturze.

– Po awanturze? Kobieta, która prawie się nie odzywała? – zdumiałam się.

– No właśnie w tym rzecz, że raz jeden się odezwała. Na całą okolicę było ją słychać. Nikt właściwie nie wie, co wówczas się stało, mówi się, że na synalka swojego, Gabrysia, ogromnie się zdenerwowała. Omal nie zabiła go podobno, ciskała w niego, czym popadnie, a klęła tak, że świat nie słyszał. Jeszcze tego samego wieczoru trzasnęła drzwiami i jak stała, pojechała do drugiego syna. Tyle wiem i ja.

– A Małgosia? Nie mówiła nic na ten temat?

– Wtedy ona w ogóle przestała mówić. Przez tydzień czy dwa po tej grandzie słowa nie wypowiedziała do nikogo. Przestała chodzić do szkoły, uciekała w pola, do domu wracała późnym wieczorem.

– Z panią też nie rozmawiała?

– Też. Dopiero ksiądz jej do rozumu przemówił i pomalutku wszystko zaczęło wracać do normy. O ile oczywiście można tak powiedzieć.

– Pani Regino – odezwałam się po dłuższym milczeniu, szeptem, jakbym

sama bała się usłyszeć to, co powiem.

– Tak? – Kobieta spojrzała na mnie z uwagą.

– Do tej pory zastanawiałam się, czemu Gosia mnie okłamała. Ale teraz tak sobie myślę, że... może to jednak nie było kłamstwo?

– To znaczy?

– Bo mnie powiedziała, że jej babka utonęła w studni...

Pani Regina wstała, pobladła, wzięła w rękę laskę i zaczęła krążyć wokół stołu.

– Co takiego?! U nich w obejściu nie ma studni – powiedziała po chwili, jakby z nadzieją w głosie.

– Wiem. Ale mnie się ciągle, od czasu, jak tu przyjechałam, płacze jakaś studnia „na zapłociu”.

Pani Regina podeszła do drzwi, uchyliła je nieco i zaczęła nasłuchiwać.

– Irka? Irenka, to ty? – krzyknęła w stronę sieni.

– Jestem, proszę pani, bułki przyniosłam i kiszkę kaszaną, jeszcze ciepłą. – W drzwiach pojawiła się dość tęga, młoda dziewczyna.

– Posłuchaj, dziecko, leć szybciotko do Piątków i powiedz, żeby natychmiast przyszła do mnie Beata. Okna potrzebuję dziś jeszcze umyć.

– Ja bym przecież mogła – powiedziała dziewczyna z urazą w głosie. – Beata lepiej tego nie robi.

– Wiem, ale ty myślaś na święta, teraz jej kolej.

Nie dalej jak po dwudziestu minutach pojawiły się obie: Irka i jedna ze starszych córek Piątków.

– Masz – pani Regina wsunęła w dłoń Ireny dzie-sięcio-złotowy banknot – i przyjdź jutro.

Dziewczyna dygnęła, pożegnała się i wyszła.

– Pani mnie wołała? – spytała Beata panią Reginę, ze wzrokiem wlepionym we mnie.

– Tak, siadaj sobie, dziecko. Sprawę do ciebie mam.

– Szmatki przyniosłam, podobno okna myć trzeba...

– To za chwilę, ale teraz chciałabym od ciebie czegoś innego. Zapytam o coś, a ty mi odpowiesz jak na świętej spowiedzi, dobrze?

Beata spojrzała na panią Reginę z przestraczem i nie odpowiedziała.

– Gdzie jest twoja babcia? Frania?

– Przecie wszyscy to wiedzą, że ją tatko z domu wypędził...

– No dobrze. Ale nikt nie wie za co. I to bym chciała od ciebie usłyszeć.

– Nie wiem – odparła cicho Beata i zwiesiła głowę.

– Wiesz! Wszyscy to wiecie, bo była wielka awantura. Trzeba było być głuchym, żeby nie słyszeć, o co im poszło. Ja myślę, że o Małgosię. Mam rację?

Dziewczyna milczała jak zakłęta. Nie pomagały prośby ani groźby. Było mi

jej serdecznie żal i już miałam zamiar prosić panią Reginę, żeby zaprzestała tego przesłuchania, ale wcześniej postanowiłam zadać jej jedno pytanie od siebie.

– W porządku, Beatko, ja rozumiem, że to jakiś rodzinny sekret, ale powiedz chociaż, kto i dlaczego zabronił wam na ten temat mówić. Myślę, że tyle nam wystarczy.

Dziewczyna rozważała przez jakiś czas moje pytanie w myślach.

– Ojciec zabronił. A my wszyscy na krzyż i Pana Jezusa przysięgalim...

Pani Regina wstała z miejsca i pochyliła się nad dziewczyną.

– A jak ty sobie myślisz?! Co Panu Jezusowi bliższe, twoja biedna siostra, co jednego dnia dobrego życia pod waszym dachem nie zaznała, czy zapijaczona morda twojego tatki? Łajdaka i kryminalisty, co?! – kobieta wykrzyczyła gromkim głosem.

Beata milczała, pochlipując z cicha.

– O Gosię poszło – odpowiedziała po zastanowieniu. – Bo... Bo tatko ją wyjątkowo upodobał sobie. Ale nie jak córkę, tylko... rozumią panie?

Chrzestna Małgosi zacisnęła drobne dłonie w pięści.

– Gwałcił ją? – spytała ledwie słyszalnie.

– Nie. Bo jak się babcia Frania zorientowała, ku czemu się ma, pilnowała jej jak oka w głowie. Zabierała ją z sobą wszędzie, spała z nią w jednym łóżku...

– A wy? Do was się nigdy nie dobrał?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Do jednej Gośki taką słabość miał. A wtenczas... – Beata zmarszczyła brwi, jakby próbowała lepiej sobie wszystko przypomnieć – ...a, wiem. Małgosi jakoś tak nigdzie nie było i nie było, babka szukała, wołała, aż w końcu zastała ją z ojcem, w stodole... Nic nie zdążył jej zrobić, ale była tak spietrana, że cała się trzęsła.

– I o to babka zrobiła mu awanturę, czy tak?

– Awanturę? Babka wścieklizny dostała jakiejś! Jak nigdy dotąd za bardzo się nie odzywała, to wtenczas tak się darła i tak mięsem rzucała, że nikt z nas jeszcze takich przekleństw nie słyszał. I nawet bić się z nim chciała.

– Co było dalej?

– No... W końcu jak ojciec trochę doszedł do siebie, złapał babkę pod pachę i wyprowadził z chałupy. I tak powiedział, jak wrócił: „Ostatni pekaes mamusia złapała. Teraz, jak jej mój chleb nie smakuje, u drugiego synka niech pomieszka”. Potem kazał nam przysięgać na rany Chrystusa, że o tym, co zaszło, milczeć będziemy na wieki. Od tej pory babcia Frania u wujka Rafała w Katowicach mieszka, a do nas ani się odezwie.

– A wasza matka co na to?

– Że babkę z domu wygonił?

– Nie, że dziecko molestował.

Beata wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Z nią nigdy rozmowy na ten temat nie było...

– Ach, tak... U wujka Rafała w Katowicach – powtórzyła pani Regina z namysłem. – Wiesz co? Bardzo ci dziękuję. Zacznij na razie od okien w kuchni, a jak skończysz, weźmiesz się za te.

Dziewczyna podeszła do drzwi, ale jeszcze zanim wyszła, spojrzała błagalnie na panią Reginę.

– Nie bój się, ja nikomu nie powiem – zapewniła kobieta, domyśliwszy się, o co jej chodzi.

– I co teraz? – zapytała pani Regina po jej wyjściu. – Bo jestem jakoś dziwnie pewna, że nieszczęsna Frania do żadnych Katowic się nie wybrała.

– Ja również. Trzeba by to chyba zgłosić na policję.

– Że Gabrys Piątek zamordował swoją matkę? Nie, to byłoby zbyt niebezpieczne dla jego dzieciaków. Pierwsze podejrzenie o donos padłoby na nie. Ja myślę... że... Właśnie! Donos! Trzeba wystosować do policji anonim, ale tylko o takiej treści, że w studni na zapłociu spoczywają zwłoki kobiety. Niech już oni sami dochodzą, kto to jest, i poszukają sprawcy. W dzisiejszych czasach nie powinni mieć z tym problemu, zwłaszcza że grono podejrzanych okaże się... nadspodziewanie wąskie.

– Pani to zrobi? Napisze pani ten anonim? – spytałam z nadzieją.

– A jakże, z wielką przyjemnością. Jeszcze dziś, a jutro wyślę Irkę na pocztę. Wstałam, żeby się pożegnać.

– Jak długo pani u nas jeszcze zabawi? – Pani Regina z entuzjazmem uścisnęła moją dłoń.

– Planowałam pobyć tu jeszcze ze dwa dni, ale wie pani, mam już serdecznie dość tutejszych klimatów. Jutro z samego rana wybieram się do domu. Ale może jeszcze jedno... Co się stało u tych Bednarczuków?

– Starego ktoś zarąbał siekierą. Wszystko wskazuje na to, że syn, ale nie ma dowodów. Ani świadków. To znaczy jest jeden, Bednarczukowa widziała całe zajście, ale klnie się na wszystkie świętości, że to nie jej Piotruś. Odcisków palców zbrodniarz żadnych nie zostawił, a Piotruś ma alibi. Niezbyt wiarygodne, ale ma. Śledztwo się ciągnie, a wieś feruje wyroki. Jak zwykle wszyscy wszystko wiedzą lepiej, dopóki policja o coś nie zapyta, bo wtedy, jak to się mówi, „czeski film”.

Uśmiechnęłam się na ten komentarz, choć po prawdzie nie było ku temu powodu. Ale po prostu zbyt dobrze poznałam cały ten mechanizm...

ROZDZIAŁ XV

Dopóki śmierć nas nie połączy

Nareszcie w domu – powiedziałam na głos, jak tylko przekroczyłam próg mojego mieszkania.

Bu, gdyby umiał mówić, powiedziałaby z pewnością to samo. Dał jednak wyraz swojemu zadowoleniu w sposób właściwy dla kota: biegał z kąta w kąt, turlał się jak oszalały na swoim ulubionym dywanie, pobiegł do sypialni i przyniósł stamtąd swoją szmacianą mysz. Nawet jedzenie było dla niego na drugim miejscu. Chyba oboje odnieśliśmy wrażenie, że przemieściliśmy się nie tylko w miejscu, ale i w czasie...

Ja również, zanim zaspokoiliłam głód, podłączyłam laptop do Internetu i weszłam na pocztę. Skrzynka pękała w szwach, na szczęście nie było w niej niczego pilnego. Nie miałabym bowiem siły, by za cokolwiek się zabierać, mój charakter zaś nie pozwoliłby mi na zignorowanie najmniejszego nawet obowiązku. Odetchnęłam więc z ulgą i zabrałam się za nadrabianie wiadomości o świecie. Telefon do Miłosza odłożyłam na rano, a resztę wieczoru z ogromną przyjemnością spędziłam we własnym fotelu z ulubioną kawą we własnym kubku.

Niełatwo było mi jednak otrząsnąć się z ostatnich przeżyć. Wciąż wracałam myślami do tego, czego dowiedziałam się o życiu Małgosi na wsi. To jakbym przewinęła do początku oglądany od połowy film i dzięki temu nagle zrozumiała pozbawione kontekstu wątki. Może nie wszystkie, ale na pewno determinację Gosi, aby już tam nie wracać. Środki, z jakich korzystała dla osiągnięcia celu, nie zawsze były rozsądne czy etyczne, dla niej liczyło się tylko to, że były skuteczne. Dziś, gdy przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie i kilka kolejnych, tę butną, najeżoną kolcami, wulgarną dziewczynę, rozumiem, że taka postawa była jedyną z możliwych w jej dotychczasowym życiu. Do miasta dziewczyna przyjechała gotowa zmienić wszystko – siebie również. Postawiła swój los na jedną kartę, wkroczyła na drogę bez odwrotu. Jestem niemal pewna, że decydując się w pewnym momencie na zarabianie ciałem, wybrała jej zdaniem mniejsze zło; uważała, że w ten sposób krzywdzi wyłącznie siebie, czyli nikogo. Jak bardzo się myliła i jak dotkliwe konsekwencje przyjdzie jej za to ponieść, tego nie przewidziała, jak to się mówi, nawet w najczarniejszych snach... Miałam pewną hipotezę na temat jej samobójstwa, jednak jeszcze niezbyt spójną i zawierającą parę luk, dlatego nie mogłam uznać jej za sprawdzoną i pewną. Liczyłam jednak na to, ba, byłam wręcz pewna, że wszystko prędzej lub później się wyjaśni.

Z Miłozsem umówiłam się na wieczór. Najpierw musiałam nadrobić zaległości, jakie mi się zrobiły podczas pobytu na wsi, te najbardziej prozaiczne, jak ogarnięcie mieszkania z kurzu, pranie i uzupełnienie lodówki. Być może za odwróceniem jego wizyty stał również jakiś podświadomy lęk przed tym, czego on mógłby ode mnie chcieć. Zastanawiałam się nad tym od czasu, gdy oddzwoniłam na jego telefon, ale doprawdy nic, poza zwykłą towarzyską wizytą, nie przyszło mi do głowy. Sprawa okazała się jednak dość, że tak powiem, oczywista. Gosia, bo do takiego wniosku doszliśmy wspólnie, swój ostatni krok w życiu chyba precyzyjnie zaplanowała, w każdym razie pod względem formalnym: ustanowiła bowiem Miłozsa swoim spadkobiercą.

Kiedy mąż Gosi zjawił się u mnie o umówionej godzinie, niemal go nie poznałam. Schudł, poszarzał na twarzy, z jego dotychczasowej werwy nie zostało dosłownie nic. Usiadł bez słowa w fotelu, dokładnie jak wówczas, gdy przyszedł poinformować mnie o jej śmierci, i zanim przemówił, długo zbierał się w sobie.

– Pani Doroto – zaczął w końcu, też jakby nie swoim głosem – przyszedłem do pani z raczej prozaiczną sprawą... Gosia zostawiła mi wszystko, co do niej należało. Skontaktował się ze mną prawnik, któremu przekazała swoją ostatnią wolę, i okazało się, że jestem teraz właścicielem jej mieszkania i wszystkiego, co było jej własnością. Przyznam, że nie wiem nawet, gdzie owo mieszkanie się znajduje, bo ona nigdy nie zaprosiła mnie do siebie, a ja jej nigdy do tego nie namawiałem. Wiem tylko tyle, że gdzieś tu, niedaleko... Mam klucz... czy... mógłbym panią prosić, żeby poszła pani tam ze mną?

Spojrzałam na Miłozsa i miałam nadzieję, że nie dostrzegł lęku w moich oczach. Nie chciałam bowiem bardzo, by w mieszkaniu Gosi znalazł cokolwiek, co świadczyłoby o jej... chwilowym sposobie na życie. A to, jak sądziłam, było nieuchronne. Przez głowę przebiegła mi burza, co ja mówię, huragan myśli! Ostatnią rzeczą, której bym sobie życzyła, byłoby teraz odkrycie jej najmroczniejszego sekretu. Chciałam, żeby zapamiętał wyłącznie dobre chwile spędzone z Gosią i by jego miłość do niej nie uległa zmianie.

– Owszem, mogę z tobą pójść do mieszkania Gosi. Bo czemu nie... – dukałam. – Ale może... Najpierw poszłabym tam sama? Ogarnęła trochę? Bo wiesz... Małgorzata była nie lada bałaganiarą i nie chciałam...

– Niechże pani da spokój. – Miłozs przerwał moje pokrętne wywody. – To chyba oczywiste, że chciałabym zobaczyć wszystko tak, jak zostawiła. To... jakbym ją zobaczył. Taką, jaka była, jaka była... naprawdę.

Kiedy to powiedział, odczułam ciarki na całym ciele. Bo w istocie miał szansę zobaczyć tę prawdę...

– Miłozs, posłuchaj... jest późno – próbowałam z innej beczki. – Może umówmy się na pojutrze, co?

Byłam tak zdesperowana, że postanowiłam z samego rana udać się do cicią i choćby z gardła wyrwać mu zapasowy klucz do mieszkania Małgorzaty. Uporządkować je i w miarę możliwości zatrzeć wszelkie ślady jej, że tak powiem, zarobkowej działalności.

Miłosz zupełnie dla mnie niespodziewanie pochylił się w moją stronę i ze stoickim spokojem odpowiedział:

– Dobrze. Jak pani sobie życzy. O której godzinie mam przyjść?

– Może... o... jedenastej? – wydukałam, zaskoczona tak łatwą kapitulacją z jego strony.

– Dobrze. Wobec tego będę o jedenastej. – Mężczyzna wstał i uściśnął mocno moją dłoń. – W każdym razie z całego serca pani dziękuję za wszystko, co pani zrobiła dla Małgosi. I dla mnie...

Odprowadziłam swojego gościa aż do wyjściowych drzwi z kamienicy. Kiedy schodziliśmy po schodach, on ni stąd, ni zowąd uraczył mnie pozornie niewinną informacją:

– A wie pani, pani Doroto, jaki ten świat mały? Kiedy szedłem do pani, spotkałem na klatce swoją stu-dentkę...

Miłosz wyszedł, a ja stanęłam jak wryta. Jaką studentkę? Przecież w tej kamienicy nikt taki nie mieszka, a już z pewnością nie ma tu dziewczyny w wieku studenckim – przebiegło mi przez głowę i w końcu doszłam do wniosku, że musiało mu się coś pomylić.

Ostatnie słowa Miłosza nie dawały mi jednak spokoju do połowy nocy. Było w nich coś takiego, co w jakiś podświadomy sposób nagle wydało mi się być wyjaśnieniem śmierci Małgosi. Niestety, mimo najbardziej wyłożonego wysiłku nie byłam w stanie wpaść na jakikolwiek wiarygodny trop.

Rano, niewyspana i praktycznie półżywa z tego niewyspania i emocji, udałam się do dozorca. Mężczyzna, przekonywany przeze mnie na różne sposoby, od próśb, gróźb po próbę przekupstwa – klucza do mieszkania Małgosi mi nie wydał. Byłam takim obrotem sprawy niemal załamana. Bardzo chciałam zadbać pośmiertnie o dobre imię dziewczyny, a już na pewno w oczach tego, który jako pierwszy pokochał ją bezgranicznie i bezwarunkowo. Byłam przekonana, że czystość i głębia jego uczucia nie wytrzyma konfrontacji z rzeczywistością. A po tym, czego dowiedziałam się o jej parszywym losie, byłam przekonana, że jako jedna z niewielu, które poznały Małgorzatę **naprawdę**, byłam zobowiązana do ochrony jej dobrego imienia. Wlokłam się więc po schodach ze spuszczoną głową, rozmyślając mniej więcej w tym tonie.

– Dzień dobry! – usłyszałam żwawy damski głos, gdy byłam już na swoim piętrze.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam stojącą o stopień wyżej dziewczynę Majcherka.

– Pranie wieszalam na strychu. – Wskazała na pusty plastikowy kosz dzierzony pod pachą. – A swoją drogą, przydałoby się tam lepsze światło, nie sądzi pani?

– Sądzę – odparłam wolno i z namysłem. – A co pani, jeśli można wiedzieć, robi taka zadomowiona w naszej kamienicy?

– Co? Mieszkam tu od ponad miesiąca – odparła ze śmiechem. – U mamy Michasia. Tak sobie na razie, na próbę, a jak się nam ułoży, weźmiemy ślub i zamieszkamy na Zacisznej. Na razie się nie da, remont, rozumie pani. Kolejny! Mojej starszej dosłownie odbiło, ale cóż, jedną mnie ma, niech się stara...

Dziewczyna była zdecydowanie w bardzo dobrym nastroju. Pożegnała się ze mną uprzejmie i vice versa, ale to nie był koniec moich rozważań. Grubo po dwudziestej trzeciej, czyli godzinie, w której raczej nie składa się wizyt towarzyskich, olśniła mnie myśl na tyle natrętna i uparta, że postanowiłam się z nią skonfrontować. Narzuciłam szlafrok na koszulę nocną i zbiegłam na dół, kompletnie nie dbając o formy. Po naciśnięciu dzwonka u interesujących mnie drzwi ukazała się w nich sama pani domu, Eugenia Majcherek.

– Ja do pani Grażyny, na chwilę, jeśli można – wyjaśniłam.

Majcherkowa zmierzyła mnie z góry na dół, uznała chyba jednak w końcu, że nie stanowią dla nikogo zagrożenia.

– Grazia! – krzyknęła w głąb mieszkania. – Pani z czwartego do ciebie!

Dziewczyna wybiegła mi na spotkanie, rozbawiona jakimś wątkiem rozmowy toczącej się przed moim przyjściem.

– O co chodzi? – spytała ze śmiechem.

Pociągnęłam ją za rękę, a gdy znalazła się za progiem mieszkania Majcherków, zatrzasnęłam za nią drzwi.

– Gdzie pani studiuje? – spytałam bez wstępów.

Dziewczyna, zdecydowanie skonsternowana, bez namysłu podała nazwę uczelni, na której wykładał Miłosz.

– Wiesz, kim była Małgorzata Piątek? – spytałam, odruchowo przypierając ją do ściany.

– No... tak... Jeden z moich wykładowców był jej mężem...

– I?!

– Co... i?

– To ty mi powiedz! – zażądałam.

– O czym? – wyraźnie wiała się dziewczyna.

– To ty mi powiedz! Zanim włączę w tę sprawę policję!

– Ale... nie włączy pani? – spytała zdecydowanie mniej pewnie.

– To tylko od ciebie zależy – odparłam, nastając na nią z coraz większą

determinacją.

– Ja... ja tylko chciałam zaliczyć rok – wyznała cicho po dłuższej chwili.

– Jak?!

– No... Michaś mi doradził. Wszyscy w kamienicy wiedzieli, czym kiedyś zajmowała się jego żona... Myślałam, że będzie miała na swojego męża jakiś wpływ... On... był taki ostry! Oblałam u niego egzamin dwa razy z rzędu i miałam już tylko jedną szansę. Gdyby oblał mnie po raz trzeci, cały rok poszedłby się jeb... by mi przepadł.

– Szantażowałaś ją?

– Skąd! Poprosiłam tylko grzecznie. Znaczy się... Michaś poprosił.

– O co?!!! – Czułam, że czas najwyższy zakończyć te przekomarzanki.

– No... Żeby jakoś wpłynęła na tego swojego, wie pani, jak to kobieta na mężczyznę... Chyba dużo by jej to nie kosztowało...

– Tak sądzisz? – spytałam bliska wymierzenia samosądu. – Dziś chyba już wiesz, ile ją kosztowało?!

– Ale... to nie przeze mnie! Wyrzuty sumienia ją zeżarły! Tak mówi mama Michasia. – Dziewczyna wlepiała we mnie zdumione oczy, które powoli zaczęły zachodzić łzami.

– Oczywiście, że nie przez ciebie – odparłam, z trudem tłumiąc mordercze instynkty. – Tylko przez twoją głupotę.

Muszę przyznać, że po intensywnych przeżyciach dnia poprzedniego miałam uczucie, jakby wszystko, co działo się w ostatnich dniach wokół mnie, było co najmniej nierzeczywiste. Że sceny, które rozgrywały się pozornie z moim udziałem, były wytworem jeśli już nie mojej wyobraźni, to senną marą, z której lada chwila powinnam się obudzić. Właściwie po tym, czego się dowiedziałam od dziewczyny Majcherka, nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca, plątałam się z kąta w kąt, miotana uczuciem bezsilnej złości i rozgoryczenia. I ryczałam jak mała dziewczynka, nie potrafiąc przestać: z powodu ludzkiej, bezmyślnej podłości, a także tego, co nieuchronnie czekało Miłosza po wizycie w mieszkaniu Gosi. Ja już nic nie byłam w stanie z tym zrobić... Mogłam tylko mieć nadzieję, że dziewczyna sama postarała się o to, by nic kompromitującego w nim nie zostało.

Zaniepokojony moim zachowaniem Bu snuł się za mną krok w krok i pomiaukiwał. Złapałam go w końcu w ramiona i tuląc mocno do siebie, usiadłam w fotelu. Po chwili mokra była już nie tylko kolejna chusteczka, ale i futerko mojego kota...

Miłosz zjawił się u mnie punktualnie o jedenastej. Na pół godziny przed jego przyjściem próbowałam doprowadzić swój wygląd do jako takiego ładu i jakkolwiek udało mi się zamaskować upiorną bladość na twarzy, opuchlizna pod

oczami pozostała.

– Nie najlepiej pani wygląda – powiedział Miłosz, nie zważając na to, iż mówi do kobiety w wieku bardzo wrażliwym na tego rodzaju ocenę.

– Ty również – odwdzięczyłam się. – Siadaj. Napijesz się czegoś?

– Może... alkoholu, jeśli pani ma. Nie, nie przyjechałem samochodem – uspokoił mnie, widząc moje zdziwienie.

– Wino? Czy coś mocniejszego?

– Coś mocniejszego...

Nalałam do szklaneczek mojego ulubionego koniaczku, podałam jedną z nich Miłoszowi, sama zaś usiadłam przy biurku.

– Chyba źle pani spała – powiedział Miłosz po to chyba, żeby coś powiedzieć.

– Chyba.

Rozmowa się nie kleiła, najwyraźniej oboje byliśmy myślami gdzieś daleko stąd.

– Jeszcze jedną? – spytałam, gdy wypił swój alkohol.

– Nie, dziękuję, może... potem. Chodźmy już, dobrze?

– Okej – zgodziłam się i ruszyłam do wyjścia.

W przedpokoju Miłosz zdjął mój płaszcz z wieszaka i podał mi go gestem dżentelmena.

– Nie trzeba. – Spojrzałam na niego zaskoczona. – To tu, naprzeciwno.

Czyżby aż do tego stopnia nie zainteresował się tym, gdzie mieszka jego dziewczyna, że nawet nie wiedział, w której kamienicy?

– Po drugiej stronie? – Tym razem to on był zaskoczony.

– Tak, dokładnie naprzeciw mojego mieszkania.

W mieszkaniu Małgosi panował nienaganny porządek. Tylko kwiatki poschły w doniczkach... Miłosz rozglądał się wszędzie uważnie, dotykał mebli, patrzył przez okna, otwierał szafy i szafki. Nie było w nich niczego, co mogłoby rzucić cień na reputację Małgosi. Odetchnęłam z ulgą.

– O, w tym zobaczyłam ją po raz pierwszy. – Nie mogłam powstrzymać się od komentarza na widok znoszonego płaszczyka w szarą jodełkę. – A to... jej pierwszy tak elegancki strój – przypomniałam sobie na widok kompletu, który miała na sobie, gdy spotkałam ją w teatrze z Jakubem.

Na toaletce leżały kosmetyki, pudry, cienie, perfumy i... szczotka, w której zostało kilka długich, czarnych włosów. W łazience wisiał frotowy szlafrok z podwiniętymi przez Gosię, zbyt długimi rękawami. Na małej komódce leżały słoiczki z kremami i napoczęta paczka podpasek. To zaczynało być ponad moje siły. Kątem oka obserwowałam Miłosza, który też był już bliski płaczu. Ta konfrontacja ciągle istniejących przedmiotów z nieistniejącym już człowiekiem, który był ich właścicielem i ich używał, budziła mój zdecydowany, wewnętrzny

sprzeciw. Bo jakim prawem wszystkie te rzeczy leżały sobie ot tak, na swoim miejscu, jakby raptem kilka minut temu ktoś z nich jeszcze korzystał, a Małgosia... moja Małgosia, pozbawiona została swoich funkcji na zawsze? I nigdy, przenigdy już do nich nie wróci? Narastająca rozpacz dzieliła we mnie miejsce pół na pół z wściekłością. Nie wytrzymałam i z całej siły kopnęłam stojący w kącie łazienki kosz na śmieci. Ten z hukiem odbił się od ściany i wrócił na swoje miejsce w dwóch kawałkach. Miłosz chyba czuł się podobnie i w geście solidarności położył mi dłoń na ramieniu.

– Ci... Cicho, pani Doroto, cicho... – wyszeptał, jakby obawiał się, że zacznę krzyczeć.

Nie kojarzę, jak i kiedy chwyciliśmy się za ręce, i w takiej konfiguracji zwiedziliśmy pozostałą część mieszkania: kuchnię i sypialnię. Wszędzie panował nienaganny porządek. Jedyne cienka warstwa kurzu na meblach świadczyła o tym, że od jakiegoś czasu zamarło w nim życie. W ten sposób ja, kobieta pod pięćdziesiątkę, „po przejściach”, zjednoczona zostałam duchem, myślami i uczuciami z młodym, praktycznie obcym dla mnie mężczyzną. To zjednoczenie jednak było zdecydowanie silniejsze i trwalsze, niż mogłaby je uczynić najdłuższa nawet znajomość, wspólnota poglądów, zainteresowań i innych aspektów, łączących zazwyczaj ludzi.

W kuchni na stole natknęliśmy się na coś pozornie nieistotnego, ale to chyba nami wstrząsnęło najbardziej: była to filiżanka z niedopitą, pokrytą kozuchem pleśni kawą, ze śladem czerwonej szminki do ust...

Miłosz pociągnął mnie za rękę i przeszliśmy z powrotem do salonu. Usiadł na sofie i mnie zmusił do tego samego. Zakrył dłońmi twarz i zaczął szlochać jak małe dziecko. Pozwoliłam mu się wypłakać w milczeniu, choć i mną od wewnątrz targaly spazmy, które starałam się powstrzymać za każdą cenę.

– To ja ją zabiłem – wykrzyczał po dłuższej chwili Miłosz, kładąc mi głowę na kolanach, jak dzieciak. – Pani Doroto, kurwa mać, to ja ją zabiłem!!!

Patrzyłam zdumiona, jak nagle poderwał się na nogi, klnąc i bluzgając, po czym zaczął nerwowo przechadzać się po salonie.

– Co ty mówisz, Miłosz?! – jęknęłam ze zgrozą, myśląc, że z nieszczęścia pomieszało mu się w głowie.

– A tak! Ja, i nikt inny!

– Chodź tutaj. – Podeszłam do niego i tym razem to ja zmusiłam go, by usiadł obok mnie.

– Wie pani, jak poznałem Małgosię? – spytał z goryczą.

– Na uczelni. Była twoją studentką – odparłam zaskoczona, ponieważ był to fakt znany mi z opowiadań dziewczyny.

– Nie. To ona tak myśli... myślała. Ja... byłem jej klientem. Raz jeden. Wyrwałem ją, jak to się mówi, w knajpie, po jakimś mocno zakrapianym spotkaniu

z kolegami z uczelni. Oblewaliśmy wówczas... mniejsza z tym co, ale byłem już nieźle wstawiony i bardzo spodobała mi się ta siedząca samotnie przy barze dziewczyna. Już na pierwszy rzut oka widać było, czym się zajmuje, jej strój i sposób bycia był wystarczającym dla mnie sygnałem. Koledzy zaczęli się zbierać do domów, a mnie nie bardzo chciało się zakończyć ten wieczór samotnie, w mojej kawalerce. Podszedłem do niej, umówiliśmy się co do ceny, ona zadzwoniła po taksówkę i przywiozła mnie tutaj. Też była już na niezłym rauszu. Po drodze kupiliśmy butelkę wódki. Wówczas nie uzmysławiałem sobie, gdzie jest to mieszkanie, pewnie nigdy bym tu sam nie trafił, ale, proszę mi wierzyć, że gdy zaczęliśmy już później zbliżać się do siebie, nie bardzo miałem ochotę odwiedzić ją tu po raz drugi...

Słuchałam słów Miłosa, nie dowierzając własnym uszom. Straciłam czucie w moich, splecionych z jego, dłoniach.

– Poza tym, gdzie spędziłem tę noc, pamiętałem wszystko doskonale. Cudowną, zjawiskowo piękną i przy tym bardzo smutną dziewczynę. Seks był w zasadzie drugoplanowy. W głowie utkwiły mi rozmowy, prowadzone do bladego świtu, mocno zakrapiane kolejnymi drinkami. Małgosia... choć wówczas nie wiedziałem, że tak ma na imię, wywarła na mnie ogromne wrażenie. Jej inteligencja, wrażliwość, a przy tym taka... może to zabrzmie absurdalnie... niewinność... Bo już wówczas byłem pewien, że robi to, co robi, zmuszona jakąś koszmarną koniecznością. To nie była żadna dziwka, tylko bardzo zagubiona, niepewna siebie, delikatna dziewczyna. Może panią to zdziwi, że facet z moją pozycją i wykształceniem zawrócił sobie głowę kimś takim, ale poznałem już w życiu wiele dziewczyn i żadna nie miała w sobie takiej dojrzałości, takiej... duchowej głębi jak ona. Myślałem, że gdy wytrzeźwieję, przestanę sobie nią zawracać głowę, ale nic z tych rzeczy! Naprawdę, Małgosia tak bardzo wryła mi się w serce, w duszę, że próbowałem przez jakiś czas ją odnaleźć. Bez skutku. I proszę sobie wyobrazić, któregoś razu wypatrzyłem ją na sali wykładowej! Była moją studentką!

Miłosz spojrział na mnie, a jego twarz była teraz dla odmiany cała w ogniu, jakby trawiła go gorączka.

– Postanowiłem poznać ją bliżej. Od razu zorientowałem się, że ona kompletnie nie pamięta tej spędzonej ze mną nocy. Zakochałem się jak szczeniak. Nie miało dla mnie znaczenia, czym zajmowała się do tej pory, wiedziałem, czułem to, że jeśli uda mi się zdobyć jej wzajemność, będę w jej życiu już tylko ja. I tak się stało...

– Do czego zmierzasz? – spytałam, gdy zamilkł na dłuższą chwilę.

– Gdybym kiedykolwiek dał jej do zrozumienia, że znam jej przeszłość i że jest ona dla mnie kompletnie nieważna, nie doszłoby do tego. Miałem wrażenie, że Gosia próbuje mi o tym powiedzieć, ale wówczas byłem przekonany, że nie

dopuszczając do tego, postępuję właściwie...

– Ta studentka, którą spotkałeś na klatce... – próbowałam nawiązać do tematu, ale Miłosz mi przerwał.

– Wiem. Teraz już wiem... Przeanalizowałam sobie to w nocy. To znaczy domyślałam się, w granicach pewności.

– I twoje domysły są niestety słuszne, rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem... Co z tym zrobisz?

– O tym też myślałam. Nic. Nic nie zrobię. Zostawię to, jak jest. Bo co to da?

– I ja uważam podobnie... Miłosz, może to zabrzmie banalnie, ale trzeba się jakoś pozbierać i żyć dalej. Innego wyjścia nie ma. I dla ciebie, i dla mnie.

Miłosz pojechał do domu, a ja poszłam do siebie. Pokręciłam się trochę bez sensu po mieszkaniu i w końcu postanowiłam, że pora wrócić do rutynowych czynności. Zabrałam się za robienie obiadu. W ferworze ostatnich wydarzeń całkiem zapomniałam o uprzątnięciu kuwety Bu, a dzięki silikonowemu, bezzapachowemu żwirkowi moje powonienie nie zasygnalizowało mi takiej konieczności. Moje, bo koci węch był zdecydowanie bardziej wrażliwy, a że mój kot bardzo brzydził się zawartością swojej ubikacji, kilka razy w podobnej sytuacji załatwił się obok. Akurat skończyłam obierać ziemniaki, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Wytarłam dłonie w ścierkę i pobiegłam otworzyć. Przed moimi drzwiami stał gospodarz domu.

– Słucham pana? – spytałam.

– Pomyślałem sobie, że jeśli pani aż tak bardzo zależy, mogę otworzyć mieszkanie pani Piątek – wyjąkał, drepcąc w miejscu. – Ale może je pani obejrzeć wyłącznie w mojej obecności.

– Dziękuję, już nie trzeba – odparłam szybko, z zamiarem powrotu do podjętych czynności.

Niestety, Bu już zdążył załatwić się na podłodze i dokładnie jak kiedyś pośliznęłam się i upadłam. Poczułam w stopie przenikliwy, piekący ból. I, jak kiedyś, dokuśtykałam do telefonu i wezwałam pogotowie. Po powrocie do domu z założonym na nogę gipsem poprosiłam towarzyszącego mi sanitariusza, by sięgnął do pawlacza i wyjął z niego składany wózek, który kilka lat temu w podobnej sytuacji wykombinowała dla mnie Małgosia.

I co ja teraz zrobię? – pomyślałam, gdy mężczyzna rozłożył go i pomógł mi się w nim zainstalować. – Pozostały mi już tylko chyba zakupy na telefon...

W związku z tym, że kilka życiowych czynności, jak na przykład sprzątanie, musiałam sobie na jakiś czas darować, niespodziewanie zaczęłam dysponować większą ilością wolnego czasu. Śmigalam więc jeden za drugim artykuły dla „Horizontu”, zrobiłam szkic nowej powieści, ale i to nie wypełniło mi dnia.

Wówczas przypomniał mi się imieninowy prezent od Gosi. Sięgnęłam do biblioteczki i wyjęłam z niej nieczytany jeszcze przez nikogo egzemplarz „Damy kameliowej”. Książka otworzyła się mniej więcej w połowie, ponieważ... w tym akurat miejscu tkwiła złożona na czworo kartka papieru. Wyjęłam ją drżącymi dłońmi i z drżącym sercem.

Pani Doroto – tak zaczynał się list, napisany do mnie ręką Małgosi. – Pani doskonale wie, nawet jeśli nie wszystko, domyśla się Pani, jak wyglądało moje życie. Być może za wiele chciałam, oczekiwałam zbyt wiele i dziś przychodzi mi ponosić konsekwencje tego, że przyjąłam od losu dar, na który sobie nie zasłużyłam. Przez pewien czas łudziłam się, że być może uda mi się oblaskawić przeznaczenie, że jako młoda osoba zdołam oddać życiu to, co jestem mu winna, ale niestety, tak to już jest, że każdy musi zapłacić cenę za swoje uczynki. Cenę adekwatną do ich wagi. Dziś najwyraźniej przyszła dla mnie na to pora. Żal mi zostawiać wszystko, żal mi Miłosza, Pani, mojego dyplomu ukończenia studiów, tego, co jeszcze mogło być, a najbardziej moich nienarodzonych dzieci. Tak sobie myślałam, że stworzę im świat, jakiego ja sama nigdy nie zaznałam, że dla nich przelamię passę ciężącą na mnie i mojej rodzinie, że... będzie po prostu inaczej. Mój krok nie jest pochopny. Rozważam wszystkie możliwe rozwiązania od tygodnia, czyli od czasu, gdy zagrożono mi, że Miłosz dowie się o mojej plugawej przeszłości. Powinien się dowiedzieć, tak byłoby najuczciwiej, ale powoli dochodzę do wniosku, że jeśli będzie żył nadal w przekonaniu, że ożenił się z dziewczyną wartą siebie, będzie mu lżej. Mimo tego, co zamierzam zrobić. Pani Doroto, jeśli mogę prosić Panią o cokolwiek jeszcze, błagam, niech Pani go chroni przed tą wiedzą. I proszę mu powiedzieć, że rozstajemy się tylko na chwilę, bo kiedyś będziemy znów razem. Tymczasem niech pamięta o mnie, o nas, niech się postara mi przebaczyć, bo jestem przekonana, że znów będziemy razem. Nasza rozłąka jest jedynie chwilką, dopóki śmierć nas nie połączy.

Przeczytałam ten list, bardzo starając się nie robić sobie wyrzutów, że nie sięgnęłam po książkę jeszcze tego samego wieczora, gdy ją od Gosi dostałam. Doturlałam się z wózkiem do ławy, na której leżała moja komórka, i wybrałam numer Miłosza, poprosiłam go, by wpadł do mnie niezwłocznie.

– Odpoczywaj w pokoju wiecznym, biedne dziewczątko – szepnęłam, a po chwili poczułam... intensywny zapach migdałów, rozchodzący się jakby od strony stojącego naprzeciw mnie fotela. Do salonu ze zjeżonym ogonkiem wbiegł Bu. Stał naprzeciw fotela na dwóch łapkach, czego nigdy do tej pory nie robił, po czym futerko na jego ogonie wróciło do normy, a kot zaczął mruczeć z zadowoleniem.

Spis treści

ROZDZIAŁ I. Dziewczyna znikąd ROZDZIAŁ II. Bu ROZDZIAŁ III. Kurtyzana czy utrzymanka? ROZDZIAŁ IV. Wigilia z kotem ROZDZIAŁ V. Normalnie, paranormalnie czy... nienormalnie? ROZDZIAŁ VI. Wyprawa w sfery nieznane ROZDZIAŁ VII. Tak miało być? ROZDZIAŁ VIII. Motyle w brzuchu, zamęt w głowie ROZDZIAŁ IX. Jakub, syn Jakuba ROZDZIAŁ X. Ślub i feralne imieniny ROZDZIAŁ XI. Co się stało, Małgosiu?! ROZDZIAŁ XII. Podróż w przestrzeni i czasie ROZDZIAŁ XIII. Tam, gdzie wszystko miało swój początek ROZDZIAŁ XIV. O babce, co się w studni utopiła ROZDZIAŁ XV. Dopóki śmierć nas nie połączy

